

BIULETYN IPN

nr 5 (14)/2013

# pamięć **POL**

**Szkoły czerwonej elity**

**Pierwszy bunt – maj 1946 roku**

**Erich Koch – ostatni król Prus**



**Niemieckie wysiedlenia  
z Zamojszczyzny**

**Cena 6 zł (5% VAT)**

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 9500 egz.



**Dodatek specjalny:  
fragmenty albumu  
Agnieszki Jaczyńskiej  
*SONDERLABORATORIUM SS.  
ZAMOJSZCZYNA***

# DRUGA EDYCJA PROJEKTU **BIBLIOTEKA NA TO CZEKA** WYSYŁKA PUBLIKACJI HISTORYCZNYCH DO BIBLIOTEK

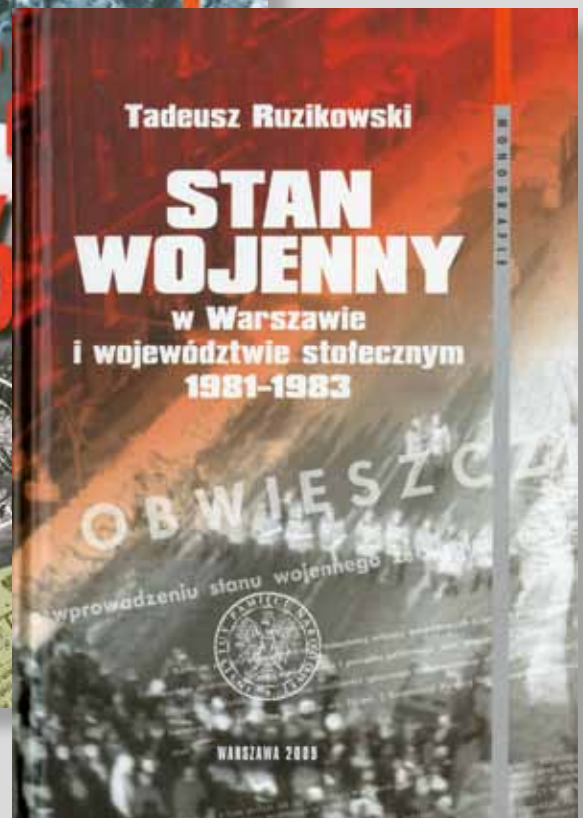
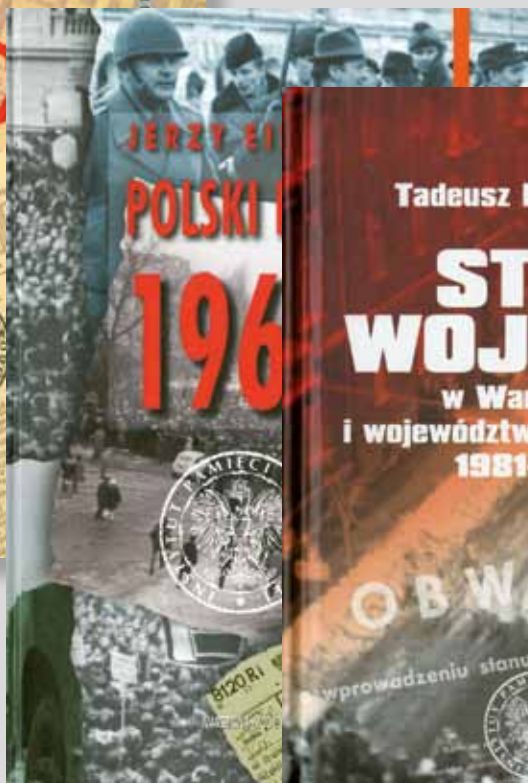
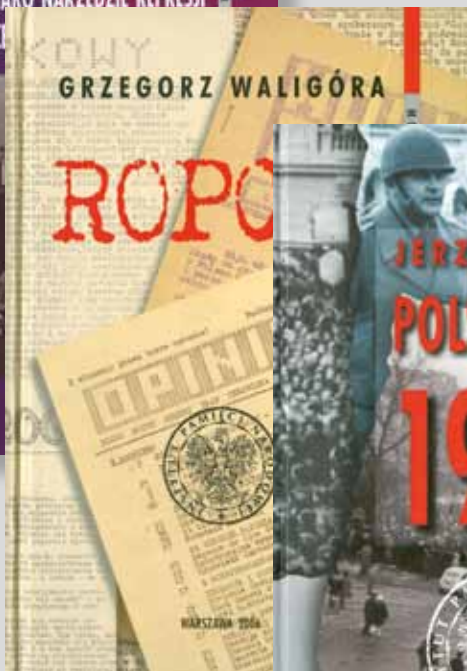
**Instytut Pamięci Narodowej** oferuje bibliotekom publicznym bezpłatne pakiety 20 publikacji historycznych dotyczących XX-wiecznych dziejów Polski. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie [www.dlabibliotek.ipn.gov.pl](http://www.dlabibliotek.ipn.gov.pl)

Projekt realizowany jest przez  
**Biuro Edukacji Publicznej IPN**

Rekomenduje go  
**Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich**

SBP STOWARZYSZENIE  
BIBLIOTEKARZY  
POLSKICH

PATRONAT MEDIALNY  
**pamięć.pl**



**INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ**

**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, *Tekściarz Wałęsy***10** Krzysztof Gottesman, *Czyste idee, brudne czyny***STOPKLATKA****12** Radosław Poboży, *Kryptonim „Podróżnik”***Z ARCHIWUM IPN****16** Grzegorz Majchrzak, *Oświadczenie Sokolowskiego***WYWIAD****18** *Zamość: próba generalna*rozmowa z Agnieszką Jaczyńską, autorką albumu *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna***22** *Jestem dzieckiem szczęścia*

rozmowa z Jerzym Skrzypkim, więźniem Auschwitz, Flossenbürga i Dachau

**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****26** Mirosław Szumilo, *Akademie czerwonej elity***30** Marek Hańderek, *Ku „Międzymorzu”***34** Dominik Krysiak, *Ostatni król Prus***38** Iwona Demczyszak, *Umierając z głodu, planowała życie***42** Joanna Hytrek-Hryciuk, *Wolność ponad teatr. Halina Mikołajska (1925–1989)***Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO****44** Kamil Dworaczek, *Pierwszy bunt – maj 1946 roku***48** Jan Olaszek, *Profesor drukarzem? Adam Kersten (1930–1983)*

Fot. PAP



Fot. PAP



Fot. ze zbiorów autora



Fot. AIPN



Fot. AIPN

**PAMIĘTAM JAK DZIŚ****52** *Relacja „króla”*

– Stanisława Śledziejowska-Osiczko o Ravensbrück

**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****55** Jerzy Eisler, *Barwy walki***PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****58** Jerzy Kochanowski, *Bar mleczny***Z BRONIĄ W RĘKU****60** Michał Mackiewicz, *Z detektorem na militaria***ORZEŁ BIAŁY****63** Tomasz Zawistowski, *Orły na hełmach załogi pociągu pancernego „Śmiały”***EDUKACJA HISTORYCZNA****67** Andrzej Zawistowski, *Książki na właściwej półce***69** Tomasz Ceran, *Kto wygrał, a kto przegrał II wojnę światową?***70** Monika Mikuczevska, *„tuHistoria” co miesiąc we Wrocławiu***71 RECENZJE****73 BIBLIOTEKA IPN**

**M**aj nie należy do kanonu tzw. polskich miesięcy, czyli tych okresów kalendarza historii Polski po 1945 roku, w których dokonywały się przełomowe bądź szczególnie tragiczne wydarzenia o ogromnym dla Polaków znaczeniu. Gdyby tym „polskim kalendarzem” objąć całość dziejów naszego kraju, z pewnością maj znalazłby się tu nieraz – od uchwalenia pierwszej polskiej konstytucji zaczynając. Właśnie rocznica tego wydarzenia stała się punktem zapalnym w relacjach między władzą a ludem na samym początku „ludowego” państwa. Kamil Dworaczek w swoim artykule przywołuje wydarzenia z 1946 roku, które śmiało mogą aspirować do kanonu polskich miesięcy zebranego swego czasu przez prof. Jerzego Eislera. Zamieszki spowodowane wówczas przez władzę podczas święta 3 Maja w Krakowie rozlały się na inne miasta, a związane z nimi protesty trwały jeszcze przez wiele dni. Milicja strzelała do ludzi, byli ranni i zabici, a represje – sykany, relegacje z uczelni, wcielanie do karnych jednostek – dotknęły setek osób. Były to ostatnie w Polsce Ludowej obchody

święta 3 Maja, które miały być tolerowane przez władze.

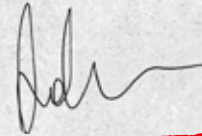
Tłumieniem majowego buntu zajmowali się dzierżący władzę w Polsce komuniści, z których znaczna część odebrała wykształcenie w Międzynarodowej Szkole Leninowskiej w Moskwie. Bierut, Zambrowski i inni działacze KPP (i późniejszej PZPR) uczyli się

tam wprawdzie przede wszystkim, jak „rewolucyjnymi metodami” organizować demonstracje i bunt, ale wiedzę i umiejętności nabyte w „leninówce” wykorzystywali także podczas budowy aparatu władzy i represji. O akademiach czerwonych elit pisze Mirosław Szumiło.

W numerze sporo miejsca poświęcamy obozowi Ravensbrück i kwestii eksperymentów na więźniach. O makabrycznych doświadczeniach przeprowadzanych na żywych ludziach przez niemieckich „lekarzy” w dziale „Pamiętam jak dziś...” opowiada Stanisława Śledziejowska-Osiczko, jedna z ofiar. Z kolei Iwona Demczyszak przybliży sylwetkę innej bylej więźniarki Ravensbrück, Wandy Póltawskiej. Mimo cierpienia, ciągłego zagrożenia i nieludzkiego traktowania nie tylko zachowała ona godność, wolę przetrwania i nadzieję, lecz także obdzielała nimi współwięźniarki. O eksperymentach pseudomedycznych opowiada także w rozmowie z Maciejem Foksem Jerzy Skrzypek – były więzień Pawiaka, Flossenbürga, Auschwitz i Dachau.

Do numeru dołączyliśmy fragmenty albumu Agnieszki Jaczyńskiej *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna* (nominowanego do Nagrody Historycznej tygodnika „Polityka”). Ta obszerna publikacja to zbiór różnego rodzaju źródeł historycznych – zdjęć, listów, dokumentów, wspomnień – które składają się na opowieść o tragicznych losach Zamojszczyzny, mającej stać się terytorium zamieszkanym wyłącznie przez Niemców. O „Aktion Zamosc”, wysiedleniach i albumie opowiada sama autorka w rozmowie, którą publikujemy w niniejszym numerze.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



## pamięć.pl

Wydawca:  
Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:  
dr hab. Grzegorz Berendt,  
dr hab. Robert Klementowski,  
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,  
dr Maciej Korkuc, dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,  
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik,  
Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski,  
Jan Olszok, Kamila Sachnowska,  
dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:  
Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,  
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska  
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska  
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych  
ul. Powiśńska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

## W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

### Rocznica ludobójstwa na Wołyniu

Siedemdziesiąt lat temu na Wołyniu i we wschodniej Małopolsce ukraińscy nacjonaliści przy udziale miejscowej ludności dokonali ludobójstwa na polskich mieszkańcach tych terenów. Zamordowano dziesiątki tysięcy Polaków w prawie 2 tys. miejscowości. O genezie tej zbrodni, relacjach polsko-ukraińskich przed wojną i podczas okupacji, problemach w badaniu tej historii i dzisiejszych kłopotach z jej upamiętnieniem opowiada Ewa Siemaszko.



### Zagraj i wygraj ZnajZnak w tramwaju!

W maju i czerwcu w wybranych tramwajach typu 120Na w Warszawie będzie można zagrać w najnowszą grę IPN *ZnajZnak*. Informacji związanej z grą szukajcie na wyświetlaczach LCD (do końca czerwca br.) Co tydzień, w czwartek, organizowany będzie specjalny konkurs. Pasażerowie, którzy wyślą poprawną odpowiedź na pytanie wyświetlone na wyświetlaczu LCD na mail: maciej.steppa@ipn.gov.pl, biorą udział w losowaniu 16 sztuk gry *ZnajZnak* i 80 sztuk jej wersji kieszonkowej.



Partner:  
Tramwaje Warszawskie

### Zapraszamy na IV Kiermasz Wydawnictw IPN

We wtorek 4 czerwca, w godzinach od 10.00 do 18.00 w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki Przystanek Historia przy ul. Marszałkowskiej 21/25 w Warszawie odbędzie się IV Kiermasz Wydawnictw IPN. Hitem będzie zapewne nowa edycja kultowej gry *Kolejka* i limitowana edycja dodatku *Ogonek*, ale to nie są jedyne atrakcje kiermaszu. Na odwiedzających czekać będą nowości z Centrali i Oddziałów IPN oraz zaprzyjaźnionych wydawnictw – książki, albumy, gry edukacyjne, w tym nowa gra *ZnajZnak*, komiksy, miesięcznik IPN „Pamięć.pl”, „CzasyPismo” oraz duży wybór wydawnictw z lat ubiegłych.



Wszystko w bardzo atrakcyjnych cenach.

■ 39 proc. Polaków z aprobatą wyraża się o działalności Instytutu Pamięci Narodowej. Negatywnie ocenia ją 16 proc., a niemal połowa (45 proc.) nie ma zdania na ten temat – wynika z opublikowanego w kwietniu **sondażu** Centrum Badań Opinii Społecznej. „Uznanie dla pracy IPN jest najczęstsze wśród najmłodszych badanych, w tym uczniów i studentów, osób uczestniczących w praktykach religijnych kilka razy w tygodniu oraz wśród ludzi o prawicowych poglądach politycznych” – napisano w komentarzu CBOS. Sondaż przeprowadzono na reprezentatywnej próbie losowej dorosłych mieszkańców Polski.

■ W kwietniu przeprowadzono kolejny etap **poszukiwań miejsc pochówku** partyzantów Narodowych Sił Zbrojnych ze zgrupowania Henryka Flamego „Bartka”, zamordowanych w 1946 roku przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

Kierowany przez dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN zespół objął badaniami „polaną śmierć” w pobliżu miejscowości Barut w województwie śląskim oraz okolice Łambinowic na Opolszczyźnie. W pobliżu Barutu udało się odnaleźć wiele przedmiotów osobistych ofiar, takich jak ryngraf, zegarek, obrączka, sygnet czy kolczyk. IPN zwraca się z prośbą do rodzin i współtowarzyszy broni ofiar o pomoc w identyfikacji tych przedmiotów. Informacje przyjmuje Krzysztof Szwagrzyk: krzysztof.szwagrzyk@ipn.gov.pl, tel. 71 326 76 58. Dalsze poszukiwania miejsc pochówku partyzantów NSZ będą prowadzone latem.



Fot. Milena Bykowska

Na razie zespół Krzysztofa Szwagrzyka przeniósł się do Warszawy. Także tu bowiem – na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach – kontynuowane są prace archeologiczno-badawcze, których celem jest odnalezienie i identyfikacja szczątków ofiar komunizmu. Chodzi o więźniów politycznych Mokotowa, mordowanych i grzebanych bezimiennie w czasach stalinowskich. W ubiegłym roku na Powązkach odnaleziono szczątki stu kilkunastu osób. Do tej pory dzięki badaniom DNA udało się ustalić tożsamość siedmiu spośród tych ofiar.

Prace na terenie kwatery „Ł” i w pobliżu Barutu są częścią projektu badawczego „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. Realizowane są dzięki porozumieniu IPN, Ministerstwa Sprawiedliwości oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

■ W związku ze zbliżającą się rocznicą zbrodni ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej Instytut Pamięci Narodowej ogłasza **konkurs na scenariusz lekcji** lub zajęć tematycznych poświęconych tej problematyce. Konkurs „**Wołyń. 70 lat po zbrodni**” jest przeznaczony dla nauczycieli szkolnych i wykładowców akademickich oraz studentów. Ma on na celu przede wszystkim zainteresowanie nauczycieli historii tematyką kresową, ze szczególnym uwzględnieniem zbrodni wołyńskiej – do dziś zajmującej niewiele miejsca w podręcznikach szkolnych.

Prace należy przysłać **do 12 czerwca** na adres: IPN, Biuro Edukacji Publicznej, pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs – zbrodnia wołyńska” lub mailowo: edu@ipn.gov.pl. Ogłoszenie wyników nastąpi 8 lipca. Nagrodą dla zwycięzców będzie trzydniowy objazd historyczny po Wołyniu w październiku tego roku.

Regulamin konkursu znajduje się na stronie internetowej [http://pamiec.pl/portal/pa/1636/11625/Wolyn\\_70\\_lat\\_po\\_zbrodni.html](http://pamiec.pl/portal/pa/1636/11625/Wolyn_70_lat_po_zbrodni.html). Dodatkowych informacji udzielają Olga Tumińska (tel. 22 431 83 78, [olga.tuminska@ipn.gov.pl](mailto:olga.tuminska@ipn.gov.pl)) i Katarzyna Cegiela (tel. 22 431 83 44, [katarzyna.cegiela@ipn.gov.pl](mailto:katarzyna.cegiela@ipn.gov.pl)).



■ Już po raz siódmy Instytut Pamięci Narodowej organizuje **Letnią Szkołę Historii Najnowszej**. Przeznaczona jest ona dla doktorantów, a wyjątkowo także dla studentów starszych lat, podejmujących w swoich badaniach problematykę związaną z najnowszymi dziejami Polski.

W ubiegłych latach program obejmował wykłady wybitnych znawców historii najnowszej, dyskusje, zajęcia seminaryjne oraz warsztaty (m.in. dotyczące sztuki prezentacji, wykorzystania w pracy badawczej akt aparatu bezpieczeństwa i źródeł „historii mówionej”, fotografii jako źródła historycznego, jak również szkolące umiejętność pisania tekstu popularnonaukowego). Program tegoroczny będzie miał podobny charakter.

Zajęcia odbywać się będą **od 2 do 7 września** w ośrodku konferencyjnym w pobliżu Warszawy. Osobom zakwalifikowanym do udziału IPN pokryje koszty dojazdu oraz pobytu (posiłki, noclegi). Każdy z uczestników szkoły zobowiązany będzie do przygotowania i zaprezentowania około dwudziestominutowego referatu na podstawie wyników własnych badań. Referaty wygłoszone podczas zajęć zostaną opublikowane w formie książkowej.

Osoby zainteresowane udziałem w szkole proszone są o przesłanie zgłoszenia **do 15 czerwca**. Adres do korespondencji, formularz zgłoszeniowy i listę wymaganych załączników można znaleźć na stronie <http://ipn.gov.pl/aktualnosci/2013/centrala/vii-letnia-szkola-historii-najnowszej-2-7-wrzesnia-2013>. Dodatkowych informacji udziela Przemysław Skrzek: [przemyslaw.skrzek@ipn.gov.pl](mailto:przemyslaw.skrzek@ipn.gov.pl).

## POSTAĆ MIESIĄCA

Fot. AIPN



► Szmul Zygielbojm

Sekcji Żydowskiej Centralnej Komisji Związków Zawodowych. Zasiadał w radzie miejskiej Warszawy, a później Łodzi. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do stolicy, gdzie pomagał w organizowaniu obrony miasta. Pod niemiecką okupacją próbował tworzyć konspirację. Zagrożony aresztowaniem, zdołał wyjechać na Zachód. Mieszkał m.in. w USA, a w 1942 roku przeniósł się Wielkiej Brytanii. Tam z ramienia Bundu został członkiem Rady Narodowej RP, będącej namiastką polskiego parlamentu i doradzającej prezydentowi i rządowi na uchodźstwie. Działając w Radzie, Zygielbojm starał się rozpowszechniać wiadomości o trwającej już w Polsce zagładzie Żydów – m.in. o sytuacji w gettach i obozach śmierci. Słał listy

**12 maja 1943:** Szmul Zygielbojm, członek Rady Narodowej RP, popełnił samobójstwo w Londynie. Był to protest przeciwko brakowi reakcji aliantów na zagładę Żydów.

Zygielbojm pochodził z wielodzietnej rodziny żydowskiej. Już jako nastolatek musiał pracować fizycznie. Szybko zaangażował się w działalność lewicowej żydowskiej partii Bund i z czasem znalazł się w jej władzach. W II RP był również sekretarzem generalnym

do prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta i brytyjskiego premiera Winstona Churchilla. Próbował też dotrzeć do amerykańskich środowisk żydowskich, by te skłoniły rządy alianckie do pomocy polskim Żydom. Wysiłki te nie przyniosły rezultatu. Alianci nie zdobyli się nawet na rozrzucenie nad Niemcami ulotek informujących o losie Żydów.

W maju 1943 roku dogorywało powstanie w getcie warszawskim. Dodatkowym ciosem była dla Zygielbojma wiadomość o śmierci żony i syna. W tych okolicznościach polityk odebrał sobie życie. „Milczeć nie mogę i żyć nie mogę, gdy giną resztki ludu żydowskiego w Polsce [...] Przez śmierć swą pragnę wyrazić najgłębszy protest przeciwko bezczynności, z jaką świat się przypatruje i pozwala lud żydowski wytępić” – napisał w pożegnalnym liście, adresowanym do prezydenta RP Władysława Raczkiewicza i premiera Władysława Sikorskiego. W 1998 roku Zygielbojm został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. ■

**8 maja 1953:** Episkopat Polski wystosował krytyczny wobec władz PRL memoriał *Non possumus*.

Był to okres wyjątkowo brutalnej walki państwa z Kościołem katolickim – ostatnią wpływową instytucją, która opierała się komunistycznej indoktrynacji. „Kościół w Polsce [...] coraz to cięższe ponosi ofiary, coraz dotkliwsze ogląda straty i coraz cięższych doświadcza krzywd” – napisali obradujący w Krakowie biskupi. W dokumencie wspomniano m.in. o usuwaniu religii ze szkół państwowych, likwidacji szkół katolickich, niszczeniu katolickich czasopism i wydawnictw, konfiskacie majątku kościelnego oraz inspirowaniu działań rozłamowych wśród duchowieństwa. Z ostrą krytyką hierarchów spotkał się zwłaszcza dekret z 9 lutego 1953 roku, pozwalający władzom wpływać na obsadzanie stanowisk kościelnych, w tym biskupich.

Duchowni trafnie ocenili, że za tym wszystkim kryje się zamiar ujarznienia Kościoła „i uczynienia z niego narzędzia władzy państwowej”. Na to zaś nie chcieli się zgodzić. „Rzeczy Bożych na ołtarzach Cezara składać nam nie wolno. *Non possumus!*” (Nie możemy!) – oświadczyli w memoriale, zapowiadając, że w razie konieczności nie cofną się przed „osobistą ofiarą”. Stanowcza reakcja biskupów nie powstrzymała represji komunistycznych. We wrześniu 1953 roku prymas Stefan Wyszyński został zatrzymany przez Urząd Bezpieczeństwa i uwięziony na ponad trzy lata. ■

Fot. ze zbiorów Wojciecha Czaplickiego



► Prymas Stefan Wyszyński



► Grzegorz Przemyk

**14 maja 1983:** W wyniku pobicia przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej zmarł Grzegorz Przemyk.

Dziewiętnastoletni Przemyk był synem opozycyjnej poetki Barbary Sadowskiej, mocno zaangażowanej w działalność Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. 12 maja 1983 roku – po pisemnych egzaminach maturalnych – został zatrzymany przez milicjantów na pl. Zamkowym w Warszawie. Następnie przewieziono go na pobliski komisariat przy ul. Jezuickiej i tam brutalnie pobito. Dwa dni później zmarł w szpitalu. Po-

grzeb na Powązkach zgromadził kilkadziesiąt tysięcy osób i był milczącą manifestacją przeciwko komunistycznej władzy – największą od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uczyniło wiele, by sprawcom śmiertelnego pobicia Przemyka nie spadł włos z głowy. „Ma być tylko jedna wersja śledztwa – sanitariusze” – zanotował szef MSW Czesław Kiszczak. O przyczynienie się do śmierci licealisty fałszywie oskarżono kierowcę karetki i sanitariusza, którzy wieźli skatowanego chłopaka z komisariatu na pogotowie. Latem 1984 roku zostali oni skazani odpowiednio na 2,5 roku oraz dwa lata więzienia (wkrótce wyszli na wolność na mocy amnestii). Milicjantów sąd uniewinnił, a funkcjonariuszom, którzy prowadzili sprawę śmierci Przemyka, gen. Kiszczak przyznał nagrody pieniężne. Zastraszano oraz inwigilowano Cezarego Filozofa – kolegę Przemyka, który został zatrzymany razem z nim i był świadkiem jego pobicia. Po 1989 roku skandaliczne wyroki wobec załogi karetki uchylono, a przed sądem znów stanęli milicjanci. Jedyne prawomocne wyrok – dwa lata więzienia – zapadł wobec Arkadiusza Denkwicza, dyżurnego MO, który miał pouczać innych funkcjonariuszy, by bili Przemyka „tak, żeby nie było śladów”. Denkwicz nie odsiedział jednak ani dnia, bo przed odbyciem kary uchroniła go opinia psychiatrów. W 2007 roku Grzegorz Przemyk został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. ■

**17 maja 1923:** Związek Ludowo-Narodowy, Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji i Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” zawarły tzw. pakt lanckoroński. Wydarzenie to zapoczątkowało w Polsce trzyletnie rządy centroprawicy.

Problemem pierwszych lat II RP były ciągle zmiany na scenie politycznej. W tej sytuacji prawica podjęła rozmowy z PSL „Piast”, które miały doprowadzić do powstania trwałej większości parlamentarnej. Negocjacje toczyły się w majątku Ludwika

Hammerlinga, senatora „Piasta” z okręgu Lanckorony. Porozumienie podpisano zaś w warszawskim mieszkaniu senatora Juliusza Zdanowskiego (ZLN). Pakt przewidywał m.in. ostrożną reformę rolną, wzmocnienie roli Kościoła katolickiego i twardy kurs wobec mniejszości narodowych. Bezpośrednim skutkiem układu było odwołanie rządu gen. Władysława Sikorskiego i powołanie 28 maja gabinetu Wincentego Witosa („Piast”). Opozycja pogardliwie nazwała nową koalicję „Chjeno-Piastem”. Z życia politycznego demonstracyjnie wycofał się marsz. Józef Piłsudski, rezygnując z funkcji szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej.

Gabinet Witosa, zmagający się z trudną sytuacją gospodarczą i licznymi strajkami, przetrwał tylko do grudnia 1923 roku. Kres rządów centroprawicy w II RP położył jednak dopiero zamach majowy Piłsudskiego z 1926 roku. ■

**17 maja 1983:** W Warszawie został aresztowany Bronisław Geremek, działacz opozycji demokratycznej.

Geremek, z wykształcenia historyk, jako dziecko trafił z rodziną do warszawskiego getta, skąd wydostał się w 1942 roku (ojciec zginął potem w Auschwitz). W latach 1950–1968 był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Z czasem związał się z opozycją i był rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa. Został jednym z głównych doradców powstałej w 1980 roku Solidarności. W stanie wojennym był przez rok internowany. Kilka miesięcy po wyjściu na wolność został zatrzymany i usłyszał zarzut organizowania nielegalnych zebrań. W lipcu 1983 roku objęła go jednak amnestia. W 1989 roku odegrał ważną rolę w obradach Okrągłego Stołu. Po wyborach czerwcowych został przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W III RP prof. Geremek pełnił m.in. funkcję ministra spraw zagranicznych. Został odznaczony Orderem Orła Białego (2002). Pięć lat temu zginął w wypadku samochodowym. ■

► Bronisław Geremek (w środku)



Fot. AIPN

Fot. AIPN

**22 maja 1948:** Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie wydał wyrok na przywódców konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego.

Proces trwał dwa tygodnie i miał charakter polityczny. Na ławie oskarżonych zasiadło sześciu działaczy endeckich: Tadeusz Maciński, Leon Dziubecki, Marian Podymniak, Lech Haydukiewicz, Bronisław Ekert i Ludwik Chaberski. Komunistyczni prokuratorzy – mjr Maksymilian Lityński i mjr Jan Kuczyński – zarzucali im m.in. współdziałanie z niemieckim okupantem, a po wojnie szpiegostwo i próbę obalenia „demokratycznego ustroju Polski”. Dla sądu pod przewodnictwem ppłk. Romualda Klimowickiego brak dowodów winy nie był przeszkodą. Maciński został skazany na śmierć, choć wyroku ostatecznie nie wykonano. W 1956 roku – na fali politycznej odwilży – wyszedł na wolność. Podymniak i Dziubecki otrzymali wyroki dożywotniego więzienia, przy czym Dziubecki zmarł zaledwie miesiąc później. Haydukiewicz – skazany na 15 lat więzienia – zmarł w 1949 roku w więziennym szpitalu we Wrocławiu. Chaberskiemu i Ekertowi zasądzono po dziesięć lat więzienia.

Wcześniej – w osobnym procesie – na śmierć został skazany Włodzimierz Marszewski, inny czołowy działacz obozu narodowego. Wyrok wykonano w marcu 1948 roku. ■



Fot. AIPN

► Witold Pilecki

w obozie. Zorganizował tam obozową konspirację. Zagrożony ujawnieniem, zdołał zbiec w kwietniu 1943 roku. Wziął udział w Powstaniu Warszawskim i znalazł się w niewoli. Po klęsce III Rzeszy wyjechał do Włoch, gdzie dołączył do 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Wkrótce jednak wrócił do kraju, by m.in. dokumentować komunistyczny terror. W maju 1947 roku został aresztowany. Oficer śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oskarżył go m.in. o działalność szpiegowską na rzecz gen. Andersa. Po krótkim karykaturalnym procesie, poprzedzonym brutalnym śledztwem, 15 marca 1948 roku Pilecki został skazany na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonał strzałem w tył głowy „kat z Mokotowa” – Piotr Śmietański. Rodziny nie poinformowano, gdzie zostały pogrzebane zwłoki.

W 1990 roku wyrok wobec Pileckiego został unieważniony. W III RP rotmistrz został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1995) i Orderem Orła Białego (2006). ■

**25 maja 1948:** W wię-

zieniu mokotowskim w Warszawie został stracony rotmistrz Witold Pilecki, bohater polskiego podziemia niepodległościowego.

Pilecki, rocznik 1901, walczył z bolszewikami i w wojnie obronnej 1939 roku. Pod okupacją niemiecką współorganizował Tajną Armię Polską. W 1940 roku pozwolił się schwytać w trakcie ulicznej łapanki, by dostać się do Auschwitz i zdobyć dla podziemia informacje o warunkach panujących

19 maja 1935 roku

„Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył. Wielkim trudem swego życia budował siłę w narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom jego pracy danem mu było oglądać państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armię naszą – sławą zwycięskich sztandarów okrytą” – tak o śmierci pierwszego marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego informowała „Gazeta Jarosławska”, która w numerze 11 z 19 maja 1935 roku zamieściła na pierwszej stronie artykuł wspomnieniowy. Rozpoczęły go słowa orędzia prezydenta RP do narodu. Co zrozumiale, redakcja tego prężącego tygodnika skupiła się przede wszystkim na podkreśleniu zasług Marszałka dla odzyskania przez Polskę upragnionej państwowości: „Całe bohaterkie życie Tego Wodza Narodu przepełnione było walką o Niepodległość i nie wzmogły Tego Nieustraszonego Żołnierza ani kazamaty więzień rosyjskich, ani tajga syberyjska, ani ciężka praca na froncie wojennym, ani cela więzienna magdeburska, ani gigantyczna praca nad budową ustroju wewnętrznego Polski”. A na zakończenie złożyła – pełną wzniosłych słów – deklarację: „Chyląc kornie czoła przed trumną Tego Największego z Polaków i rozważając jego myśli, czyny i zasługi, przyrzekamy ze spuścizny po Nim odziedziczonej nic nie uronić, lecz dziedzictwo to – mocarstwową potęgę Polski – przyrzekamy utrwalić i przyszłym pokoleniom wzmocnione przekazać, a Duch Jego niech czuwa nad nami i prowadzi nas do jasnej świetlanej przyszłości”.



## dzielię dnia 12 maja 1935 zmarł w Warszawie w Belwederze PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI



22 maja 1945 roku

„Rano, 20 V przybył do Moskwy transport z węglem – dar górników polskich dla stolicy ZSRR. Z transportem przybyła delegacja górników polskich – składająca się z 20 górników, 2 inżynierów i dyrektora zjednoczenia górniczego” – pisała katowicka „Trybuna Robotnicza” w numerze 86 z 22 maja 1945 roku. Jak donosił korespondent, na Dworcu Kijowskim polskich górników powitali przedstawiciele radzieckich władz państwowych i miejskich oraz organizacji społecznych, ambasador RP, tzw. masy pracujące Moskwy, dziennikarze. Były pełne patosu przemówienia, w których obie strony wzajemnie się zapewniały o braterskiej przyjaźni. A to wszystko na tle transparentu „Marszałkowi Stalinowi – polscy górnicy” i wśród okrzyków moskwiaków „Niech żyje Polska!”. „Trybuna” relacjonowała: „Wagony i platformy wchodzące w skład transportu udekorowane białoczerwonymi sztandarami i umajone zielenią. Na ścianach wagonów wypisane serdeczne słowa powitania dla radzieckiego narodu Bohaterskiej Armii Czerwonej – Wyzwoliciele – Wielkiemu Stalinowi. W transporcie 1400 ton wysokogatunkowego koksującego węgla. Został on wydobyty w kopalniach wyzwolonych przez Armię Czerwoną od niemiecko-faszystowskiego najeźdźcy. Wysłanie tego подарunku dla stolicy uchwalono na ogólnopolskim zjeździe górniczym w Katowicach, który odbył się po wygnaniu Niemców z polskiej ziemi. Postanowienie to było przyjęte na zjeździe z ogromnym entuzjazmem przez wszystkich robotników i inżynierów węglowego przemysłu oswojonej Polski. Ten dar stanowi wyrażenie najgłębszej wdzięczności, jaką żywi naród Polski dla Czerwonej Armii, za wyzwolenie Ojczyzny z faszystowskiej niewoli”. Wówczas to był jeszcze tylko „dar”, ale kilka miesięcy później oba państwa zawarły umowę, która nakazywała wyniszczoną wojną Polsce dostarczać węgiel wschodniemu sąsiadowi po niezwykle zaniżonych cenach. Ten swoisty haracz za wyzwolenie spod niemieckiej okupacji przyszło Polakom płacić jeszcze przez wiele lat...  
 ...



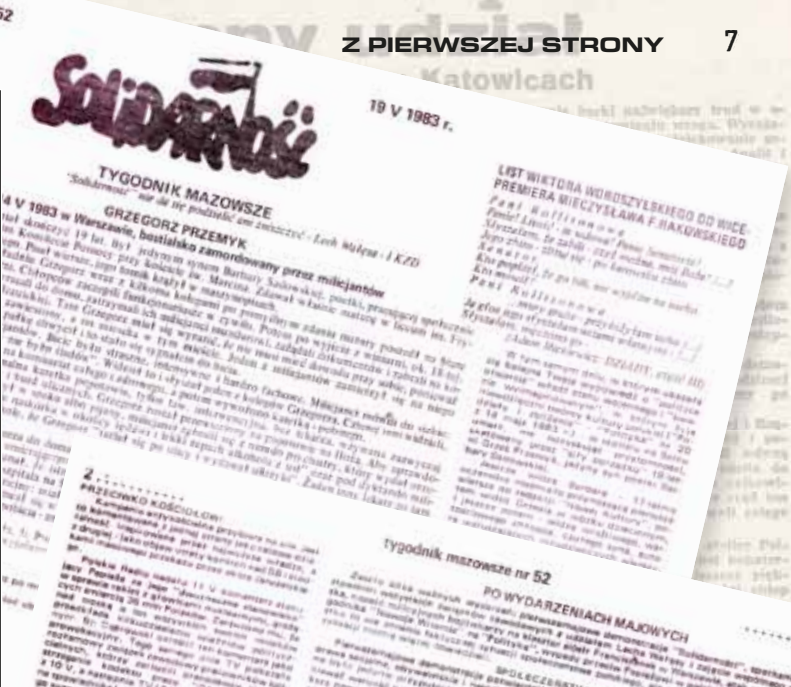
## Delegacja górników polskich w Moskwie

O wyborach w Anglii  
Otwarcie konferencji Labour Party



19 maja 1983 roku

14 maja 1983 roku w wyniku skatowania przez milicjantów zmarł dziewiętnastoletni Grzegorz Przymyk, syn Barbary Sadowskiej – poetki zaangażowanej w działalność opozycyjną. 12 maja, gdy na warszawskiej starówce Przymyk świętował z kolegami zdaną maturę, milicjanci zabrali ich na komisariat i pobili Grzegorza. O tragedii informował drugoobiegowy „Tygodnik Mazowsze” z 19 maja 1983 roku: „Było kilku milicjantów. Bicie było straszne, intensywne i bardzo fachowe. Milicjanci mówili do siebie: »Bij w brzuch, żeby nie było śladów«. Widział to i słyszał jeden z kolegów Grzegorza”. Pod informacją o morderstwie Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” zamieściła apel, w którym domagała się wszczęcia rzetelnego śledztwa oraz „rozwiązania zbrodniczych formacji ZOMO”. Zwróciła się także do „wszystkich tych, którzy udzielają publicznego poparcia rządzącej dyktaturze”, aby i oni nie pozostali obojętni: „Dzisiaj wasze milczenie jest równoznaczne z haniebnym współudziałem w zbrodni, ze zgodą na jej trwałą obecność w naszym życiu publicznym”. W związku z morderstwem na Przymyku „Tygodnik” opublikował też list Wiktora Woroszyńskiego (literata do lat sześćdziesiątych blisko związanego z władzą komunistyczną, a później działającego w opozycji) do wicepremiera Mieczysława Rakowskiego: „Chociaż naturalnie nic nie wskrzesi Zamordowanego i nie ukoi cierpienia Matki, chcę wiedzieć, czy Ty osobiście użyjesz wszystkich swoich wpływów, żeby – inaczej niż tylekroć przedtem – przynajmniej tym razem stało się zadość elementarnej sprawiedliwości. I co zostanie uczynione, żeby ludzi z wiadomych służb wyzuć z prawa do okrucieństwa, zdecydowanie cofnąć zachętę do okrucieństwa, z jakiej zdają się teraz zuchwale korzystać?”.



2 maja 1986 roku

„W atmosferze jedności ludzi pracy, nieugiętej woli obrony pokoju manifestowali partyjni i bezpartyjni, członkowie stronnictw politycznych, weterani walki i pracy, młodzież” – donosiła „Trybuna Ludu” z 2 maja 1986 roku. „Pod czerwonymi i biało-czerwonymi sztandarami, hasłami związanymi ze zbliżającym się X Zjazdem PZPR: porozumienia narodowego, walki i socjalistycznych reform, solidarności ludzi pracy całego świata w walce o pokój zjednoczyły się na trasie pochodu miliony Polaków. Masowy udział ludzi pracy w 1-majowym święcie był widocznym dowodem poparcia dla programu rozwoju socjalistycznej Polski, gwarantującego nasz pokójowy i bezpieczny byt. Jak wynika z informacji z całego kraju, w 1-majowych manifestacjach uczestniczyło około 9 milionów ludzi” – czytamy dalej w czołówkowym tekście. Wysoka frekwencja na pochodzie miała w tamtym roku szczególne znaczenie dla władz komunistycznych – zachęcano ludzi do wyjścia na ulice mimo wcześniejszego o kilka dni (26 kwietnia) wybuchu reaktora atomowego w Czarnobylu na radzieckiej Ukrainie. Zapewniano, że skażenie jest niewielkie i nie wzywano do zachowania szczególnej ostrożności. Informacja związana z katastrofą, a dokładnie komunikat komisji rządowej, zajmuje skrawek pierwszej strony drugomajowego wydania i jest wciśnięta w prawy dolny róg: „Nawiązując do komunikatu i ustaleń podanych w telewizji i radiu, komisja rządowa, opierając się na wynikach kontynuowanych bez przerwy pomiarów centralnego laboratorium ochrony radiologicznej, wojsk chemicznych, Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej oraz przez stacje sanitarno-epidemiologiczne, potwierdza dalsze systematyczne obniżanie się poziomu skażenia”.



opracowali  
Karolina Wichowska  
dr Mariusz Żuławnik

# Tekściarz Wałęsy

Maciej Rosalak

Córka wysłuchała przemówienia w telewizorze i oznajmiła:  
– Nasz prezydent mówi do naszego papieża moim tatą!

**N**igdy nie miałem ambicji zostania urzędnikiem państwowym. W PRL na samą myśl o tym robiło mi się smutno. A jednak, gdy powołany w pierwszych wyborach powszechnych prezydent Rzeczypospolitej Polskiej objął stanowisko na przełomie lat 1990/1991, ja zaś dostałem propozycję pisania dla niego przemówień – nie zastanawiałem się długo. Może wyda to się dziś infantylne i „obiachowe”, ale wtedy pomyślałem, że mam szansę służby dla nareszcie suwerennego państwa polskiego i jeśli ktoś uznał, że właśnie moje umiejętności się przydadzą, to nawet nie mam prawa odmawiać. I tak 15 stycznia 1991 roku przekroczyłem próg Kancelarii Prezydenta RP przy ulicy Wiejskiej 10.

To był dziwny okres, ów początek lat dziewięćdziesiątych. Liczne redakcje padały, jeszcze liczniejsze powstawały, załamywały się kariery dyspozycyjnych redaktorów, mierne, ale wierne ciotki i cioty rewolucji nie miały całkiem nic do roboty, prawdziwych fachowców z opozycji było niewiele, a młodzież nie jeszcze nie umiała. „Tygodnik Demokratyczny”, który w 1988 roku rozbłysnął jak supernowa, dwa lata później przypominał maleńką gwiazdkę neutronową, która wirowała jeszcze trochę i zgasła.

\*\*\*

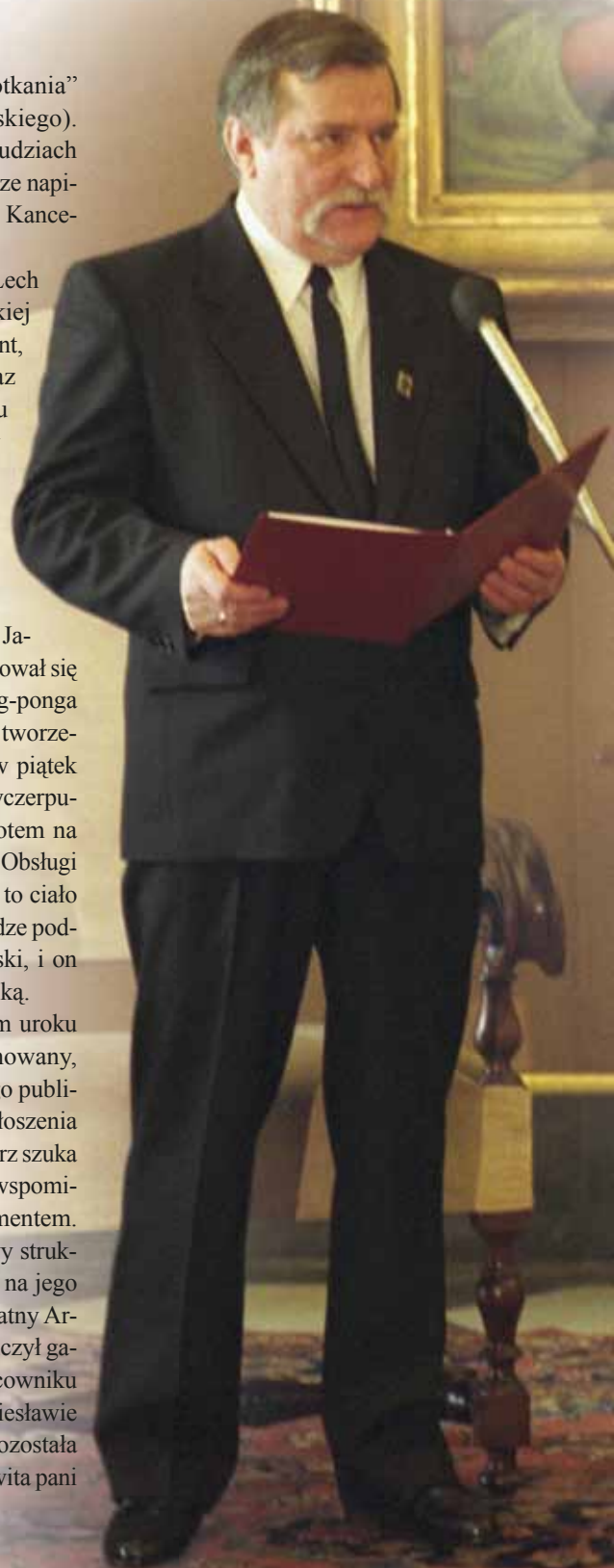
Ale w tamtym ciekawym roku 1990 otwierało się tyle możliwości, o ilu dziś nie ma co marzyć. Jako zastępca (do spraw redakcyjnych) prof. Michała Kuleszy uruchamiałem na gruzach „Rady Narodowej” tygodnik samorządu terytorialnego „Wspólnota”, miałem stały felieton (w cyklu „Kawałek antyrządowy”) w „Rzeczpospolitej” Dariusza Fikusa, trafiłem do zespołu Macieja Howieckiego, który przygotowywał pierwszy ty-

godnik konserwatywny „Spotkania” (wydawnictwo Piotra Jeglińskiego). O każdej z tych prac i tych ludziach mógłbym napisać (i może jeszcze napisze) słów kilka, ale wróćmy do Kancelarii Prezydenta RP.

Nie zaprosił mnie tam sam Lech Wałęsa ani nikt z jego gdańskiej świty. Co więcej – ani prezydent, ani panowie Drzycimski oraz Wachowski przez całe pół roku mojego tam zatrudnienia nigdy nie zainteresowali się ani tym, kto, ani co dla głowy państwa pisze. Oni żyli i działali w Belwederze, a to był świat całkiem odrębny od Kancelarii przy Wiejskiej, którą kierował Jarosław Kaczyński. Gdańsk zajmował się w Belwederze – poza grą w ping-ponga – szukaniem „lewej nogi” lub tworzeniem koncepcji NATO bis, a w piątek koło obiadu ulatywał po tak wyczerpującej pracy specjalnym samolotem na Wybrzeże. Kancelaryjny Zespół Obsługi Politycznej Prezydenta (tak się to ciało nazywało) prowadził zaś w randze podsekretarza stanu Jacek Maziarski, i on właśnie ściągnął mnie na Wiejską.

Był to człowiek o ogromnym uroku osobistym, nienagannie wychowany, o zasłużonej renomie czołowego publicysty, znany powszechnie z ogłoszenia w stanie wojennym: „Dziennikarz szuka uczciwej pracy”. Do tej pory wspominał go z największym sentymentem. Odszedł po kwartale do budowy struktur Porozumienia Centrum, ale na jego miejsce przyszedł równie delikatny Arkadiusz Rybicki. Jacek odziedziczył gabinet z salonikiem po współpracowniku generała Jaruzelskiego – płk. Wiesławie Górnickim. Z tamtego czasu pozostała też sekretarka, skromna i pracowita pani

► Prezydent RP Lech Wałęsa na audyencji u papieża Jana Pawła II, Watykan, 5 lutego 1991 roku



Krysia, którą szybko polubił cały zespół. Nowy szef wprost zaszokował ją całowaniem w rękę, zleceniami przekazywanymi w formie prośby, no i... abstenencją. Jak się później dowiedzieliśmy, towarzysz pułkownik zwykł zalewać się w trupa, spać na kanapie w saloniku i wydzierać się na podwładnych z użyciem wyzwisk i przekleństw.

Mnie przyznano stanowisko eksperta, pensję znacznie mniejszą niż w „Spotkaniach” (podobno najwyższą przypisaną do tego stanowiska) oraz ogromny pokój wyposażony tylko w biurko, dwa krzesła i maszynę do pisania. W zespole pracował jeszcze kolega z dawnego rozdania, którego słabo pamiętam, poza tym, że sprowadził sobie szafę pancerną. Niedługo dołączyła natomiast Teresa Bochwic, z którą szybko znaleźliśmy wspólny język. Pięć lat temu na wystawie w Bibliotece UW ujrzałem cytat z jej wspomnień o Marcu '68 obok swojego. W sąsiednim pokoju (ale już w innym wydziale) siedział Ludwik Dorn, który przygotowywał analizy sytuacji w kraju. Wynagrodzenia mieliśmy niewielkie, ale za to stołówka wydawała świetne obiady za pół ceny, bo Kancelaria miała własne gospodarstwo rolne. Od maszynistek i instruktorów po ekspertów jadano na sali ogólnej, samoobsługowej, a od podsekretarza stanu w górę – w restauracji z kelnerami. Co ciekawe, wybór dań był tam znacznie mniejszy. Może dlatego doradca Wałęsy do spraw kultury – piosenkarz Piotr Szczepanik – jadał z nami. Poza tym bar i restauracja sejmowa stały otworem, PKP przyznawały pięćdziesięcioprocentową zniżkę na przejazdy, legitymacja uprawniała do uzyskiwania pomocy od innych urzędów państwowych, a podoficer żandarmerii wojskowej przy wejściu „walił w dach”. Człek czuł, że jest kimś, co prawda to prawda.

\*\*\*

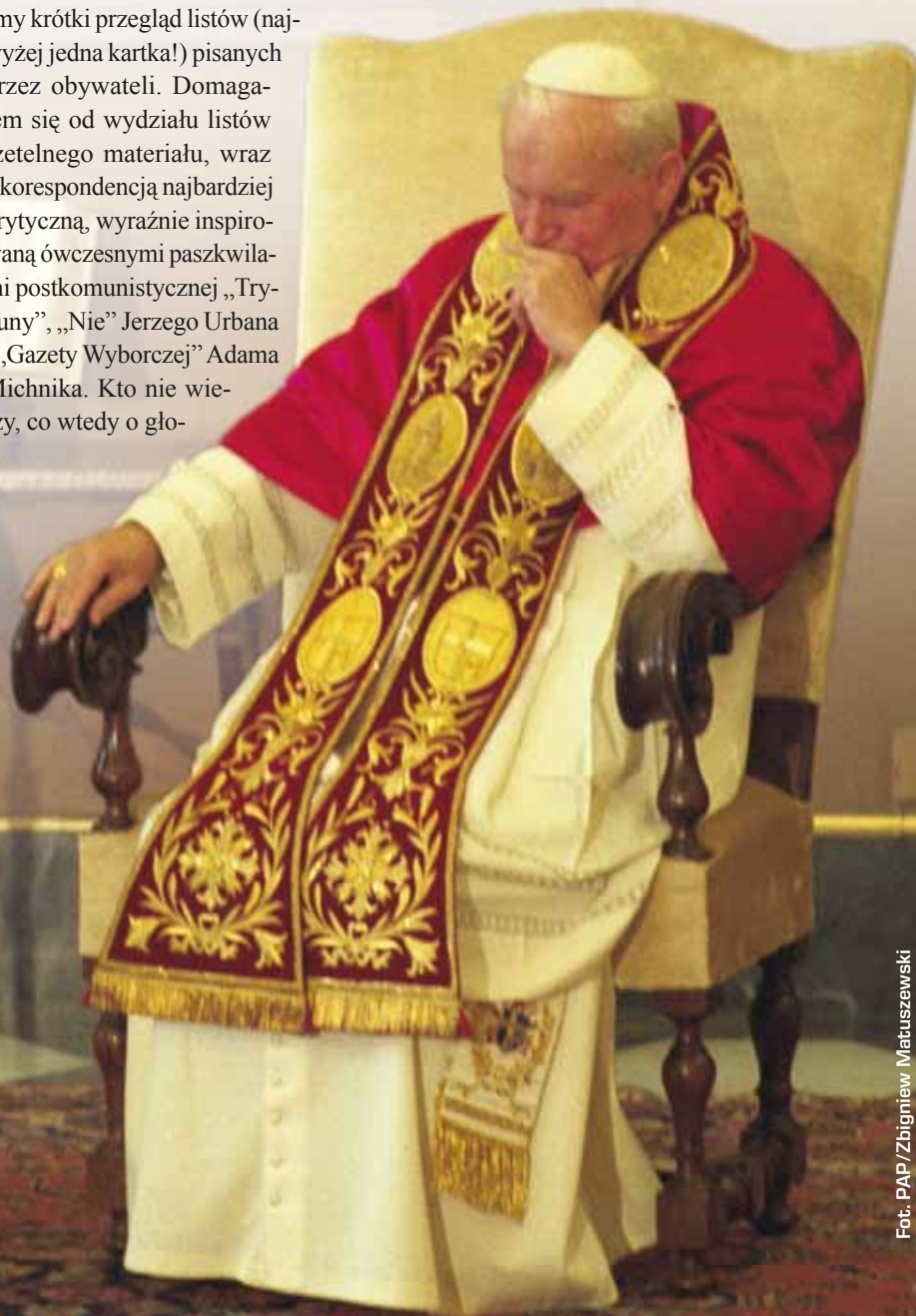
Szkoda, że pisaliśmy teksty przemówień bez rozmów z tym, który te teksty wygłaszał. Myślę też, że Wałęsa czytać po prostu nie lubił, nie tylko dlatego że trudno mu to szło. Był urodzonym trybunem ludowym i wojownikiem. Mimo błędów językowych, sformułowań tak

pokretnych, że niekiedy niezrozumiałych, potrafił dotrzeć do tłumu lub zamknąć usta adwersarzowi intelektualistcie. Wypalił na przykład ni stąd ni zowąd „stłucz pan termometr, a nie będziesz pan miał gorączki” i skończył dyskusję. Oczywiście, wypuścić takiego naturalnie bez kartki na bankiet z królową brytyjską w Windsorze byłoby nader ryzykowne, ale już na zjeździe NSZZ „Solidarność” przemawiał sam z siebie o niebo lepiej, niż gdyby czytał nie swój tekst.

Poza przygotowywaniem przemówień od czasu do czasu wykonywaliśmy dla niego inne zadania, na przykład robiliśmy krótki przegląd listów (najwyżej jedna kartka!) pisanych przez obywateli. Domagałem się od wydziału listów rzetelnego materiału, wraz z korespondencją najbardziej krytyczną, wyraźnie inspirowaną ówczesnymi paszkwilami postkomunistycznej „Trybuny”, „Nie” Jerzego Urbana i „Gazety Wyborczej” Adama Michnika. Kto nie wie, co wtedy o gło-

wie państwa wypisywano, niech weźmie do ręki roczniki gazet z tego okresu i poczyta. Pani kierowniczką, która została po Jaruzelskim, dawała mi te listy z przerażeniem: – A nie będzie kłopotów? – pytała. Muszę przyznać, że nikt z Belwederu żadnych pretensji nigdy nie wysunął. Może i nikt nie czytał...


Wielu pracowników pozostało z poprzedniej ekipy. Nas, z nowego rzutu, chyba się z początku obawiali, odnosząc się z jakąś taką nadzwyczaj krepującą uniżonością. Może to się z czasem zmieniło, nie wiem, z końcem czerwca odszedłem, mając dość normowanego ▶



czasu pracy, biurowego obiegu papierów, szeptów na korytarzu, perspektywy kariery szczebel po szczeblu, podwyżek po parę złotych ku zawiści konkurentów, nawet zapachu stolówki. Zateśniłem do nieprzewidywalnego, ale dającego poczucie swobody dziennikarstwa i dałem dyla do Łodzi, gdzie zaproponowano mi stanowisko redaktora naczelnego „Dziennika Łódzkiego”.

Najwięcej pracy mieliśmy przed zagranicznymi wizytami prezydenta, a w pierwszym półroczu kadencji jedna goniła drugą. Przed jego wyjazdem do USA wraz z Teresą napisaliśmy bodaj siedemnaście tekstów – od mowy powitalnej na lotnisku, przez oficjalne i bankietowe spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych, z Polsnią, środowiskiem żydowskim, biznesmenami, aż po mowę pożegnalną. Oczywiście, nie pisaliśmy z niczego, czyli z głowy; wskazówek merytorycznych udzielał nieoceniony prof. Janusz Ziółkowski w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Naszym zadaniem było napisać krótko i klarownie. – Nie pisz, Boże broń, zdań złożonych, bo Lech się pogubi! – przestrzegał Jacek. Pamiętam też wątpliwą pochwałę z jego ust, kiedy powiedział ze złośliwym uśmiechem: – Podziwiam cię, że umiesz pisać tak prymitywnie: podmiot, orzeczenie, dopełnienie i już...

Ale raz po przeczytaniu mojego tekstu zadumał się i w końcu rzekł cicho: – To naprawdę jest dobre... To było tuż po zatrudnieniu mnie w Kancelarii. Zaaferowany przybiegł wtedy z wiadomością, że za dwa dni Wałęsa jedzie do Watykanu z pierwszą wizytą zagraniczną i muszę na jutro rano mieć gotowy tekst. Wróciłem wieczorem do domu, usiadłem w kuchni, aby nie budzić rodziny, i przy zlewie – gdzie było najlepsze światło – pisałem, myśląc, co sam powiedziałbym Janowi Pawłowi II. Córka, która była wtedy uczennicą szkoły podstawowej, w pewnym momencie stanęła przy mnie i dokładnie wszystko przeczytała. A za dwa dni wysłuchała tego w telewizorze i oznajmiła: – Nasz prezydent mówi do naszego papieża moim tatą!

Aby to znów usłyszeć, pewnie raz jeszcze przyjąłbym pracę przy Wiejskiej...

Maciej Rosalak – w pierwszej połowie 1991 roku ekspert w Kancelarii Prezydenta RP, obecnie redaktor w miesięczniku „Historia Do Rzeczy”

# Czyste idee, brudne czyny

Krzysztof Gottesman

**Komunizm był złem i złe okazały się owoce, które wydał. Także wtedy, gdy ludzie, którzy się weń zaangażowali, byli pełni dobrej woli. Być może niektórzy byli...**

**T**rudno znaleźć w dzisiejszej Warszawie rodzinę, która od trzech, czterech pokoleń mieszka w tym samym domu czy mieszkaniu. Sam nie potrafiłbym wymienić takich więcej niż pięć, góra dziesięć. Ba, mało jest warszawiaków w ogóle mających w tym mieście głębiej sięgające korzenie. Wojny, zniszczenia, rewolucje, a także pokojowe przemiany przemielły je kilkakrotnie. Przemielły i zniszczyły kulturowane do roku 1944 tradycję i etos, ale nie zbudowały nic nowego. Kiedy w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych XX wieku ktoś zapytał w Warszawie, gdzie jest kino Wisła, to zdecydowana większość ludzi odpowiadała, że przy placu Komuny [Paryskiej]. Plac Wilsona był pojęciem dla większości obcych. Może nawet coś jeszcze, coś gorszego. Ta większość nie widziała w nowych nazwach ideologicznego podtekstu. Tak było dla nich od zawsze.

Kiedy po 1989 roku zaczęto przywracać ulicom i placom dawne nazwy, usuwać tabliczki z patronami niegodnymi tak szczególnego wyróżnienia, od początku szło to niezwykle opornie. Zmiana rzadko była inicjatywą mieszkańców. Z czasem – co może być tematem do zupełnie innych rozważań – opór ten nie malał, ale przeciwnie, stawał się co-

raz silniejszy. Było to wynikiem nie tylko sprzeciwu środowisk popęzetpeerowskich, ale powszechniej panujących nastrojów i braku szacunku dla przeszłości.

Dziś komunistyczny pomnik Czterech Śpiących w Warszawie, noszący oficjalną nazwę Braterstwa Broni, jest traktowany przez dużą część warszawiaków jako element architektoniczny, punkt odniesienia w przestrzeni i na mapie. Prowadzona od kilku lat przez Instytut Pamięci Narodowej akcja przywracania przestrzeni publicznej wyglądu i klimatu wolnego od elementów totalitarnych – napotyka sprzeciw. Dla wielu mieszkańców polskich miast nie ma większej wartości pofatygowanie się do urzędu i „przeprowadzenie się” z Bieruta, jeśli nie na „Inki”, to chociaż na Topolową.

Ostatnio pojawiły się na półkach księgarskich – a także zostały omówione i we fragmentach przedstawione w popularnych tygodnikach – dwie książki, których lektura może ułatwić odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego mieszkańcami zbiorowej wyobraźni, także kolejnych pokoleń, są w większej mierze ludzie związani z porządkiem, który – teoretycznie przynajmniej – skompromitował się i odszedł?

Pierwsza z tych książek to wydana przez Krytykę Polityczną *Ulica cioci Oli* Aleksandry Domańskiej. Autorka jest wnuczką głównej bohaterki – Heleny Kozłowskiej „Oli”, działaczki komunistycznej od lat dwudziestych, po wojnie partyjnego aparaczyka dość wysokiego szczebla. Punktem wyjścia opowieści jest podjęta w roku 2007 na wniosek IPN próba zmiany naz-



wy niewielkiej uliczki na warszawskim Czerniakowie, której patroluje właśnie Kozłowska. Autorka nie kwestionuje zła komunizmu ani jego ofiar. Pisze tak: „Tacy jak Ciocia Ola działali z pobudek ideowych, wierząc, że ten eksperyment, który fundują światu, wyjdzie ludziom na dobre. Oni to robili nie dla siebie,

lecz dla idei”. Gotów jestem uwierzyć w prawdziwość tych słów i dobrze, że mogą zostać głośno wypowiedziane. Sam je wielokrotnie słyszałem od różnych ludzi. Ale czy dziś naprawdę zasługuje na pochwałę oddanie się idei tak straszliwej? Tym bardziej że o Kozłowskiej trudno mówić jak o komunistycz-

nym dysydencie – zmarła ona w 1967 roku. Mimo że odsunięta przez partyjnych towarzyszy na boczny tor, w ideę wierzyć nie przestała.

Druga książka to *Towarzyszka panienska*, autobiografia Moniki Jaruzelskiej, córki gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Książeczka zupełnie innej wagi, pełna pretensjonalnych opisów i luzackich powieści o alkoholu, narkotykach i „Bogusiu” Lindzie, który nauczył autorkę, jak „techniką z palca zrobić tulipanka z butelki po piwie”. Ale jest też mowa o brodatym studencie, narzeczonym Moniki, który przychodził do domu generała z wpiętym w sweter opornikiem; o mamie, która słuchała Wolnej Europy; o tacie generale podrzucającym wydawane przez paryską „Kulturę” książki, który nie odmówił prośbie córki i pozwolił, by przetrzymywany w więzieniu Jacek Kuroń mógł wziąć udział w pogrzebie żony. „Dla mnie ważne jest myślenie człowiekiem, a nie polityką” – mówi w wywiadzie dla jednego z tygodników Jaruzelska. A ten człowiek, dodaje, „dźwiga coś, co jest bardzo ciężkie, coś, czego do końca nie potrafię zrozumieć”. Niestety, inni musieli zrozumieć...

Piszę ten tekst dzień po wyroku uniewinniającym Stanisława Kociołka z oskarżenia za grudniową masakrę robotników w 1970 roku. I widzę, że jest coś, co łączy ten wyrok z oporem przed dekomunizacją (choć wolałbym słowo „humanizacja”) przestrzeni publicznej oraz wiarą, że można zachować czystość i szlachetność, realizując najbardziej totalitarne idee. Tym czymś jest nie naiwność, lecz kłamstwo i niesprawiedliwość. ❄

# KRYPTONIM „PODRÓŻNIK”

Radosław Poboży

„Pracownik instytutu naukowego na terenie powiatu znany z reakcyjnej postawy [...], wobec stwierdzenia braku wędliny w kiosku spożywczym wypowiedział publicznie, iż wędliny schowano, aby można je było pokazać Nixonowi i osobom towarzyszącym mu, jednakże Nixon wie, mówił, jaki jest stan zaopatrzenia w Polsce, i nie da się zwieść rzekomym obfitym zaopatrzeniem na czas jego wizyty”. To jeden z wielu meldunków złożonych do Komendy Stołecznej MO przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa na rozkaz ministra spraw wewnętrznych Wiesława Ociepki w związku z planowaną wizytą prezydenta USA w Polsce w 1972 roku.

Sprawie nadano kryptonim „Podróżnik” i nakazano objąć tzw. sprawdzeniem (czyli nadzorem) przebywających w PRL cudzoziemców oraz najrozmaitsze grupy społeczeństwa: robotników, duchownych, pracowników naukowych, psychicznie chorych, młodzież i osoby, które już wcześniej miały konflikt z prawem. Jedną z takich osób był pan P., wytypowany do tzw. zatrzymania profilaktycznego. Decyzję uzasadniano: „Wyżej wymieniony znany jest od szeregu lat jako typowy kryminalista, włamywacz i złodziej. Ponadto cechuje go niczym nieuzasadniona nienawiść do obecnego ustroju PRL. Jako uczeń 11 klasy LO w Piasecznie na lekcjach nauki o społeczeństwie, zabierając głos w dyskusji na temat gospodarki PRL, głosił pogląd, że Polska, kraj socjalistyczny, sprowadza z ZSRR różne urządzenia i maszyny stare i nie nadające się do wykorzystania. Musi to czynić, gdyż jest do tego zmuszana. Na przykładzie PGR Mysiadło i sąsiadują-

cego z nim prywatnego gospodarstwa starał się wykazać wyższość gospodarki kapitalistycznej”.

W ramach przygotowań do przyjazdu Richarda Nixona do Polski funkcjonariusze Komend Wojewódzkich Milicji Obywatelskiej zostali zobligowani do przesyłania meldunków dotyczących nastrojów, a także konkretnych wypowiedzi i komentarzy związanych z wizytą prezydenta USA, zebranych w różnych środowiskach społecznych. Odnotowano m.in.:

– bezpartyjny rolnik z powiatu grójeckiego stwierdził: „Ciekawi mnie, co było przedmiotem rozmów w Moskwie. Nixon chce uchodzić za polityka, który potrafi rozmawiać z obozem socjalistycznym. Rozmowy w Warszawie będą uzależnione od prowadzonych rozmów z przywódcami ZSRR”;

– pracowniczka Polskiego Radia, bezpartyjna, powiedziała: „Poprzez wizyty w ZSRR i Polsce prezydent Nixon chce pozyskać opinię przed nadchodzącymi wyborami. Chce pokazać,

że umie poprowadzić politykę pokojową ze wszystkimi krajami”.

Funkcjonariusze szczególną uwagę skupiali na opiniach dotyczących planowanego przez administrację prezydencką spotkania Nixona z kard. Stefanem Wyszyńskim. W meldunku przysłanym do Warszawy czytamy: „TW [tajny współpracownik] ps. »ZEUS« wywodzący się z kleru katolickiego, będąc u sekretarki w kancelarii katedry warszawskiej, pytał się, czy prawdą jest, że prezydent Nixon w dniu 1 czerwca będzie brał udział w uroczystościach związanych z Bożym Ciałem. Otrzymał odpowiedź, że w tej sprawie pytało ją już wiele osób, w tym osoby świeckie urzędowe i księża. Wszystkim dała jedną odpowiedź, że nic w tej sprawie nie wie”.

Pomimo nalegań ze strony Polonii amerykańskiej Richard Nixon odstąpił od spotkania z kard. Wyszyńskim.

Władze PRL spodziewały się owacyjnego powitania Nixona przez ludność Warszawy. Aby temu zaradzić, zwróco-



► Przebieg oficjalnej wizyty Richarda Nixona filmowali operatorzy Zespołu Filmowego MSW, podający się (pod tzw. legendą) za pracowników telewizji warszawskiej

no się z apelem do członków partii, „aby nie wychodzili na ulice witać drogiego gościa”. Mimo to kamery SB zarejestrowały dużą liczbę mieszkańców stolicy, którzy stawili się tłumnie na trasie przejazdu prezydenta USA. W zachowanym w archiwum IPN materiale *Operacyjny film dokumentalny w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych* padają słowa: „Po złożeniu wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza wbrew przyjętym uprzednio ustaleniom prezydent Nixon podszedł do licznej grupy osób przybyłych na plac Zwycięstwa [ob. pl. Piłsudskiego] i wymieniał z nimi uściski dłoni”.

► Innym zagrożeniem dla zaplanowanego przebiegu wizyty Nixona byli mieszkający w Polsce zagraniczni studenci, m.in. afrykańscy i arabscy. Meldowano: „Młodzież studencka pochodzenia afrykańskiego i arabskiego, zgromadzona w klubie Trzech Kontynentów w Warszawie w dniu 22 maja bieżącego roku na imprezie tzw. »Dni Palestyńskich«, postanowiła zorganizować manifestację protestacyjną w dniu przybycia Nixona do Polski. W ramach tych manifestacji mają być

przygotowane napisy, transparenty zawierające hasła protestu i buntu wobec polityki zagranicznej prowadzonej przez rząd Nixona”. Pomimo przedsięwziętych środków zapobiegawczych na trasie przejazdu prezydenta Stanów Zjednoczonych pojawiły się afisze krytykujące politykę zagraniczną USA.

Richard Nixon był pierwszym urzędującym prezydentem USA, który odwiedził Polskę. Była to jednak jego druga wizyta w PRL, po tym jak w 1959 roku – jeszcze jako wiceprezydent – pozdrowiał na ulicach Warszawy mieszkańców stolicy. Jego przyjazd do Polski w roku 1972 zbiegł się w czasie ze wznowieniem przez Amerykanów ►

► Szczególną uwagę nakazano zwrócić na zagranicznych studentów afrykańskich i arabskich, planujących protest przeciw polityce Nixona



➤ Richard Nixon oddaje honory przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie



bombardowań w Wietnamie. Na całym świecie pojawiły się krytyczne głosy w rodzaju: „Dlaczego Polska zaprosiła Nixona, gdy rozpoczął bombardowanie Hanoi i Hajfongu?”.

Wizyta prezydenta Nixona w PRL była częścią podróży obejmującej także Austrię, Iran i Związek Radziecki. 26 maja 1972 roku ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych podpisał z przywódcą ZSRR Leonidem Breżniewem układ o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej oraz tymczasowe porozumienie w zakresie ograniczania strategicznych zbrojeń ofensywnych.

W drodze powrotnej z Moskwy Richard Nixon wylądował 31 maja na warszawskim lotnisku Okęcie, gdzie zwrócił się do warszawiaków następującymi słowami: „Przywożę słowa przyjaźni od całego narodu amerykańskiego dla całego narodu polskiego. Szczególnie gorące pozdrowienia przywożę od milionów Amerykanów, którzy są dumni z polskiego pochodzenia”. Takim powitaniem zjednał sobie serca Polaków.

➤ Po złożeniu kwiatów przed Grobem Nieznanego Żołnierza Nixon pojechał do sejmu, a następnie udał się do Wila-

nowa. Tego samego dnia zjadł kolację z premierem Piotrem Jaroszewiczem w Pałacu Namiestnikowskim.

Kolejny dzień wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych upłynął na rozmowach z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem. Dotyczyły one sytuacji międzynarodowej, kwestii rozbrojenia, spraw związanych z Wietnamem oraz stosunków Polski z RFN, mówiono też o ważnej roli wielomilionowej Polonii w USA.

W czasie równoległych spotkań minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski w rozmowie z sekre-



➤ Nixon po złożeniu kwiatów przed Grobem Nieznanego Żołnierza wrócił do Wilanowa, następnie na osobiste zaproszenie Piotra Jaroszewicza udał się na uroczystą kolację do Pałacu Namiestnikowskiego





► Operatorów MSW szczególnie interesowała ochrona prezydenta Nixona

tarzem stanu USA Williamem Rogersem skrytykował finansowanie przez Waszyngton działalności Radia Wolna Europa.

W oficjalnych rozmowach poruszono również kwestie gospodarcze, uzgadniając utworzenie Polsko-Amerykańskiej Komisji ds. Handlu.

O 16.04 Richard Nixon wraz z małżonką odlecieli do Waszyngtonu. Dzień

po odlocie prezydenta USA, 2 czerwca 1972 roku, sprawę pod kryptonimem „Podróżnik” złożono w archiwum KW MO w Warszawie. W uzasadnieniu napisanym przez ppłk. Radziszewskiego, zamykającym tę sprawę, czytamy: „Materiały te posłużyły do opracowania szeregu informacji dla Warszawskiego

Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. [...] w odniesieniu do występujących w sprawie osób, decyzję dalszego postępowania pozostawić Wydziałowi II, III i IV tutejszej komendy”.

Radosław Poboży – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



► Na trasie przejazdu prezydenta USA pojawiło się wielu mieszkańców stolicy

# Oświadczenie Sokołowskiego

**W walce z opozycją Służba Bezpieczeństwa wykorzystywała wszelkie dostępne środki – od otwartych represji, przez tzw. działania nękające, aż po przekupywanie osób zaangażowanych we „wrogą” działalność. Z pewnością jednym największych sukcesów SB w tej dziedzinie było „odcięcie się” Antoniego Sokołowskiego – jednego ze współzałożycieli Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża – od WZZ.**

**W**olne Związki Zawodowe Wybrzeża zostały utworzone 29 kwietnia 1978 roku. Pod ich deklaracją założycielską (w imieniu Komitetu Założycielskiego) podpisali się: Andrzej Gwiazda, Antoni Sokołowski i ich pomysłodawca Krzysztof Wyszkowski. On też był autorem deklaracji. Celem działania WZZ była „organizacja obrony interesów ekonomicznych, prawnych i humanitarnych pracowników”. Zakładano, że „Komitet Założycielski działa jawnie przez swych przedstawicieli”.

Antoni Sokołowski był wieloletnim (od 1953 do 1976 roku) robotnikiem Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Z pracy zwolniono go dyscyplinarnie na początku lipca 1976 roku za próbę zorganizowania dwa tygodnie wcześniej strajku solidarnościowego z Ursusa i Radomia. Od tej decyzji odwoływał się – oczywiście bezskutecznie – do Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy w Gdańsku oraz Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Znalazł się w trudnej sytuacji materialnej, tym bardziej że problemy ze znalezieniem pracy miała również jego żona.

Doskonale wiedziała o tym Służba Bezpieczeństwa, rozpracowująca go jeszcze przed powstaniem WZZ Wybrzeża – zajmowano się nim od marca 1978 roku w ramach sprawy pod kryptonimem „Sokół”, założonej w związku z jego udziałem w „nielegalnym zebaniu”. Kiedy więc gdańska SB uzyskała od swojej agentury informację o podpisie Sokołowskiego pod deklaracją założycielską Wolnych Związków Zawodowych, jej funkcjonariusze postanowili nakłonić go do wycofania się z działal-

ności opozycyjnej i skompromitowania WZZ oraz Radia Wolna Europa, które 4 maja na swej antenie ogłosiło informację o ich powstaniu.

W tym celu przeprowadzono kombinację operacyjną zmierzającą do zdobycia oświadczenia, w którym Sokołowski odciąłby się od „działalności antysocjalistycznej” w zamian za rekompensatę finansową w związku ze zwolnieniem go z pracy w stoczni. 5 maja funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku dowieźli współzałożyciela WZZ do Wydziału Spraw Wewnętrznych Urzędu Wojewódzkiego. Tam skłoniono go, stosując metodę „kija i marchewki” (z jednej strony groźby pod adresem Sokołowskiego i jego rodziny, a z drugiej obietnica uwzględnienia jego roszczeń i zaliczka na ich poczet w wysokości 54 tys. złotych), do podpisania prezentowanego obok oświadczenia.

Co prawda – jak wspomina działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża Joanna Duda-Gwiazda – Sokołowski zmienił zdanie: „Po rozmowie z nami [...] pieniądze oddał i sam napisał piękne oświadczenie do prasy odwołujące poprzedni tekst”. Jednak na początku czerwca (w wydaniu weekendowym z 3–4 czerwca 1978 roku) w „Życiu Warszawy” ukazał się artykuł zatytułowany „Kolejna wpadka”, zawierający m.in. list Sokołowskiego, w którym ten znowu odciął się od WZZ Wybrzeża.

Sokołowski – jak wynika z danych Komitetu Obrony Robotników – do redakcji „Życia Warszawy” miał wysłać „dramatyczny list z wyrazami oburzenia wywołanego opublikowaniem fałszywego listu”. W rezultacie 6 czerw-

ca został przywieziony po raz drugi do Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, gdzie ponownie nakłaniano go – początkowo bez powodzenia – do wycofania się z oświadczenia upublicznionego przez opozycję. Udało się to dzień później. Za pomocą „wzmoczonych groźb i szantaży (łącznie z groźbą pozabawienia wolności), a także podniesieniem kwoty [odszkodowania za okres pozostawania bez pracy] do 204 000 złotych” zdołano w końcu skłonić Sokołowskiego do „całkowitej uległości, zgody na stawiane warunki i podpisanie wszelkich pism, jakie mu podsunęto”. Jak podsumowała po latach Joanna Duda-Gwiazda: „Antoni Sokołowski został kupiony za własne pieniądze”. Tyle że – jak twierdzi inny były działacz WZZ Bogdan Borsewicz – zdecydowaną większość z nich (140 tys.) przekazał kołegom z opozycji.

Niewątpliwie cała sytuacja była sukcesem (jak się później okazało, krótkotrwałym) Służby Bezpieczeństwa. Z działalności w WZZ udało się wyeliminować ich współzałożyciela, a jego miejsce zajął tajny współpracownik SB Edwin Myszk. Ponadto udało się (przynajmniej częściowo) nadwyżyć zaufanie do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i Radia Wolna Europa. Jednak WZZ Wybrzeża przetrwały, a w sierpniu 1980 roku ich działacze odegrali czołowe role w organizacji strajku w Stoczni Gdańskiej i w znacznej mierze przyczynili się do powstania Solidarności.

Niestety, Antoniemu Sokołowskiemu nie dane było tego doczekać – zmarł bowiem w marcu 1980 roku w wieku 43 lat. Podobnie nie dane mu było – wbrew zresztą obietnicom władz – powrócić do pracy w Stoczni Gdańskiej. Jego zaś przypadek pozostaje dziś przykładem tego, co może się stać ze zwykłym człowiekiem rzuconym w tryby historii, szczególnie w państwie niedemokratycznym, jakim była niewątpliwie PRL. ■

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Antoni SOKOŁOWSKI  
Gdańsk-Oliwa  
ul. Kołobrzeska 56

Gdańsk, dnia ... maja 1978 r.

77/2

Jeden z trzech sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, w wyniku gry operacyjnej Służby Bezpieczeństwa zakwestionował swój podpis pod deklaracją i odciął się od WZZ Wybrzeża

Radio Wolna Europa (RWE) – amerykańska rozgłośnia z siedzibą w zachodniemieckim Monachium, nadająca od 1950 roku programy do państw komunistycznych, w tym Polski; 4 maja 1978 roku RWE poinformowało słuchaczy o deklaracji Komitetu Założycielskiego WZZ Wybrzeża

O Ś W I A D C Z E N I E

Właściwie Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża – organizacja antykomunistyczna utworzona w Gdańsku pod koniec kwietnia 1978 roku; ich działalność koncentrowała się głównie na obronie praw pracowniczych i związkowych, a także na organizacji niezależnych obchodów rocznicy Grudnia '70; WZZ Wybrzeża wydawały własne pismo – „Robotnika Wybrzeża”

W dniu 3 maja 1978 roku Wolna Europa nadała audycję o powstaniu tzw. Wolnych Związków Zawodowych w Gdańsku. Użyli tam mojego nazwiska, jako jednego z tych, którzy mieli te związki założyć. Dlatego Oświadczam, że deklaracji takiej osobiście nie podpisywałem, i nie dawałem zgody na korzystanie z mojego nazwiska. Chociaż w niektórych sprawach mam inne spojrzenia i czasami mówię o tym, to nikt nie ma prawa używać mojego nazwiska do swoich własnych celów.

Mój ojciec jako żołnierz karabinem walczył o Polskę Ludową. Przeszedł od Lenino aż do Berlina. Ja sam swoją pracą również budowałem Ojczyznę. Dlatego odcinam się od działalności Radia Wolna Europa i ludzi, którzy jej służą, bo myślę, że o sprawach Polski i Polaków mogą mówić tylko ci, którzy ją budowali i żyją tu na miejscu.

Po przekonaniu się na własnej skórze jakimi sposobami i w jaki chytry sposób wykorzystuje się nieświadomość ludzką do załatwiania brudnych interesów politycznych przestrzegam wszystkich, aby nie dali się złapać w pułapkę taką jaką na mnie nastawiono.

Dlatego oświadczam ze stanowczością, że gdyby kiedykolwiek Radio Wolna Europa, albo inni niecni ludzie używali mojego nazwiska do swoich celów, to jest to bez mojej wiedzy i zgody.

*Oswobodzenie swoje składam dobrowolnie i podpisuję własnym imieniem i nazwiskiem  
Antoni Sokółowski*

Deklaracja Komitetu Założycielskiego WZZ Wybrzeża – powstała 29 kwietnia 1978 roku, była sygnowana przez Andrzeja Gwiazdę, Antoniego Sokółowskiego i Krzysztofa Wyszczkowskiego; informowano w niej o powołaniu Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, jego celach i składzie

# Zamość: próba generalna

„Wysiedlenia z Zamojszczyzny były dla Himmlera poligonem dla założeń Generalnego Planu Wschodniego” – mówi **Agnieszka Jaczyńska**, autorka albumu *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna* w rozmowie z Maciejem Foksem.

**Zamojszczyzna miała stać się ziemią niemiecką. Czy można zatem mówić o czystce etnicznej?**

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Zamojszczyzny, gdyby nie wydarzenia, które zahamowały falę wysiedleń. W sumie wysiedlono ok. 110 tys. Polaków, w tym 30 tys. dzieci. Celem Niemców było usunięcie z tego terenu konkretnej grupy narodowościowej. W tym sensie możemy mówić o czystce etnicznej, a z pewnością o celowej polityce narodowościowej. Część ludności wysłano do obozów koncentracyjnych. Wysiedlenia z Zamojszczyzny były dla Himmlera poligonem dla założeń Generalnego Planu Wschodniego, który miał być realizowany dopiero po zakończeniu wojny z ZSRR. Stąd określenie *Sonderlaboratorium* (laboratorium specjalne).

**Czy przed wysiedleniami niemieccy etnografowie podejmowali badania na terenie Zamojszczyzny?**

Gdy w lipcu 1941 roku Heinrich Himmler zdecydował, że Zamojszczyzna będzie pierwszym obszarem osiedleńczym w Generalnym Gubernatorstwie, uruchomiono maszynę biurokratyczną mającą przygotować grunt pod wysiedlenia, a następnie kolonizację tych terenów. Himmler polecił autorowi Generalnego Planu Wschodniego, Konradowi Meyerowi, modyfikację planu. Sztab historyków i etnografów rozpoczął na Zamojszczyźnie spisy demograficzne. Miały one służyć wytypowaniu potomków osadników niemieckich, sprowadzonych tu na przełomie XVIII i XIX wieku. Dużym zaskoczeniem dla planistów niemieckich był raport,

**Agnieszka Jaczyńska**

– historyk, kierownik Referatu Edukacji Historycznej OBEP IPN w Lublinie; specjalizuje się w edukacji historycznej w zakresie historii najnowszej; współautorka *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956* oraz tek edukacyjnych IPN: „Stosunki polsko-ukraińskie 1939–1947” oraz „Zagłada Żydów polskich w czasie II wojny światowej”; badaczka dziejów Zamojszczyzny w okresie okupacji niemieckiej

Fot.: M. Fokse



z którego wynikało, że większość z tych potomków nie czuje żadnych związków z niemiecką. Wówczas Odilo Globocnik, szef policji i SS na dystrykt lubelski, nakazał przygotować plan regermanizacji tej grupy, a na podstawie przeprowadzonych spisów demograficznych wytypowano do przebadania ok. 8 tys. mieszkańców Zamojszczyzny. Zaczęto także przygotowania do przyjęcia nowych osadników. Pojawiły się plany restrukturyzacji wsi, zmiany infrastruktury, przygotowano programy szkoleń językowych i agronomicznych, mających ułatwić ich aklimatyzację.



## Prócz Polaków dotychczasowe miejsca zamieszkania musieli opuścić również Ukraińcy. Czy były różnice między oboma operacjami?

Przed wysiedleniami Ukraińcy mieli dużo większą swobodę, np. w prowadzeniu szkolnictwa czy pomocy charytatywnej. W listopadzie 1941 roku, kiedy Niemcy przeprowadzili sondażowe wysiedlenia, polska Rada Główna Opiekuńcza i Centralny Komitet Ukraiński (UCK) podjęły próby udzielania pomocy. Po pewnym czasie Niemcy cofnęli zgodę dla RGO wspomagającej Polaków, natomiast UCK mógł świadczyć pomoc w zasadzie przez cały czas. Ukraińcy z Zamojszczyzny byli przesiedlani, nie wysiedlani. W listopadzie i grudniu 1942 roku ze wsi powiatu zamojskiego usunięto i Polaków, i Ukraińców. Przed rozpoczęciem tej akcji UCK skierował do rodaków odezwę – jedną z ulotek prezentuję w albumie – w której wzywał ich do zachowania spokoju. Zapewniał, że w zamian za utracone gospodarstwa otrzymają inne, o podobnej wartości. Polacy trafiali do obozu przejściowego w Zamościu. Ukraińcy przez pewien czas przebywali w obozach zbiorczych, skąd od stycznia do marca 1943 roku, gdy trwała druga faza wysiedleń (*Ukraineraktion*), zostali osadzeni w powiecie hrubieszowskim – we wsiach, z których wcześniej Niemcy wygnali ponad 12 tys. Polaków. Natomiast w lecie 1943 roku do powiatu biłgorajskiego zostało przesiedlonych od 11 do 13 tys. Ukraińców.

## W jaki sposób RGO reagowała na wysiedlenia?

RGO skupiła się na możliwie wszechstronnej pomocy wysiedleńcom. Robiono spisy wysiedlanych miejscowości, niesiono pomoc ludziom w obozie przejściowym w Zamościu i Zwierzyńcu. RGO starała się dożywiać więźniów, zapewniać opiekę lekarską. Pomagała w poszukiwaniu bliskich zagubionych w trakcie wysiedleń, wspierała uciekinierów, zajmowała się osieroconymi dziećmi. Pomagała też tym z wysiedleńców, którzy zostali zakwalifikowani jako robotnicy przymusowi w gospodarstwach osadników niemieckich. Zazwyczaj pracowali tam bez żadnej opłaty. Pomoc dla nich polegała na dostarczaniu odzieży i żywności. Na szczególne uznanie zasługuje działalność Jana i Róży Zamoyskich w ostatniej fazie akcji wysiedleńczej, w lipcu i sierpniu 1943 roku. Zamoyski kierował RGO w powiecie biłgorajskim. Za pośrednictwem lubelskiej RGO dotarł do Globocnika, u którego – dużo ryzykując – uzyskał zgodę na wypuszczenie dzieci do szóstego roku życia, przetrzymywanych w obozie w Zwierzyńcu. Trafiły one (ok. 400) do ochronki prowadzonej przez Zamoyskich i ich współpracowników. Część z nich wkrótce zmarła, wycieńczona warunkami, które panowały w obozie, pozostałe otoczono opieką, starano się także odnaleźć ich bliskich.

## Jakie warunki panowały w obozach dla wysiedlonych?

Pierwszy obóz powstał w Zamościu, w dotychczasowym obozie dla jeńców sowieckich. Baraki były drewniane, część bez okien i podłóg. W środku piętrowe prycze, palenisko. Wszawica, brud, głód. Wśród najsłabszych – dzieci i starców – panowała duża śmiertelność. Załoga terroryzowała więźniów. Dla człon-

ków podziemia wydzielono osobne baraki, ogrodzone drutem kolczastym. W osobnym baraku przetrzymywano tych, którzy mieli zostać wywiezieni do Auschwitz. Na przełomie lipca i sierpnia 1943 roku w obozie w Zamościu panowało ogromne przełudnienie. Najwyższy stan to 12 tys. osób. Podobnie złe warunki panowały w obozie w Zwierzyńcu, skąd większość uwięzionych, po przejściu przez obóz w Zamościu, trafiała na Majdanek lub do obozu przy ul. Krochmalnej w Lublinie.

## Co decydowało o tym, czy ktoś trafi do obozu koncentracyjnego, czy na roboty przymusowe?

W obozie w Zamościu dokonywano pierwszego rozdzielania rodzin: oddzielano mężczyzn od kobiet i dzieci, chociaż często zdarzało się, że pierwsza segregacja odbywała się już w wysiedlanych miejscowościach – ze względów bezpieczeństwa, ponieważ Niemcy obawiali się, że mężczyźni mogą bronić bliskich. Następnie komisja lekarska badała wszystkich pod względem rasowym – mierzono czaszki, rozstaw oczu, kolor włosów etc. Odrębną kategorię stanowiły dzieci powyżej szóstego miesiąca życia (młodsze pozostawiano przy matkach). Jeżeli spełniały kryteria rasowe, przeznaczano je do germanizacji. Ludzi młodych, zdrowych i silnych – zarówno kobiety, jak i mężczyzn powyżej czternastego roku życia – wywożono na roboty do Niemiec lub na tereny wcielone do Rzeszy (ok. 33 tys. osób), a ok. 3 tys. pozostało jako robotnicy w gospodarstwach osadników niemieckich. Część osób wywieziono do Auschwitz. Byli to chorzy, ułomni, ale także pełni sił, dwudziesto-, trzydziestolatkwie, dzieci oraz podejrzani o związki z konspiracją.

## Jak rząd polski w Londynie reagował na wysiedlenia?

Pierwsze meldunki na ten temat zostały wysłane do Londynu niezależnie przez Armię Krajową i Bataliony Chłopskie natychmiast po rozpoczęciu wysiedleń. Komendant Główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot” w raporcie do gen. Władysława Sikorskiego opisał mechanizm akcji i reakcje społeczeństwa. Prosił ▶

▶ Osadnik niemiecki – folksdojcz z Besarabii



m.in. o to, aby rząd spowodował alianckie bombardowania prewencyjne – linii kolejowych, obiektów wojskowych – które mogłyby zastopować tę akcję. Podobnie jednak jak w przypadku zagłady Żydów, alianci nie zdecydowali się na żadne konkretne działania. 24 grudnia 1942 roku Rowecki rozkazał rozpoczęcie na Zamojszczyźnie akcji dywersyjnych i odwetowych podziemia oraz zobowiązał ludność cywilną do oporu. Uzyskał na to zgodę Londynu, ale nie była to łatwa decyzja. Struktury Polskiego Państwa Podziemnego nie były jeszcze wówczas dostatecznie rozbudowane. Wprawdzie partyzantka na Lubelszczyźnie i Zamojszczyźnie była jak na owe czasy dobrze zorganizowana i liczna, obawiano się jednak, że rozszerzenie akcji mogłoby zagrozić planom przyszłego powszechnego powstania. Dlatego Rowecki podkreślał, że należy zapobiegać rozszerzaniu działań poza Zamojszczyznę. Jedną z pierwszych akcji przeciwko osadnikom niemieckim podziemie przeprowadziło we wsi Udrycze w grudniu 1942 roku. Skorelowane akcje AK i BCh na linii kolejowe przeprowadzono w noc sylwestrową z 1942 na 1943 rok. Celem polskiego podziemia stali się także przesiedleni Ukraińcy. Postrzegano ich jako pomocników niemieckiego aparatu wysiedleńczego, ponieważ policja ukraińska uczestniczyła w wysiedlaniu Polaków, a załogi obozów przejściowych składały się częściowo z Ukraińców.

#### Jaka była reakcja Niemców?

Do obrony przed polskim podziemkiem Niemcy zmobilizowali znaczne siły policyjne. Wsie niemieckie były zmilitaryzowane. Na czele osady stał *Dorfführer*, zazwyczaj członek SS. Jego zadaniem było organizowanie życia wsi, a w razie niebezpieczeństwa – obrony. Osadnicy byli uzbrojeni, we wsiach znajdowały się posterunki policyjne. W drugiej fazie wysiedleń, czyli wiosną i latem 1943 roku, Niemcy, prowadząc walkę z partyzantką, zaczęli również stosować odpowiedzialność zbiorową, m.in. przeprowadzając pacyfikacje wsi. Pierwsze duże pacyfikacje odbyły się jeszcze w grudniu 1942 roku, jak np. w Kito-

wie, gdzie w odwecie za aktywność podziemia zamordowano 196 osób. Z kolei jedną z najbardziej okrutnych była pacyfikacja wsi Sochy 1 czerwca 1943 roku. Niemcy wymordowali prawie wszystkich jej mieszkańców, a następnie zbombardowali, zrównując ją z ziemią. Wiele wsi było pacyfikowanych kilkakrotnie. W terroryzowaniu mieszkańców Zamojszczyzny ważną rolę odgrywało więzienie w Rotundzie w Zamościu, powstałe w 1940 roku, wykorzystane w ramach akcji AB. Kierowano tam podejrzanych o działalność podziemną. Rotunda była miejscem straceń, wielu więźniów wysyłano stąd do obozów koncentracyjnych. Szacuje się, że w czasie całego okresu okupacji Zamojszczyzny w Rotundzie zginęło ok. 8 tys. Polaków.

#### Skąd pochodzili osadnicy przyjeżdżający na miejsce wysiedlonych Polaków?

Głównie z Besarabii, planowano też ściąganie osadników z Bałkanów, z Lotaryngii. Sprowadzano też Niemców z Ukrainy, których ludność miejscowa uważała za Ukraińców. Ci ludzie zastali warunki, których się nie spodziewali. Zapewniano ich, że trafią na żyzne gleby, do nowoczesnych gospodarstw, że otrzymają pomoc i będą bezpieczni. W rzeczywistości wyrywano ich z rodzinnych stron i trafiali najpierw do obozu przejściowego w Łodzi, często na kilka miesięcy. Potem kolejna podróż, krótkotrwały pobyt w prowizorycznym obozie na przedmieściach Zamościa i w końcu osiedlenie. Dlatego większość zapewne była rozczarowana. Z drugiej jednak strony osadnicy niemieccy uzyskiwali sporo korzyści. Przekazywano im przecież cały majątek pozostały po wysiedlonych. Prócz tego dostawali narzędzia



➤ Mieszkańcy jednej z wiosek Zamojszczyzny podczas wysiedlenia

i sprzęty domowe magazynowane w specjalnym przedsiębiorstwie utworzonym w Zamościu. Było to mienie żydowskie oraz wysiedlonych Polaków. Osadnicy niemieccy brali też czynny udział w kolejnych akcjach wysiedleńczych, wspomagając wojsko i policję. Ich postawy były zróżnicowane. Część z nich z zaangażowaniem uczestniczyła w osadnictwie na Zamojszczyźnie, część wolałaby zapewne wrócić do domu.

### Czy któryś z osadników niemieckich został na tych terenach po wojnie?

Nie znam takiego przypadku. Ewakuacja Niemców z Zamojszczyzny rozpoczęła się w marcu 1944 roku. W pierwszej kolejności objęła kobiety i dzieci, które trafiły do specjalnego obozu w Łodzi. Posunięcie to spowodowało spadek nastrojów wśród mężczyzn, którzy pozostali bez bliskich wobec zbliżającej się Armii Czerwonej. Część z nich podniosła bunt, w związku z czym podjęto decyzję o sprowadzeniu ich rodzin z powrotem, a to z kolei spotkało się ze sprzeciwem kobiet. Początkowo Niemcy planowali bronić się do końca. Z osadników sformowano w Zamościu oddzielny batalion. Właściwa ewakuacja nastąpiła latem 1944 roku. Mamy też kategorię folksdojczów. Jeszcze przed wysiedlaniem Zamojszczyzny, w roku 1940, część z nich została skierowana na ziemie wcielone do Rzeszy. Wyszędlenia z Zamojszczyzny spowodowały powrót części z nich. W 1944 roku wielu folksdojczów nie uciekło, starali się pozostać.

### Jaki był ich los po wojnie?

Niektórzy stanęli przed sądem. Jednak kwestia podpisania folkslisty nie zawsze była jednoznaczna. Znamy przypadki, gdy dokonywano tego z rozkazu podziemia, np. w celu wejścia w struktury administracji niemieckiej.

### Niemcy tworzyli też specjalną kategorię osad – wsie rentowe. Czym one były?

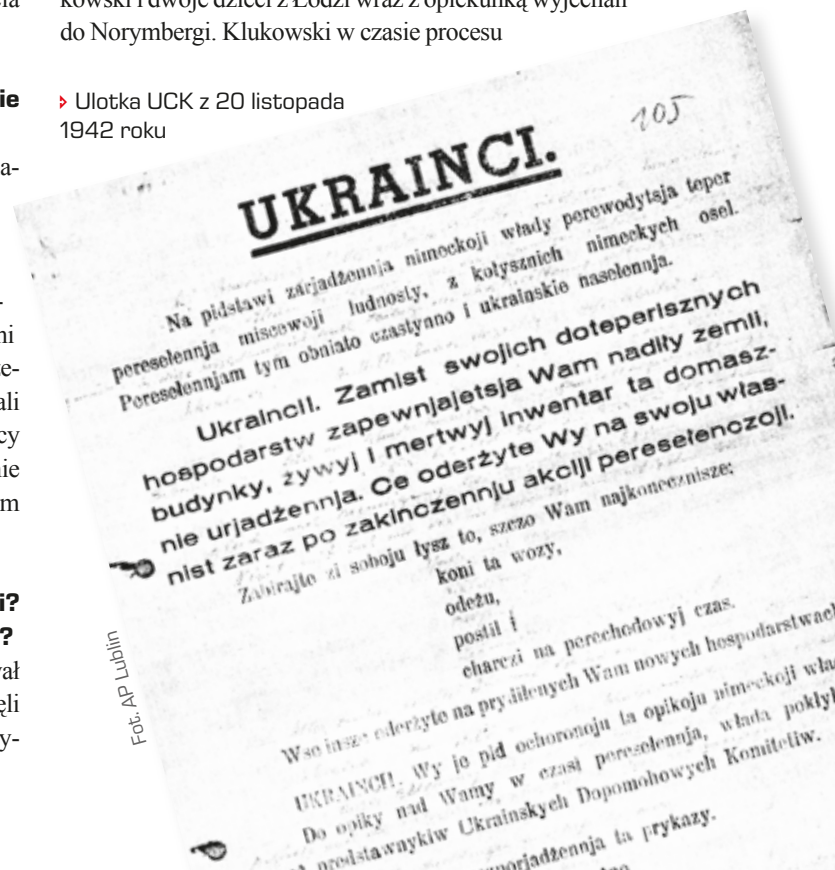
*Rentendörfer* to miejscowości, często żydowskie, w powiatach garwolińskim, siedleckim i mińsko-mazowieckim, do których trafiła część ludności wysiedlanej z Zamojszczyzny. Były to głównie dzieci do czternastego roku życia i osoby powyżej sześćdziesięciu lat, ale z list transportowych sporządzanych przez RGO wynika, że trafiały tam też kobiety z małymi dziećmi. Niemcy nie interesowali się losem tej ludności, przewozili jedynie wysiedleńców na miejsce, a następnie cedowali całą odpowiedzialność za ich dalszy los na RGO. Pracownicy rady wspominają, że gdyby nie poświęcenie i zaangażowanie miejscowych, nie byłoby możliwe zapewnienie tym ludziom choćby minimum egzystencji.

### Czy sprawcy cierpień Zamojszczyzny zostali ukarani? Jak przedstawiano Zamojszczyznę w Norymberdze?

Od października 1947 do marca 1948 roku w Norymberdze trwał proces, w trakcie którego przed trybunałem wojskowym stanęli ludzie związani z instytucjami realizującymi niemiecką polity-

kę wysiedleńczą i osadniczą. W tym gronie znalazł się Konrad Meyer. Nie został on jednak skazany za opracowanie Generalnego Planu Wschodniego, lecz za przynależność do SS. Strona niemiecka dowodziła, że wszelkie plany sporządzone w tym zakresie miały charakter jedynie naukowy. Że była to praca czysto koncepcyjna, a wykonujący ją ludzie nie mieli wpływu na jej wykorzystanie, ani nie uczestniczyli osobiście w tych działaniach. Przed sądem polskim stanął Jakob Sporrenberg, następca Globocnika, który został skazany na karę śmierci, wykonaną w więzieniu mokotowskim w 1952 roku. Nie stanął przed sądem komendant obozu w Zamościu Artur Schütz, który zginął w Lotaryngii. Z załogi obozu w Zamościu przed sądem w Łodzi stanęła Herta Belke, którą początkowo skazano na śmierć. Później wyrok zamieniono na dożywocie, a w 1956 roku po wyjściu z więzienia wyjechała do Niemiec Zachodnich. Z kolei szef oddziału Centrali Przesiedleńczej w Łodzi Hermann Krumej do początku lat sześćdziesiątych wiódł spokojne życie w Bawarii, udzielając się społecznie, był m.in. deputowanym do Kreistagu. W 1965 roku niemiecki sąd wydał wyrok w jego sprawie, ale nie obejmował on jego działalności jako szefa centrali przesiedleńczej. Po tym wyroku Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce wystąpiła o ekstradycję, przedstawiając własny bogaty materiał dokumentacyjny. Wniosek odrzucono, ale w kolejnym procesie uwzględniono dowody zgromadzone przez stronę polską i Krumej został skazany na dożywocie. Problem Zamojszczyzny był poruszany w Norymberdze. Świadkiem podczas procesu był m.in. Zygmunt Klukowski, lekarz, którego powołał jeden z prokuratorów amerykańskich. Zebrał on wiele świadectw i dowodów na temat zbrodni popełnionych przez Niemców na Zamojszczyźnie. Jesienią 1947 roku Klukowski i dwoje dzieci z Łodzi wraz z opiekunką wyjechali do Norymbergi. Klukowski w czasie procesu

► Ulotka UCK z 20 listopada 1942 roku



dokładnie opisał akcję wysiedleńczą, sprawę Rotundy, wspominał w losie 30 tys. dzieci Zamojszczyzny. Dzieci zeznawały w sprawie proceduru germanizacji.

**Zygmunt Klukowski był nie tylko lekarzem, lecz także należał do AK – był więc na celowniku Urzędu Bezpieczeństwa...**

Samego doktora i jego otoczenie oraz szpital inwigilował UB. Kontakty z kręgami AK Klukowski utrzymywał także po zakończeniu wojny. Był dwukrotnie aresztowany: w 1950 roku został osadzony w lubelskim Zamku i skazany na dwa lata więzienia w zawieszaniu, a w 1952 roku aresztowano go w Warszawie, gdy przyjechał do syna, Tadeusza, działającego w młodzieżowych organizacjach antykomunistycznych. Klukowski został skazany wówczas na dziesięć lat więzienia, wypadek mienia, utratę praw obywatelskich. Radio Wolna Europa nagłaśniało sprawę uwięzienia świadka w procesie w Norymberdze. Ostatecznie zmniejszono mu wyrok do sześciu lat, adwokat wystarał się o roczny urlop zdrowotny i w trakcie przebywania na urlopie cofnięto karę. W 1956 roku zrehabilitowano go i przywrócono mu utracone prawa.

**Skąd pomysł na edycję albumu w trzech językach?**

Zależało nam, by publikacja dotarła do jak najszerszego kręgu odbiorców. Ważne było, by tekst ten został opublikowany również w języku niemieckim i angielskim, żeby nasi zachodni sąsiedzi mogli poznać polskie spojrzenie na tamte wydarzenia – i uwzględnić je w dyskursie historycznym.

**Czy młodzi Niemcy chcą o tym pamiętać? Czy w ogóle coś wiedzą o tych wydarzeniach?**

Myślę, że zazwyczaj nie wiedzą. To przekonanie wynika z moich wieloletnich doświadczeń z pracy z niemieckimi nauczycielami historii. Lubelskie OBEP organizuje konferencje naukowo-edykacyjne dotyczące historii najnowszej dla nauczycieli z Polski i Niemiec. Jedną z nich, zorganizowaną w 2007 roku w Zamościu, w części była poświęcona właśnie wysiedleniom z Zamojszczyzny. Dla tych nauczycieli w większości była to rzecz zupełnie nowa. Brałam też udział w pracach nad wspólnym polsko-niemieckim podręcznikiem do historii. Zgodnie uznaliśmy, że powinien on zawierać informacje o Generalnym Planie Wschodnim i Zamojszczyźnie jako przykładzie jego realizacji. Wskazuje się na to, że realizacja polityki wysiedleńczo-osadniczej przez Niemców na terenach ziem polskich począwszy od końcówki 1939 roku była jedną z przyczyn losu ludności niemieckiej w 1945 roku – ewakuacji, ucieczek, wysiedleń.

**W jaki sposób album można wykorzystać w szkole?**

Nauczyciel może przedstawić historię wysiedlanej Zamojszczyzny przez pryzmat losów konkretnych ludzi, wykorzystując fragmenty wspomnień, fotografie. Może podsunąć maturzystom do analizy fragmenty dokumentów, zeznań, relacji, wywiadów. Przydać się mogą też tabele i mapa. A oprócz tego albumowi towarzyszy wystawa, którą można zamówić do prezentacji w szkole. 📌

# Jestem dzieckiem szczęścia

**z Jerzym Skrzypliem, więźniem KL Auschwitz, Flossenbürg i Dachau rozmawia Maciej Foks**

**Znaczną część II wojny światowej spędził Pan w więzieniach i obozach. Na początek trafił Pan na Pawiak.**

Spotkałem kolegów – Heńka Wierzbickiego i Staśka Białeckiego, poznałem też Stefana Józwińskiego. Rozrzucałiśmy ulotki. Doniesiono na nas. Aresztowano mnie z mamą. Na Pawiaku byłem trzy lub cztery miesiące. W celi przebywało nas piętnastu. Było tak ciasno, że w nocy wszyscy przekręciliśmy się z boku na bok na komendę. Z powodu warunków higienicznych zachorowałem na świerzb. Trafiłem do izolatki. Na szczęście dzięki pomocy lekarza udało się mnie wyleczyć.

**Więźniów Pawiaka gestapo przesłuchiwało w Alei Suchoa...**

Po apelu wieczornym na Pawiaku *Schreiber* (pisarz) wyczytywał nazwiska osób, które nazajutrz miały być przewiezione na przesłuchanie. Podczas transportu przez zakratowane okno samochodu widziałem pl. Teatralny. Po przyjeździe umieszczano nas w tzw. tramwaju. Nazwa pochodzi od ustawienia siedzeń. Można to zobaczyć do dziś. Pamiętam, że za drugim razem przede mną siedziała dziewczyna. Cała pokrwawiona, włosy miała wyrwane ze skórą.

**Jak wobec Pana zachowywali się śledczy?**

Podczas pierwszego przesłuchania po ciosie od tyłu upadłem na stół. Paradoksalnie skorzystałem na tym. Udało mi się zgarnąć do kieszeni niedopałki papierosów z popielniczki. Wymieniłem je później na Pawiaku na pół chleba! Jeden z przesłuchujących był Niemcem polskiego pochodzenia, prawdopodobnie ze Śląska. Po drugim przesłuchaniu nie byłem już w stanie samodzielnie iść, do samochodu niósł mnie inny więzień. Szczęśliwie trzeciego przesłuchania nie było...

**Czyby oprawcy przygotowali dla schwytanych – jak to ujął w rozmowie z „Pamięcią.pl” Kazimierz Piechowski – „coś lepszego”?**

Samochodami zawieziono nas na Dworzec Wschodni i załadowano do wagonu podzielonego na cele. Ruszyliśmy. Po pewnym czasie pociąg stanął. Jeden z pasażerów przez siatkowe okno





**Jerzy Skrzypek** urodził się w 1920 roku w Warszawie; w czasie wojny za działalność antyniemiecką uwięziony na Pawiaku, następnie w Auschwitz, Flossenbürgu i Dachau; ofiara eksperymentów pseudomedycznych badających odporność organizmu na niskie temperatury; po wojnie otrzymał status inwalidy wojennego

zobaczył napis „Kattowitz”. „Już wiem, gdzie nas wiozą” – powiedział, ale zanim zdołał coś wyjaśnić, uciszył go strażnik.

### Po przekroczeniu bramy Auschwitz więzień stawał się numerem...

Numer obozowy tatuowano patykiem z igłą. Niestety, nie był to higieniczny sposób. Po trzech dniach spuchła mi ręka. Miejsce oznaczania ropiało. Nie pokazuję tatuażu do kamery, mam uraz.

### We wspomnieniach więźniów KL Auschwitz pojawia się Rapportführer Gerhard Palitzsch – jako budzący grozę oprawca. Spotkał go Pan na swojej drodze?

Szczęśliwie nie stałem się jego ofiarą. Widziałem jednak przez szpary między deskami, jak zabija więźniów. Piekło Dan-tego w stosunku do Auschwitz to małeńkie *Wesele Figara*. W obozie umierałeś wtedy, kiedy Niemiec miał na to ochotę. Na przykład w obozowym szpitalu co jakiś czas lekarze przeprowadzali obchód i oglądali leżących więźniów. Jeżeli człowiek nadawał się do leczenia, lekarze przechodzili dalej. W innym wypadku znaczonego pacjenta znakiem krzyża, za pomocą patyka z materiałem nasączonym tuszem. Następnego dnia zabierano kogoś takiego do Birkenau. Na ciężarówce

widziałem znajomego więźnia – spojrzał na mnie i złapał się za nos, co oznaczało: „Do gazu jadę”... Pamiętam, że musiałem kiedyś wraz z innymi więźniami ciągnąć wóz załadowany zwłokami do krematorium.

### Są w roku takie dni, w których – w czasie pokoju – nie spodziewamy się niczego złego. Jak Pan zapamiętał wojenne święta, Wigilię w obozie?

Wieczorem, po tzw. kolacji, wypędzono nas na zewnątrz. Mróz. Ustawiono nas i kazano śpiewać *Stille Nacht, heilige Nacht*. „Rozumiesz to?” – ryknął na mnie blokowy. Uderzył. Zgubiłem dwa zęby. Któryś z więźniów wpadł na pomysł, żeby nieznający języka niemieckiego mruczeli. To nas uratowało. Około północy pozwolono nam wrócić do bloków. Ledwo doszedłem do łóżka.

### Niemcy ustawili na terenie obozu choinkę?

Naturalnie, byli przecież „nosicielami kultury”. Drzewko stało nieopodal kuchni.

### Przeniesiono Pana wraz z grupą więźniów do Flossenbürga. Jakie prace wykonywał Pan w obozie?

Pracowałem w kamieniołomach, ale robiłem wszystko, żeby się stamtąd wydostać. Sprzątałem też esesmańskie baraki. Pewnego dnia zapytano nas, kto zna się na elektryce. Zgłosiłem się z kolegą. Po kilku dniach wyjechałem pociągiem z grupą więźniów w nieznanym kierunku. Po zatrzymaniu zobaczyliśmy napis „Dachau”. Po przybyciu do obozu skierowano nas do łaźni. Napis *Baderaum* znaleźmy z Auschwitz. Baliśmy się. Ale Wacek Rudnicki, mój kolega, dostrzegł krany i krople wody. Odkręcił. Nie do wiary – była ciepła! Rozkosz. Nie mając mydła, nacieraliśmy sobie plecy piaskiem, by zmyć z siebie wielomiesięczny brud.



▶ Więzień Dachau poddawany eksperymentom pseudomedycznym związanym z badaniem odporności organizmu na wychłodzenie

### Czy zauważył Pan inne różnice w porównaniu z poprzednimi obozami?

Kazano nam nosić kotły z obiadem. Zobaczyłem w nich kluski. Przestraszyłem się, że zabraliśmy jedzenie esesmańskie, a nie więźniarskie. Okazało się, że się myliłem. Warunki mieszkalne również były lepsze niż w Auschwitz i Flossenbürgu – materac, prześcieradło, poduszka pod głowę. Jeden ze starych więźniów wyjaśnił mi, że to jest obóz polityczny, do którego przyjeżdżają kontrole z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Odwiedziła nas komisja szwajcarska. Szwajcar pomachał ręką. „Jak się panom tu żyje?” – zapytał. Naprawdę zadał takie pytanie, kurza jego stopa! Nikt naturalnie słowa nie śmiał powiedzieć. Jedynie sztabowy [więzień funkcyjny – przyp. red.], Niemiec, poinformował: „Wszystko w porządku, więźniowie są najedzeni i zadowoleni”.

### Czy, będąc w obozie, miał Pan kontakt z rodziną? Czy bliscy wiedzieli, co się z Panem dzieje?

Przez przypadek spotkałem w obozie sąsiada, syna dozorczyńni z Towarowej 29. Był zaskoczony, że żyję. Poinformował mnie, że mój ojciec dostał zawiadomienie, że zmarłem na zapalenie płuc.

### W Dachau przeprowadzano eksperymenty na ludziach. Czy Pan także padł ofiarą tych zbrodniczych praktyk?

Podczas jednej z kąpielii do pomieszczenia wszedł oficer z Niemką i więźniem. Spisano nasze numery. Kilka dni póź-

► Tzw. tramwaj w dawnej siedzibie gestapo przy Alei Szucha w Warszawie

niej skierowano nas do szpitala. Obmierzono mnie, opukano i osłuchano. Następnego dnia usłyszałem za ścianą odgłos przesypanych kamieni. Walter Neff, więzień i zarazem asystent lekarza, zaprowadził mnie do większego pomieszczenia, w którym zauważyłem basenik z wodą, a na ścianach zegary. Byłem ubrany w kombinezon. Kazano mi wejść do wody. Początkowo odmawiałem, więc zmuszono mnie do tego biciem. Kamienie, które słyszałem zza ściany, okazały się bryłkami lodu. Neff dosypywał je kubłami do wanny. Poczulem strzykanie, ogromny ból w całym organizmie. Nie pamiętam, co działo się dalej – straciłem przytomność. Kilka dni byłem w śpiączce. Położono mnie samego w małym pokoiku. Obudził mnie Jugosłowianin, szarpiąc za ucho. „Pod łóżkiem masz zupe, jedz szybko, zanim przyjdzie Unterscharführer” – powiedział. Zauważyłem na ciele liczne ślady po uklucjach. Od czasu do czasu zaglądał do mnie Walter Neff, ale popatrzył tylko i wychodził. Kilka dni później ponownie przyszedł do mnie Jugosłowianin. „Jesteś dzieckiem szczęścia” – powiedział. „Dlaczego?” – zapytałem. „Doktor Sigmund Rascher został wezwany do Berlina i jeszcze nie wrócił” – odpowiedział. Na rewirze przebywałem około półtora tygodnia.

### Jak udało się Panu wydostać z rewiru?

Dzięki znajomym więźniom i *Schreiberowi* Janowi Domagale. Przyszedł do mnie i zapytał, gdzie chciałbym trafić. „Tam, gdzie jest ciepło” – odpowiedziałem. Po kilkudniowym pobycie na czeskim bloku dowiedziałem się, że jest przygotowywany transport do fabryki w Augsburgu. „Ciepło, sucho i nie ma deszczu” – pomyślałem. Zgłosiłem się. To były zakłady Messerschmitta. Nocowaliśmy w barakach, oddalonych o kilka kilometrów od fabryki. Montowałem z kolegą aparaty radiowe w samolocie Messerschmitt 410. Po wojnie wydano mi zaświadczenie, że zarobiłem 5048 marek. Firma poinformowała mnie, że nie mają rezerw finansowych na zadośćuczynienie moim żądaniom.

### Strategiczne zakłady zbrojeniowe były celem alianckich bombardowań.

Przeżyłem kilka nalotów. W dzień atakowali „kowboje”, a w nocy Anglicy, których nazywaliśmy „kotami”. W pierwszym nalocie zginęło około siedemdziesięciu więźniów. Zbieraliśmy trupy, nieraz fragmenty ciał. Pamiętam, że podczas nocnego nalotu kazano nam uciekać do lasu. Nie dał nam osłony. Do padających bomb doszły walące się drzewa. Wątpiłem, czy przeżyję. Po bombardowaniach niektórzy Niemcy płakali.

### Czy więźniów spotykały jakieś represje w odwecie za alianckie naloty?

Nie. Zapamiętałem jednak egzekucję za sabotaż w fabryce. Ktoś przeciął kabel w samolocie. Nie można było zidentyfikować sprawcy, więc publicznie powieszono szesnastu więźniów. Kiedy zniszczono baraki, wywieziono nas z Gablingen do Kempten. W końcu przetransportowano nas z powrotem do Dachau.

### Czy zabierano was do sprzątanu terenu miasta?

Kilkakrotnie. Niemcom brakowało rąk do pracy. Pamiętam, że kiedy szliśmy przez Dachau, szczeniaki z Hitlerjugend rzucały w nas ogryzkami jabłek... Podnosiliśmy je i zjadaliśmy. Kiedy młodzi Niemcy zorientowali się, co robimy, zamienili jabłka na kamienie...

### Jak Pan zapamiętał wyzwolenie Dachau?

Siedziałem i zabijałem wszy. Usłyszałem plotki, że Amerykanie są w obozie. Wyszedłem. Zobaczyłem jeepa z karabinem maszynowym zamontowanym na stojaku. Zbaraniałem. Poprosiłem żołnierza o papierosa. Dał mi całą paczkę. Nigdy jej nie zapomnę. Czerwone kółeczko z napisem „Lucky” w środku. W obozie to był majątek. Żołnierz zapytał, czy jestem więźniem politycznym. Potwierdziłem. „Jesteś wolny?” – powiedział. Ze wzruszenia oczy mi się zaszkliły. Amerykanie częstowali jedzeniem. Pamiętam Rosjanina, który zjadł bardzo dużą porcję zupy. Złapał się za brzuch i zmarł. Żle się poczułem. Znajomy zatrzymał samochód z francuskimi żołnierzami. Trafiłem do niemieckiego szpitala w Krumbach. Po kilku dniach pobytu ubrałem się w pasiak i wyszedłem. Ludzie patrzyli na mnie jak na cyrkowego clowna. Po drodze zabrali mnie Amerykanie i zawieźli do miasteczka. Burmistrzowi kazali udzielić mi noclegu. „Tak jest, proszę bardzo, niech pan za mną idzie” – ten człowiek był gotów upaść na kolana. Niemcy byli już wtedy grzeczni, absolutnie. Dostałem pokój w hoteliku. Zwaliłem się na łóżko i zasnąłem. Po przebudzeniu rozejrzałem się. Na stoliku czekała na mnie... szklanka mleka. „Ja bym was tu, kurczę, wszystkich rozstrzelał...” – pomyślałem. Wróciłem do Augsburga.

### Kiedy wrócił Pan do Polski?

W 1947 roku. W Warszawie zastałem gruzy. Aresztowano mnie. Oskarżono, że przyjechałem podważyć godność Polski Ludowej. Po przesłuchaniach wypuszczono mnie. Chciałem wyjechać za granicę, ale nic z tego nie wyszło.

### Czy Pana najbliżsi przeżyli wojnę?

Brat zginął w Powstaniu Warszawskim. Ojcu udało się zbiec z kościoła św. Wojciecha na Woli, gdzie rozstrzelano setki osób. Uciekł później z pociągu i resztę wojny pracował u leśniczego. Moja mama przeszła przez Ravensbrück i Neuengamme. Została uratowana i wywieziona do Szwecji. Zdecydowała się na powrót do kraju. Żałowała tego.

### Czy spotkał Pan kogoś z dawnych współwięźniów?

Tak. Do naszej celi na Pawiaku trafił kiedyś niezwykle otępy

Fot. ze zbiorów J. Skrzyпка



► Jerzy Skrzypek w obozowym pasiaku

mężczyzna. Po wojnie podczas spaceru Marszałkowską zaczął mnie niezmiernie ucieszony przechodzić. „Nie poznaje mnie pan?” – zagadnął. „Niestety” – odpowiedziałem. „Nie pamięta pan grubego więźnia z celi na Pawiaku?” „Pamiętam, ale...” – nie wiedziałem, co powiedzieć. „Zeszczuplałem, prawda? To efekt więziennej diety. Gdybym dziś spotkał Hitlera, postawiłbym mu za to pół litra” – zażartował.

### Jednym z uciekinierów z Auschwitz był August Kowalczyk. Poznał go Pan?

Po wojnie weryfikowałem wnioski o przyznanie karty kombatanckiej.

Przyszedł do mnie. „Wie pan, panie kolego...” – zaczął nieśmiało. Przypomnę, że po wspomnianej ucieczce rozstrzelano grupę więźniów. „Proszę pana, każdy ma prawo bronić swojego życia” – odpowiedziałem. Namówiłem go, żeby napisał wniosek. „Gdyby pan zrezygnował, biorąc całą winę na siebie, poczułbym, że pan się złamał. Jak to, z Auschwitz dał pan dyla, a teraz pan się łamie?” – powiedziałem na zakończenie rozmowy. Ten popularny aktor uczynił wiele dobrego, przyczyniając się później do powstania hospicjum dla byłych więźniów obozu. Żałuję, że nie mogłem być na jego pogrzebie.

### Czy w czasach PRL dostał Pan odszkodowanie za pobyt w obozach koncentracyjnych?

Przyznano mi 40 tys. marek. Niestety rząd PRL zamienił je na bony towarowe, za które mogłem zrobić zakupy w Peweksie. Poczułem się okradziony.

### Ostatnio sporo mówi się o tym, czym jest patriotyzm. Na koniec zapytam, co dla Pana znaczy to słowo.

Umiłowanie ojczyzny – przed wojną, kiedy przychodziliśmy do szkoły, śpiewaliśmy „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie”. Pamiętam, jak w harcerskim mundurze odprowadzałem weterana Powstania Styczniowego na Pole Mokotowskie. Starszy pan miał łaskę, granatowy mundur, czerwone wszywki i rogatywkę. Nie miał jednak brody, jak ten na okładce styczniowej „Pamięci.pl”. Byłem bardzo dumny. Dorożkarzowi kazałem jechać przez Towarową, by sąsiedzi mogli zobaczyć, kto ze mną podróżuje.

### Uważa Pan, że jugosłowiański więzień miał rację?

Przeszedłem cało przez trzy obozy. Chyba jednak jestem *ein Glückskind*... 🍀

# Akademie czerwonej elity

Mirosław Szumiło

Jednym z najważniejszych etapów w karierze partyjnej czołowych działaczy PZPR ze starszego pokolenia – byłych członków Komunistycznej Partii Polski w okresie międzywojennym – była nauka w specjalnych szkołach Międzynarodówki Komunistycznej (Kominternu). Ta „rewolucyjna edukacja”, mająca duży wpływ na kształtowanie światopoglądu i postaw politycznych, jest jednym z najmniej znanych wątków z historii polskiego ruchu komunistycznego.

**N**ajśłynniejszą szkołą Kominternu była Międzynarodowa Szkoła Leninowska (MLSZ), zwana „Leninówką”, która działała w Moskwie w latach 1926–1938. Powstała na bazie uruchomionych dwa lata wcześniej kilkumiesięcznych kursów marksizmu-leninizmu. Oficjalnie funkcjonowała jako część składowa Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina. Faktycznie była zakonspirowaną sekcją Kominternu. Pierwszym rektorem szkoły został Nikołaj Bułganin, towarzysz Lenina, członek ścisłego kierownictwa

Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Zasadniczy kurs „Leninówki” trwał

dwa i pół roku. Ogólnym celem tej kuźni kadr było „wyszkolenie pracowników partyjnych, w pełni przygotowanych teoretycznie, uzbrojonych w metodologię marksistowsko-leninowską, mogących zostać bolszewickimi przywódcami mas i kierownikami walki rewolucyjnej”.

## Kadra zawodowych rewolucjonistów

W „Leninówce” jednorazowo uczyło się kilkuset słuchaczy, podzielonych na cztery sektory językowe: rosyjski, niemiecki,

francuski i angielski. Pochodzili z pięciu kontynentów, tworząc swego rodzaju miniaturę Międzynarodówki. W większości trafiali tam ludzie młodzi – w wieku dwudziestu, trzydziestu lat – ale zdarzali się także czterdziestolatkowie. Jednym z najmłodszych słuchaczy był dwudziestoletni Roman Zambrowski, późniejszy członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (1945–1963) i zarazem przewodniczący osławionej Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. W swoich niepublikowanych wspomnieniach pisał o kolegach ze szkoły: „Była to kadra zawodowych rewolucjonistów, względnie kandydatów na zawodowych rewolucjonistów, którzy w teorii marksizmu widzieli najcenniejszy drogowskaz w ich praktycznej działalności, a w bolszewizmie – jedyny, historycznie sprawdzony oręż walki

► Nauczyciele z wizytą u swoich uczniów; od lewej: marsz. ZSRS i PRL Konstanty Rokossowski, premier PRL Józef Cyrankiewicz, marsz. ZSRS Iwan Koniew i Geоргий Żukow, szef sowieckiego MSZ Wiaczesław Mołotow, premier ZSRS i rektor „Leninówki” Nikołaj Bułganin, I sekretarz PZPR Bolesław Bierut, przewodniczący Rady Państwa PRL Aleksander Zawadzki; Warszawa 1955 rok





▶ Roman Zambrowski

o zdobycie mas dla sprawy rewolucji socjalistycznej”. Międzynarodową Szkołę Leninowską ukończyło w sumie ponad 3 tys. ludzi, tworzących tzw. aktyw kierowniczy wszystkich partii komunistycznych na świecie, wśród nich przywódcy komunistycznej Jugosławii (Josip Broz Tito) i Niemieckiej Republiki Demokratycznej (Erich Honecker).

Członkowie Komunistycznej Partii Polski (KPP) byli przydzieleni do sektora rosyjskiego. W grudniu 1929 roku na II roku w tymże sektorze znajdowało się 35 osób: piętnaście z Polski, pięć z Bułgarii, cztery z ZSRS, cztery z Chin, dwie z Litwy oraz po jednym przedstawicielu Estonii, Czechosłowacji, Jugosławii, Persji i Mongolii. Według wspomnień Zambrowskiego, na obu rocznikach (I i II) uczyło się wówczas około dwudziestu Polaków. Każdy rok był podzielony na dwie grupy („krużki”). W spisie wszystkich słuchaczy szkoły z lat 1926–1931 figurują w sumie 82 osoby z Polski. Pełny kurs „Leninówki” ukończyli późniejsi członkowie Biura Politycznego KC PZPR: Bolesław Bierut, Zenon Nowak i Roman Zambrowski, a także inni znani działacze PPR i PZPR, m.in. Stefan Staszewski i Julian Tokarski. Na mocy rozporządzenia ministra oświaty z 10 maja 1950 roku ukończenie dwupółrocznego kursu „Leninówki” uznano za równoznaczne z ukończeniem szkoły wyższej w Polsce.

### Jak fałszować dokumenty

Do podstawowych przedmiotów nauczanych w MLSZ należały: ekonomia po-

lityczna, polityka ekonomiczna ZSRS, materializm dialektyczny i historyczny, historia międzynarodowego ruchu robotniczego, historia WKP(b), leninizm, nauka o wojnie, tzw. budownictwo partyjne, ruch zawodowy, system pracy nad książką (tj. pracy naukowej). Program opierał się na teorii i praktyce działania partii bolszewickiej oraz władzy sowieckiej i był w głównej mierze nastawiony na „bolszewizację słuchaczy”. Studiowali oni przede wszystkim najważniejsze dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Wykładowcy MLSZ wywodzili się z grona pracowników aparatu partyjnego. Przeważnie byli absolwentami moskiewskiego Instytutu Czerwonej Profesury, kształcącego marksistowskie kadry dydaktyczno-naukowe. Zamiast tradycyjnych stopni wystawiali opisowe charakterystyki, okresowo oceniające postępy poszczególnych słuchaczy.

Dużą wagę przywiązywano do nauczania metod „roboty konspiracyjnej”, które obejmowało łącznie sześćdziesiąt godzin lekcji teoretycznych i 111 godzin zajęć praktycznych. Słuchaczy zapoznawano z technikami prowadzenia szyfrowanej korespondencji, fałszowania dokumentów, działalności wydawniczej (typografii) oraz kolportażu literatury i ulotek. Uczono metod organizowania nielegalnych zebrań i demonstracji, a także walki z prowokacją. Udzielano instrukcji dotyczących zachowania się podczas aresztowania i śledztwa. W ścisłej konspiracji odbywało się przeszkolenie wojskowe, które według pamiętników Władysława Gomułki polegało na nauce posługiwania się kilkoma rodzajami ręcznej broni palnej i rzucania granatami.

Istotną rolę w programie MLSZ odgrywały tzw. „roboty praktyczne” w terenie, na które przeznaczano letnie okresy wakacyjne oraz kilka ostatnich miesięcy pobytu w szkole, już po zakończeniu kursu teoretycznego. Polegały one głównie na pracy w partyjnych komórkach fabrycznych i komitetach rejonowych WKP(b), a także na czynnym udziale w akcji kolektywizacji wsi. Na przykład latem 1929 roku słuchacze, podzieleni na piętnasto-, dwudziestopięciosobowe grupy, wyjeź-

dźali do wielkich fabryk w Iwanowo-Wozniesieńsku i Leningradzie oraz na budowy potężnych zapór i elektrowni wodnych na Dnieprze i w Wołchowcie. Ich zadaniem było poznawanie warunków pracy robotników, form działalności organizacji partyjnych, metod prowadzenia „kampanii politycznych” itp. Rezultatem praktyk miało być wykorzystanie we własnym kraju „doświadczenia rosyjskiego proletariatu w kwestii przygotowania i zdobycia władzy”.

### Wikt i opierunek za język za zębami

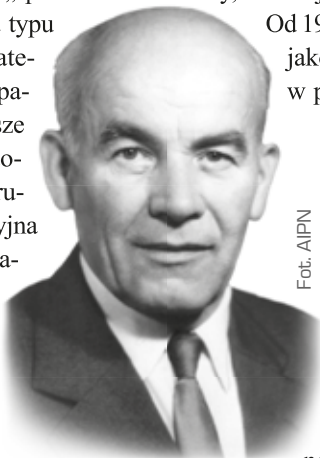
Wszystkim słuchaczom szkoła zapewniała zakwaterowanie w internacie, wyżywienie i stypendium wystarczające do zaspokojenia podstawowych potrzeb osobistych, zakupu literatury itp. Wymagano natomiast przestrzegania zasad konspiracji. Wskazane było, aby jak najmniej osób wiedziało o pobycie danego słuchacza w „Leninówce”. Korespondencję z rodziną ograniczano do minimum. W czasie nauki obowiązkowo posługiwano się zmienionymi personaliami, np. Roman Zambrowski funkcjonował wówczas jako „Bolesław Lutowicz”, a Bolesław Bierut jako „Wagner”.

Zambrowski uczył się w „Leninówce” w latach 1929–1931. Jego wspomnienia, choć nie w pełni szczerze, pokazują konfrontację przybyśza z rzeczywistością sowiecką, tak idealizowaną w wyobrażeniach młodych komunistów z Polski i innych krajów. Pierwsze wrażenia były wręcz entuzjastyczne: „Był marzec 1929 roku. W sklepach spożywczych towaru było jeszcze w bród, mnie powodziło się materialnie wręcz znakomicie: bezpłatna bursa, darmowe dobre wyżywienie i oprócz tego wysokie stypendium (50 rubli). A za kilka rubli można było przyjąć paru kolegów poczęstunkiem, na który składał się i kawior, i świetne ryby – jesiotr, łosoś – a nawet butelka znakomitego wina gruzińskiego”. Kwota stypendium zdecydowanie przewyższała poziom średniej płacy sowieckiego robotnika. Ferie zimowe i letnie słuchacze MLSZ spędzali w atrakcyjnych ośrodkach wypoczynkowych. Zambrowski ▶

odpoczywał w Anapie w Kraju Krasnodarskim, Nowym Afonie i Suchumi w Abchazji, sanatorium w Jalcie na Krymie, a także w Siestroriecku koło Leningradu.

### Kameralny Bierut, wyrobiony Gomułka

Wśród słuchaczy II roku był w tym czasie trzydziestosiedmioletni Bolesław Bierut, który w pamięci Zambrowskiego z tego okresu utrwalił się jako „człowiek skromny i życzliwy w stosunkach z towarzyszami”, a także „sprawiający wrażenie działacza typu kameralnego może dlatego, że jako mówca wypadł tym lepiej, im mniejsze przed sobą miał audytoryum”. Do tej samej grupy należała m.in. „partyjna żona” Bieruta, Małgorzata Fornalska. Bierut uchodził za jednego ze zdolniejszych słuchaczy. W jego szkolnej charakterystyce zapisano: „Aktywność w pracy akademickiej i partyjno-politycznej dobra.



► Władysław Gomułka

Umie powiązać zagadnienia teoretyczne z aktualnymi problemami działalności WKP(b) i Kominternu. [...] Wykorzystuje swoją wiedzę teoretyczną w pracy praktycznej. Posiada dobre zdolności organizacyjne, potrafi docierać do mas. Brał aktywny udział w propagandzie internacjonalizmu, przejawiał inicjatywę. Dobrze występował. Zdyscyplinowany. Należy wykorzystywać go w pracy organizacyjno-propagandowej”.

W tym czasie nastąpiło rozstrzygnięcie trwającej od 1926 roku w łonie KPP zaciętej walki frakcyjnej między „większością” i „mniejszością”. W rzeczywistości obie frakcje różniły się tylko w pewnych kwestiach taktycznych, a ich rywalizacja była po prostu brutalną walką o władzę w partii. Zwycięstwo „mniejszości” zmusiło zwolenników „większości”, w tym Bieruta, do tłumaczenia się z rzekomych „błędów”. Komórka partyjna rosyjskiego sektora MLSZ podję-

ła rezolucję potępiającą Bieruta za „nieodstateczne zerwanie swoich ideowych związków z prawymi w KPP”. Bierut po złożeniu obszernych wyjaśnień uniknął groźniejszych konsekwencji, nie mógł jednak wrócić do pracy partyjnej w kraju. Na dwa lata został oddany do dyspozycji Bałkańskiego Sekretariatu Krajowego Kominternu. Uczestniczył wówczas w tajnych misjach na terenie Austrii, Czechosłowacji i Bułgarii.

W 1924 roku uruchomiono w Kraskowie pod Moskwą kilkumiesięczne kursy, znane jako Szkoła Partyjna KPP.

Od 1929 roku funkcjonowały one jako polska filia „Leninówki” w postaci tzw. kursów krótkoterminowych, tj. dziewięciomiesięcznych. Jednym z kursantów był Władysław Gomułka („Stefan Kowalski”), który przebywał w szkole w latach 1934–1935. W przeciwieństwie do Bieruta, na Gomułce nie ciążyły zarzuty o udział w walce frakcyjnej. Dostrzegano natomiast u niego inne braki i wady osobiste. W charakterystyce

słuchacza stwierdzono: „Przyjechał na szkołę politycznie wyrobiony i dobrze przygotowany, jeśli chodzi o ogólne wykształcenie. Był zwolennikiem byłej mniejszości, występował zawsze za linią partii, za obecnym kierownictwem z tow. Leńskim [właśc. Julianem Leszczyńskim] na czele. Zdolny, pracowity, zdyscyplinowany, samodzielny. Szerzego rozmachu politycznego w szkole nie ujawnił. Błędy jego poszczególne, popełniane w szkole, szły po linii niedociągnięć w dziedzinie organizowania walk politycznych. W stosunkach z towarzyszami cechowała go pewna oschłość, drażliwość, skłonność zamykania się w sobie. Starał się to przezwyciężyć”.

### Silna reprezentacja Polaków

Od 1922 roku w Moskwie działał Komunistyczny Uniwersytet Mniejszości Narodowych Zachodu (KUNMZ), którego pierwszym rektorem był polski ko-

munist Julian Marchlewski. Uczelnia ta składała się z trzynastu sektorów, grupujących różne narodowości zamieszkujące zachodnią część Związku Sowieckiego i kraje sąsiednie. Polacy stanowili jeden z najliczniejszych sektorów. Nauka trwała dwa lata. Atmosferę panującą w KUNMZ barwnie opisała w swoich wspomnieniach Celina Budzyńska. Było to prawdziwie międzynarodowe towarzystwo: „Dzieci w KUNMZ-ie pojawiały się w trybie przyspieszonym i stanowiły żywe wcielenie hasła »proletariusze wszystkich krajów łączcie się«, bo w tej wieży Babel małżeństwa były najczęściej internacjonalne. W KUNMZ-owskim żłobku i przedszkolu słyszało się różne dziwne imiona: Wilen, Władlen, Marat, Oktiabrina albo polskie – Julmar (Julian Marchlewski), Ludwar (Ludwik Waryński)”. W gronie absolwentów KUNMZ znalazł się m.in. powojenny minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz, a także jego zastępca Roman Romkowski. W ogóle Polacy byli jedną z najliczniejszych grup narodowych w szkołach Kominternu. Wynikało to zarówno z liczebności KPP, jak i znaczenia Polski w polityce Kominternu i Związku Sowieckiego.

Na podstawie relacji możemy stwierdzić, że szkoły były infiltrowane przez sowieckie służby specjalne. Absolwentów wykorzystywano do działalności wyrotowej, mającej na celu destabilizację sytuacji w II Rzeczypospolitej. Część z nich prowadziła też pracę wywiadowczą. W świetle wspomnień Zambrowskiego kurs szkoleniowy w zakresie wywiadu odbyli np. absolwenci KUNMZ – Bolesław Mołojec i Roman Romkowski. Niestety, brak dostępu do dokumentów archiwalnych nie pozwala na określenie skali tego procederu.

### Spadochroniarze

Od 1927 roku w Wojskowej Szkole Politycznej KPP pod Moskwą („wojskowiec”) kształcono kadry aktywistów przeznaczonych do prowadzenia działalności szpiegowskiej i wyrotowej w „burżuazyjnym” Wojsku Polskim oraz organizowania w przyszłości „rewolucyjnej

armii”. W trakcie sześciomiesięcznego kursu komuniści poznawali tam zasady konspiracji, różne typy nowoczesnej broni, techniki posługiwania się materiałami wybuchowymi i metody sabotażu, sztukę prowadzenia walki w mieście. Ponadto uczyli się kierować samochodem, motocyklem i lokomotywą oraz skakać na spadochronie. Wykładowcami byli wyżsi oficerowie Armii Czerwonej, a wszyscy słuchacze nosili sowieckie mundury. Co roku szkołę opuszczało około dwudziestu, trzydziestu absolwentów. W pierwszej połowie lat trzydziestych kierownikiem „wojskówki” był gen. Karol Świerczewski „Walter”, a najbardziej znanym polskim absolwentem – Aleksander Zawadzki, późniejszy przewodniczący Rady Państwa PRL.

W latach 1937–1938, w ramach wielkiej czystki w szeregach Kominternu, zlikwidowano też wszystkie wymienione szkoły, a większość słuchaczy padła ofiarą stalinowskiego terroru. Na to miejsce uruchomiono w roku 1940 roczną Szkołę Polityczną Kominternu, mieszczącą się początkowo w Nagornoje, a następnie w Puszkino koło Moskwy. W październiku 1941 roku ewakuowano ją do Kuznarenkowa koło Ufy, stolicy Baszkirii. Szkolono tam liczne grupy komunistów niemieckich, czechosłowackich,

hiszpańskich, włoskich, francuskich, węgierskich, rumuńskich, austriackich i polskich. Istniała też zakonspirowana grupa koreańska. W programie kształcenia istotne miejsce zajmowało przeszkolenie wojskowe i wywiadowcze. Oprócz przygotowania działaczy wysyłanych na „robotę partyjną” do poszczególnych krajów, wśród słuchaczy dobierano również współpracowników sowieckiego wywiadu.

Już jesienią 1940 roku do Szkoły Politycznej Kominternu skierowano dziesięcioosobową grupę zweryfikowanych polskich komunistów, którzy mieli tworzyć kadre kierowniczą przyszłej partii. 28 grudnia 1941 roku tę tzw. Grupę Inicjatywną zrzucono na spadochronach na polach Wiązowny pod Warszawą. Znajdowali się w niej pierwsi trzej przywódcy Polskiej Partii Robotniczej: Marceli Nowotko, Bolesław Mołojec i Paweł Finder. W latach 1941–1943 wysyłano do Kuznarenkowa kolejnych działaczy, którzy potem byli sukcesywnie przerzucani do kraju. Jednym z wykładowców i zarazem kierownikiem całej polskiej grupy w szkole był Jakub Berman, dla którego rozpoczęła się wtedy wielka kariera partyjna. Nadzór ideologiczny nad grupą sprawowała Zofia Dzierżyńska, wdowa po osławionym „krwawym Feliksie”.

W 1943 roku, wraz z rozwiązaniem struktur Kominternu, zamknięto także szkołę w Kuznarenkowie. Po wojnie w Moskwie reaktywowano „Leninówkę”, funkcjonującą odtąd jako Wyższa Szko-

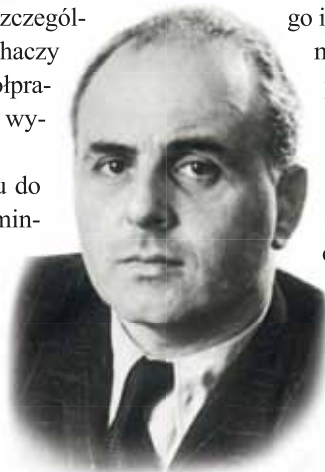
ła Partyjna. Działacze PZPR średniego szczebla odbywali w niej trzyletnie studia lub też krótsze, trzymiesięczne, a potem sześciotygodniowe kursy szkoleniowe. W latach siedemdziesiątych oprócz nudnych wykładów obejmowały one również

zwiedzanie miasteczka kosmicznego i urzędów wojskowych, co miało wpoić w kursantów przekonanie o niezwykłej potęgze ZSRS. Wyjazdy na kursy w Moskwie cieszyły się dużą popularnością ze względu na atrakcyjne warunki finansowe.

Stypendium wynosiło 180 rubli miesięcznie, podczas gdy 1 gram złota kosztował 30 rubli. Kursanci mogli robić zakupy w słynnej „Kremłowce” – specjalnym sklepie dla partyj-

nych dygnitarzy. Wśród absolwentów moskiewskich kursów był m.in. Jerzy Szmajdziński, w latach 1984–1989 pełniący funkcję przewodniczącego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP).

Nauka w szkołach Kominternu stanowiła z całą pewnością bardzo ważny etap w karierze politycznej polskich komunistów. Przygotowała ich do pełnienia roli „zawodowych rewolucjonistów”. Dostarczyła wiedzy teoretycznej z zakresu marksizmu-leninizmu oraz wielu wskazówek praktycznych, dotyczących zarówno metod konspiracji i walki z „wrogiem klasowym”, jak i zachowania się w trakcie rozliczeń wewnątrzpartyjnych. Doświadczenia „czystki”, samokrytyki i walki z różnymi odchyleniami nie mogły pójść w zapomnienie. W ten sposób kształtowała się stopniowo mentalność stalinowska, charakterystyczna dla większości komunistów z pokolenia KPP. Opisana powyżej edukacja miała niewątpliwie wpływ na ich decyzje i postawy w okresie, gdy pełnili już kierownicze stanowiska w partii i w państwie. ❀



► Jakub Berman

Fot. AIPN



► Karol Świerczewski

Fot. PAP/Bogusław Lambach

dr Mirosław Szumilo – adiunkt w Zakładzie Historii Społecznej XX wieku Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

# Ku „Międzymorzu”

Marek Hańderek

**Polskim politykom i naukowcom marzył się silny blok państw od Bałtyku do Morza Czarnego i Adriatyku, który przeciwstawiłby się dominacji Niemiec i sowieckiej Rosji. Nad realizacją tej wizji pracował powołany pod okupacją Instytut Europy Środkowej.**

**W** roku 1943, gdy wojska niemieckie kontrolowały całe terytorium II Rzeczypospolitej i toczyły zacięty bój ze Związkiem Sowieckim o panowanie nad Europą, na okupowanych ziemiach polskich tworzone były w konspiracji projekty przebudowy europejskiego ładu politycznego, stojące w opozycji zarówno do planów niemieckich, jak i sowieckich. Polscy politycy liczyli na to, że podobnie jak miało to miejsce w I wojnie światowej, najpierw Niemcy pobiją Rosjan (Sowieców), a następnie sami ulegną aliantom zachodnim. W związku z tym snuto geopolityczne plany na okres powojenny. Za cel stawiano zbudowanie silnego bloku państw ulokowanych w „Międzymorzu” bałtycko-czarnomorsko-adriatyckim, który zapewniłby małym i średnim narodom Europy Środkowo-Wschodniej bezpieczeństwo i rozwój.

## Starania Piłsudskiego, przemyślenia Becka

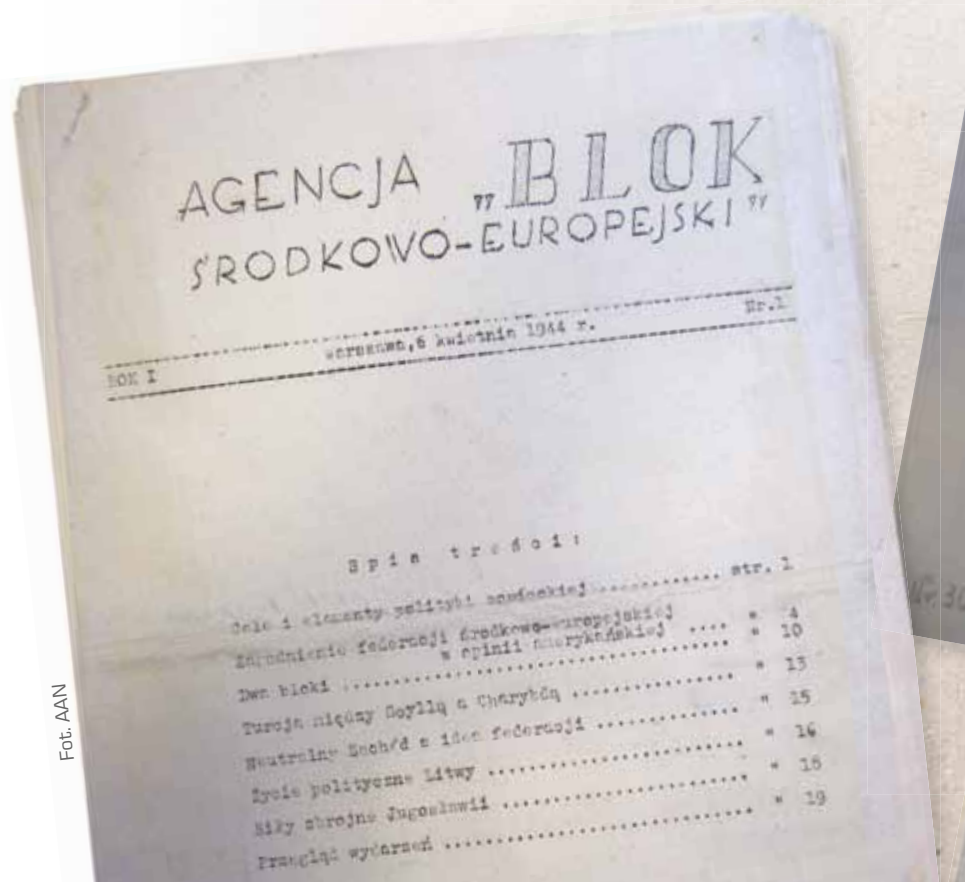
Projekty stworzenia jakiejś formy imperium między Niemcami a Rosją nie były wymysłami okresu II wojny światowej. Koncepcje tego typu pojawiały się w rozważaniach niektórych polskich polityków już w dobie zaborów. Jednym z najważniejszych zwolenników takiego rozwiązania był książę Adam Jerzy Czartoryski. Brak państwowości polskiej oraz niekorzystna koniunktura między-

narodowa sprawiły jednak, że aż do drugiej dekady XX wieku nikomu nie udało się na poważnie podjąć próby zjednoczenia narodów „Międzymorza”. Dopiero skutki I wojny światowej, która zantagonizowała zaborców, stworzyły ku temu lepsze warunki. Klęska wojenna Niemiec i rozpad Austro-Węgier oraz chaos rewolucyjny w Rosji umożliwiły powstanie na terenach wcześniej zajmowanych przez te imperia wielu mniejszych państw, w tym odrodzonej Rzeczypospolitej. Naturalne w opinii wielu polskich polityków było dążenie do ich zjednoczenia, by nie padły one po raz kolejny ofiarą – chwilowo osłabionych – wielkich sąsiadów.

Konkretne działania zmierzające do powstania federacji środkowoeuropejskiej podjął u zarania niepodległości Józef Piłsudski. Ich wyrazem może być odezwa *Do mieszkańców byłego W. Księstwa Litewskiego*, ale także pomoc w wyzwoleniu Łotwy spod okupacji bolszewickiej czy wspólna wyprawa

z ukraińskimi wojskami Symona Petlury przeciw czerwonej Rosji. Wysiłki te nie przyniosły jednak pożądanego efektu, głównie ze względu na sporne kwestie między potencjalnymi członkami federacji. Z tych samych względów nie powiodły się zabiegi podejmowane pod koniec lat trzydziestych przez polskiego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Jego projekt stworzenia „Trzeciej Europy” nie został sfinalizowany.

Wybuch II wojny światowej i zdominowanie po raz kolejny Europy Środkowo-Wschodniej przez Niemcy i Rosję (Sowiecką) doprowadziły zwolenników „Międzymorza” do przeświadczenia, że konflikty między narodami regionu są problemami drugorzędnymi w zestawieniu z zagrożeniem niemieckim i rosyjskim. Co więcej, o ile w okresie międzywojennym zwolenników budowy imperium środkowoeuropejskiego można było znaleźć przede wszystkim wśród piłsudczyków, narodowców i konserwatyistów, o tyle w czasie wojny projekt ten w ogólnym zarysie został zaakceptowany przez wszystkie najważniejsze siły polityczne. Już w listopadzie 1939 roku rząd gen. Władysława Sikorskiego, tworzony





przez działaczy Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Pracy oraz Polskiej Partii Socjalistycznej, w jednym ze swoich dokumentów deklarował: „Jednocześnie walczy Polska wraz ze sprzymierzonymi o taką budowę Europy Środkowoschodniej, która przywróciłaby wolność Austrii i Czechosłowacji oraz dała oparcie krajom bałtyckim, a zarazem wytworzyła między Bałtykiem a M. Czarnym i Adriatykiem zwarty i zgodny we współdziałaniu wał państw”. Program rządu przez długi czas miał poparcie ze strony aliantów zachodnich, którzy w projektowanej federacji dostrzegali potencjalny ośrodek stabilizacji, jakim niegdyś w tej

części Europy była monarchia Habsburgów. W takich warunkach emigracyjne władze polskie rozpoczęły serię długich rozmów z przedstawicielami Czechosłowacji i Jugosławii, które doprowadziły do podpisania wstępnych deklaracji poparcia dla omawianej koncepcji.

**Silna ekipa**

W tej sytuacji prace teoretyczne nad problemami „Międzymorza”, prowadzone w okupowanej Polsce przez liczne grupy konspiracyjne, były działaniami jak najbardziej uzasadnionymi. Największy rozmach na tym polu przedstawiała „Unia”. Było to ugrupowanie o profilu chadeckim, kierowane przez Jerzego Brauna, zrzeszające wiele wybitnych osobistości świata nauki, kultury i poli-



Fot. NAC

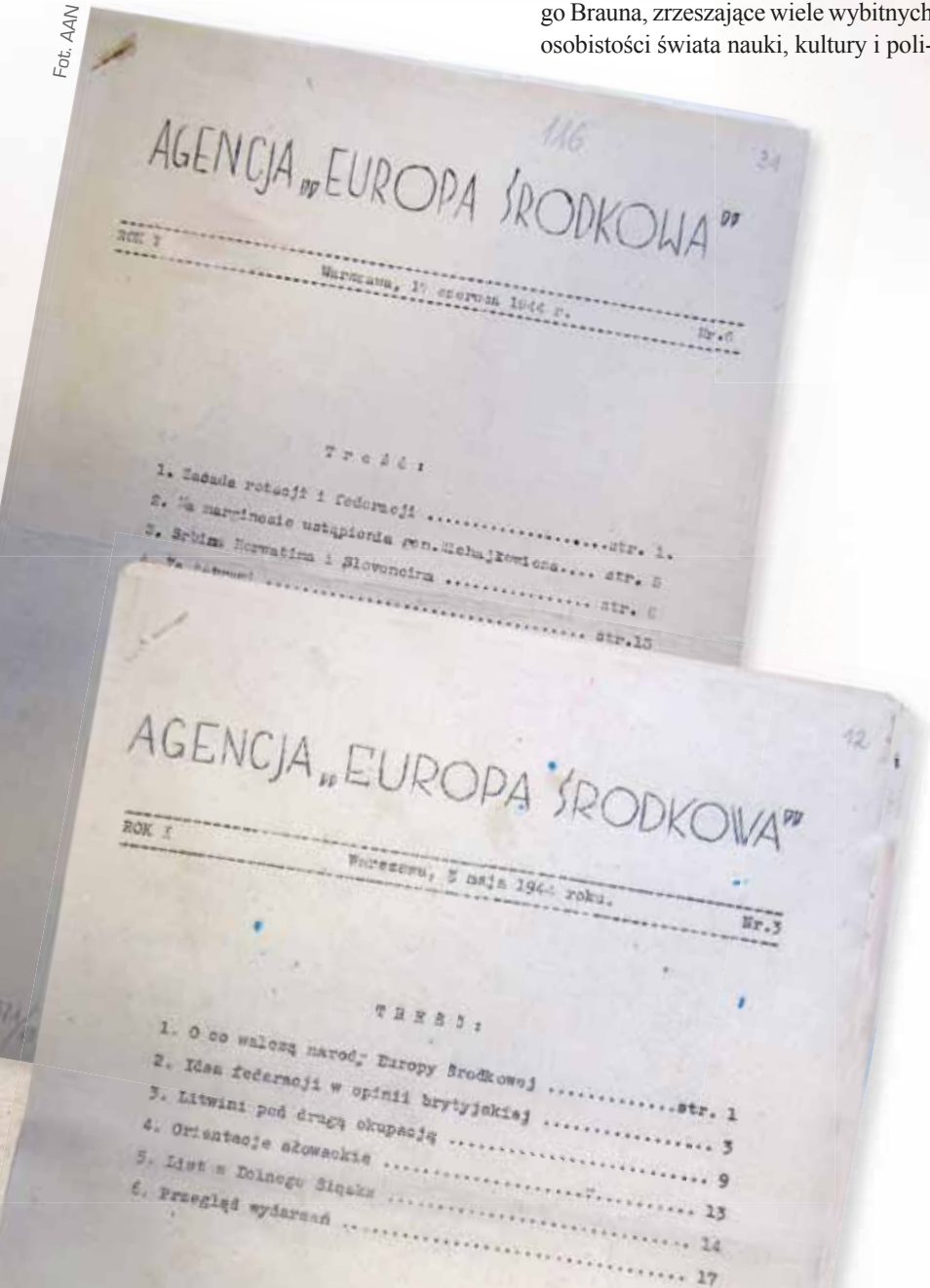
► Jerzy Braun

tyki, takich jak: Zofia Kossak-Szczucka, Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa czy młody Karol Wojtyła. Na początku 1943 roku „Unia” połączyła się ze Stronnictwem Pracy, postrzeganym jako polityczne zaplecze gen. Sikorskiego, dzięki czemu zyskała spore wpływy w oficjalnych strukturach Polskiego Państwa Podziemnego.

Od pierwszych miesięcy istnienia na łamach swojego głównego organu prasowego, którym był miesięcznik „Naród” – a także w odezwach ideowych, takich jak *Światopoglądowe podstawy unionizmu* czy *Unionizm. Podstawowe zasady doktryny* – członkowie organizacji pisali o potrzebie stworzenia drogą pokojową imperium środkowoeuropejskiego. Nie było to jednak nic nadzwyczajnego w zestawieniu ze zbieżnymi rozważaniami przedstawicieli innych organizacji konspiracyjnych. Tym, co wyróżniało „Unię” na ich tle, było podjęcie intensywnych działań mających ułatwić zjednoczenie państw „Międzymorza”. Działania te prowadzono w ramach Instytutu Europy Środkowej (IEŚ).

Powstał on w pierwszej połowie 1943 roku, a głównym jego organizatorem był prezes „Unii” Jerzy Braun, który już przed wojną na łamach redagowanego przez siebie dwutygodnika „Zet” opowiadał się za stworzeniem bloku ►

Fot. AAN



AGENCJA „EUROPA ŚRODKOWA”  
 Warszawa, 17 czerwca 1944 r.  
 Nr. 6

**T r e s c :**

1. Zaświada rotacji i federacji ..... str. 1.
2. Na marginesie ustąpienia gen. Recha, Remiona ..... str. 5
3. Sprawy Chorwacji i Słowacji ..... str. 6
4. ... str. 13

AGENCJA „EUROPA ŚRODKOWA”  
 Warszawa, 5 maja 1944 roku.  
 Nr. 3

**T r e s c :**

1. O co walczą naród Europy Środkowej ..... str. 1
2. Idea federacji w opinii brytyjskiej ..... str. 3
3. Litwini pod drogą okupacją ..... str. 9
4. Orientacje słowackie ..... str. 13
5. List z Dolnego Śląska ..... str. 14
6. Przegląd wydarzeń ..... str. 17

środkowoeuropejskiego. Zebrania prezydium Instytutu, na których podejmowano najważniejsze decyzje, odbywały się w Warszawie w kilku lokalach konspiracyjnych. W jednym z nich znajdowało się również archiwum placówki. Drugim ośrodkiem największej aktywności członków IeŚ był Kraków. Zespół warszawski tworzyli m.in. historyk prof. Janusz Pajewski, ekonomista dr Kazimierz Studentowicz, specjalista od prawa międzynarodowego prof. Kazimierz Libera czy indolog i lingwista prof. Konstanty Régamey. Głównym celem, który wyznaczył Braun grupie warszawskiej, było propagowanie idei federacji środkowoeuropejskiej najpierw w społeczeństwie polskim, a następnie także wśród narodów regionu. Miało się to odbywać poprzez przygotowanie opracowań naukowych na potrzeby polityków, prac popularnonaukowych i artykułów publikowanych w prasie konspiracyjnej, a także wygłaszanie odczytów w odpowiednio dobranych lokalach i zakładanie kolejnych filii Instytutu na ziemiach polskich oraz poza nimi.

Na czele ośrodka krakowskiego stanął historyk prof. Kazimierz Piwarski. Zorganizowany przez niego zespół naukowców składał się w większości



Fot. NAC

▶ prof. Walery Goetel

z ludzi nienależących do „Unii”, jego głównym celem było zaś opracowywanie wydawnictw naukowych na temat najróżniejszych problemów regionu: narodowościowych, demograficznych, gospodarczych, kulturalnych itp. Studia te miały przede wszystkim wskazać czynniki, które mogą stanąć na przeszkodzie w budowie federacji, oraz takie, które mogą temu procesowi sprzyjać. W pracach tych brali udział m.in. prof. Walery Goetel – geolog, rektor Akademii Górniczej; prof. Tadeusz Lehr-Splawiński – sławista, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego; historyk prof. Henryk Batowski i geograf dr Stanisław Leszczycki.

### Balkany, a może Białoruś?

Jesienią 1943 roku w działalność Instytutu włączyła się grupa członków Konfederacji Narodu, organizacji konspiracyjnej kierowanej przez Bolesława Piaseckiego, której trzon stanowili ludzie wywodzący się z przedwojennego Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”. Głównym ich wkładem było wydawanie „Biuletynu Słowiańskiego”, konspiracyjnego miesięcznika poświęconego problemom Europy Środkowej. W 1944 roku tytuł ten został zastąpiony dwutygodnikiem „Agencja. Blok Środkowoeuropejski”. Z inicjatywy członków Konfederacji IeŚ zaczął przejawiać również nieco większe zainteresowanie sprawami narodów Europy Wschodniej, przede wszystkim Ukraińców i Białorusinów. Warto nadmienić, że w kwestii zasięgu federacji nie było pełnej zgod-

ności między wszystkimi członkami Instytutu. Część działaczy opowiadała się wyłącznie za związkiem z państwami leżącymi na linii Bałtyk–Morze Czarne, inni włączali jeszcze do tego grona Balkany, a nawet Ukrainę i Białoruś. Pomimo odmiennych opinii IeŚ prowadził badania nad problemami całości ziem między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym, negocjacje i ostateczne decyzje co do zasięgu bloku pozostawiając władzom państwowym.

Aby móc realizować założony program Instytutu, Braun wystarał się o finansowanie go ze środków rządowych, a konkretnie Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj. Podstawowymi warunkami przekazywania pieniędzy na działalność placówki było składanie cyklicznych sprawozdań z przeprowadzonych prac oraz uznanie, że opracowania przygotowane przez jej członków stają się własnością Delegatury. Sprawozdania te były dostarczane przez kurierów, kursujących różnymi trasami między Londynem a Polską. Ponadto w myśl porozumienia do Instytutu została włączona komisja polsko-czeska Biura Pracy Społecznej, działającego przy Delegaturze. Szef Departamentu Informacji i Prasy Stanisław Kauzik uznał, że Delegatura nie powinna finansować dwóch odrębnych środowisk zajmujących się zbieżnymi problemami.

Przedstawiciele władz Polskiego Państwa Podziemnego byli zadowoleni z tego, jak funkcjonował Instytut w pierwszych miesiącach swojego istnienia, i dostrzegali w nim duży potencjał. Dowodzi tego fakt, że po tym jak na początku 1944 roku z Prezydium Instytutu konferował Adam Bień, zastępca Delegata Rządu, czynniki decyzyjne postanowiły znacznie zwiększyć budżet placówki. Pozwoliło to na przygotowanie licznych opracowań, wśród których znalazły się tak monumentalne i specjalistyczne, jak pięcioletni słownik nazw miejscowości bałkańskich czy dwutomowe studium udowadniające prawa Polski do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Za sprawą wyższego budżetu stało się możliwe również wyjście z działalno-



Fot. NAC

▶ prof. Tadeusz Lehr-Splawiński

Fot. AIPN



▶ Adam Bień

cią placówki poza ziemie polskie. Dzięki kontaktom Konstantego Régameya, który był kurierem utrzymującym łączność z polskimi organizacjami konspiracyjnymi na Węgrzech, udało się zaangażować w prace Instytutu innego kuriera – Wacława Felczaka. Ten zaś, wykorzystując swoje znajomości, zorganizował filie Instytutu nie tylko w Budapeszcie, ale i w Zagrzebiu. Ponadto nawiązał kontakty z zagranicznymi środowiskami politycznymi, które popierały koncepcję bloku środkowoeuropejskiego. Na Węgrzech byli to przedstawiciele partii drobnych rolników, cieszącej się dużym poparciem w tamtejszym społeczeństwie. Z kolei w Chorwacji partnerów znalazł wśród polityków partii chłopskiej, kierowanej przez kuzyna gen. Stanisława Maczka – Vladko Mačka, która w przedwojennej Jugosławii była drugą siłą polityczną. I wreszcie na ziemiach słowackich Felczak wszedł w kontakty z grupą konspiracyjną kierowaną z zagranicy przez polonofila i zwolennika federacji z Polską, Karola Sidora, który był w tym czasie ambasadorem Słowacji w Watykanie.

### Przerwana misja

Prężną pracę Instytutu zahamowało Powstanie Warszawskie, które doprowadziło do zerwania kontaktów między wieloma członkami IeŚ. Ponadto zajęcie Europy Środkowej przez Armię Czerwoną i rozpoczęta sowietyzacja uniemożliwiły realizację głównej koncepcji geopolitycznej Instytutu. Mimo

to najaktywniejsi jego członkowie starali się podejmować jeszcze pewne inicjatywy, by owoce ich pracy nie zostały całkiem zaprzepaszczone. Jednym z pomysłów było działanie naukowców z IeŚ w ramach struktur zalegalizowanych przez komunistyczne władze, takich jak Instytut Zachodni, Komitet Słowiański czy Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. Ostatecznie jednak proces instalowania władzy „ludowej” i wiążące się z nim prześladowania konspiratorów wiernych rządowi londyńskiemu położyły kres działalności tego interesującego ośrodka. Czołowi działacze „Unii” zostali aresztowani i po karykaturalnych procesach skazani na kary długoletniego więzienia. Działalność w Instytucie była jedną z okoliczności obciążających.

Warto zadać sobie pytanie, czy coś z tej pracy – prowadzonej w trudnych warunkach okupacji niemieckiej – przetrwało okres okupacji sowieckiej? Na pewno pozostała nigdy niezrealizowana idea bloku „Miedzymorza”. Od czasu do czasu jest ona podnoszona w rozważaniach publicystów i niezliczonych polityków. Nieśmiałą próbą jej urzeczywistnienia może być współpraca Polski, Czech, Słowacji i Węgier w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Warta odnotowania jest również

Fot. AIPN



▶ Wacław Felczak

### Fragment Deklaracji polsko-czechosłowackiej z 11 listopada 1940 roku

„Rząd Polski i Prowizoryczny Rząd Czechosłowacji uważają za konieczne oświadczyć uroczystie już w chwili obecnej, że Polska i Czechosłowacja, zamykając raz na zawsze okres dawnych urazów i sporów i biorąc pod uwagę wspólność podstawowych interesów, zdecydowane są po ukończeniu wojny wejść ze sobą, jako państwa niepodległe i suwerenne, w bliższy związek polityczny i gospodarczy, który stałby się podstawą nowego porządku rzeczy w Europie Środkowej i rękojmią jego trwałości. Oba rządy wyrażają przy tym nadzieję, że do współdziałania, oparte go o poszanowanie wolności narodów, zasad demokracji i godności człowieka, gotowe będą także inne państwa w tej części kontynentu europejskiego”.

rola, którą odegrał Wacław Felczak. Po wyjściu z komunistycznego więzienia rozpoczął on karierę naukową na Uniwersytecie Jagiellońskim i zajął się głównie badaniem historii Węgier. W związku z tym stał się częstym gościem na tamtejszych uczelniach i autorytetem dla powstającej opozycji niepodległościowej. Gdy jesienią 1987 roku wizytował z serią wykładów jeden z budapeszteńskich uniwersytetów, w trakcie spotkania ze studentami młody prawnik Viktor Orbán zapytał go, jakie działania powinna podjąć węgierska opozycja antykomunistyczna. W odpowiedzi usłyszał: „Założcie partię polityczną. Prawdopodobnie zamkną was za to, ale wszystko wskazuje na to, że nie będziecie musieli długo siedzieć”. Kilka miesięcy później Orbán powołał do życia Związek Młodych Demokratów „Fidesz”. W 1991 roku w uznaniu zasług przyznano Felczakowi honorowe członkostwo tej partii. Dziś Viktor Orbán już po raz drugi jest premierem niepodległych Węgier. Po objęciu urzędu w 2010 roku pierwszą wizytę zagraniczną złożył w Polsce, co w dyplomacji nie jest bez znaczenia. 🇺🇪

Marek Hańderek – pracownik BEP IPN w Warszawie, doktorant na Wydziale Historycznym UJ

Szukając obrazowego określenia charakteryzującego Ericha Kocha, ostatniego gauleitera i nadprezydenta Prus Wschodnich, można sięgnąć do tytułu filmu Kevina MacDonalda z 2006 roku *Ostatni król Szkocji* o ugandyjskim dyktatorze Idim Aminie. Kocha można nazwać nie tylko „ostatnim królem Prus”, lecz także „panem życia i śmierci”, baronem i potentatem finansowym oraz władcą udzielnym Prus Wschodnich.

# Ostatni król Prus

Dominik Krysiak

**P**o II wojnie światowej, kiedy został aresztowany, a następnie osądzony i skazany na karę śmierci, na której wykonanie czekał przez 27 lat, żadne z tych określeń nie było już aktualne. Stał się sfrustrowanym mitomanem, o czym świadczą informacje zawarte nie tylko w aktach MSW (znajdujących się obecnie w IPN), lecz także wywiady, których udzielił. Tworzył wokół siebie alternatywną rzeczywistość, w której jawił się jako postać niezwykle ważna dla władz państwowych i służb wywiadowczych, rywalizujących między sobą w zimnowojennej atmosferze. Miał ambicje komentatora i analityka bieżącej polityki, którego zdanie uwzględniała rządzący. Dziś Koch kojarzy

się najczęściej ze zbrodniami nazistowskimi, kochówkami, Bursztynową Komnatą czy więzieniem w Barczewie.

## Kariera po trupach

Urodzony 19 czerwca 1896 roku w Nadrenii Erich Koch odebrał w ubogim, robotniczym domu surowe ewangelickie wychowanie. Chciał zostać lekarzem, ale ukończył tylko zawodową szkołę handlową. Pracował w drukarni, a następnie na kolei. Podczas I wojny światowej w stopniu szeregowego walczył na froncie wschodnim.

Już podczas służby w armii Koch zaczął interesować się polityką, a po przegranej wojnie i druzgocącym dla Niemiec traktacie wersalskim zintensyfikował swoją działalność na tym polu. Zaciągnął się do Freikorpsu, paramilitarnej, skrajnie prawicowej organizacji, skupiającej zdemobilizowanych żołnierzy. Z Freikorpsu często rekrutowali się późniejsi członkowie SA – Oddziałów Szturmowych NSDAP – m.in. Ernst Röhm, dowódca tej formacji. W 1922 roku Koch wstąpił do partii nazistowskiej. Brał udział w wystąpieniach antyfrancuskich i akcjach



Fot. PAP/Jean Morek

sabotażu w Zagłębiu Ruhry, za co na krótko trafił do aresztu. Dzięki temu zyskał opinię zaangażowanego działacza i stał się lokalnym liderem NSDAP.

W 1928 roku Erich Koch został gauleiterem NSDAP w Prusach Wschodnich. Stanowisko to było bardzo prestiżowe, gdyż ten paramilitarny tytuł oznaczał najwyższego reprezentanta NSDAP w danym okręgu partyjnym, podlegającego wyłącznie nadrzędnym władzom partii. Koch został wkrótce (w 1930 roku) posłem do Reichstagu. Prawdziwym przełomem był oczywiście rok 1933, kiedy po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera zasiadł w pruskiej Radzie Stanu i został nadprezydentem Prus Wschodnich, czyli najwyższym przedstawicielem władzy państwowej w prowincji. Od 1938 roku miał również paramilitarny stopień SA-Obergruppenführera, odpowiadający randze generała w Wehrmachcie. Doskonale pod względem propagandowym wykorzystywał działania w Prusach Wschodnich do promowania siebie przy jednoczesnym zachowaniu pełnej lojalności wobec Hitlera.

Współodpowiedzialność Kocha za zbrodnie nazistowskie sięga jeszcze czasów przedwojennych. Podczas „nocy kryształowej” z 9 na 10 listopada 1938 roku w Królewcu zdewastowano i podpalamo Nową Synagogę oraz aresztowano 450 Żydów; w Szczytnie również spalono synagogę, w Nidzicy zaś zasztyletowano dwóch Żydów, a kilku raniono lub pobito. Wszystkie te zajścia miały przyzwolenie władz prowincji, a nawet odbywały się przy udziale organów porządkowych i służb bezpieczeństwa.

### Fundacja z łupów

Program Kocha, zakładający uprzemysłowienie rolniczych Prus Wschodnich, okazał się wodą na młyn goebbelsowskiej propagandy, a triumfalne ogłoszenie zlikwidowania bezrobocia w prowincji przesądziło o pomyślnym rozwoju kariery gauleitera. W rzeczywistości dane dotyczące stanu zatrudnienia były fałszywe. Owszem, w okresie rządów nadprezydenta Kocha nastąpił rozwój urbanistyczny Prus Wschodnich, zwłaszcza w dziedzi-

nie budownictwa drogowego i mieszkaniowego – sztandarowym projektem była budowa tanich domów mieszkalnych, nazywanych z czasem kochówkami. Problem w tym, że finansowanie tych inwestycji było możliwe dzięki założeniu w 1933 roku Fundacji Ericha Kocha, której fundamentem były prywatne majątki i przedsiębiorstwa bezprawnie rekwirowane rzeckim wrogiem III Rzeszy.

II wojna światowa stała się jeszcze skuteczniejszym katalizatorem powiększenia kapitału fundacji, zwłaszcza po agresji Niemiec na ZSRR w 1941 roku, gdy Kocha wyznaczono na szefa Komisariatu Rzeszy Ukraina i Zarządu Cywilnego Okręgu Białystok. Na okupowanych obszarach będących pod jego zwierzchnictwem grabiono oraz przejmowano firmy i majątki. Bezłitośnie eksploatowano zajęte tereny kosztem niewolniczej siły roboczej. Należy podkreślić, że już pod koniec 1939 roku w Prusach Wschodnich w rolnictwie pracowało ponad 60 tys. polskich jeńców wojennych i cywilów, którym w 1940 roku bezprawnie nadano status robotników cywilnych. W tym okresie na południowych obszarach Prus Wschodnich, gdzie przeważała ludność etnicznie polska, zalecono przeniesienie około 30 tys. robotników w inne części III Rzeszy. Podobne praktyki Koch stosował na podległych mu terenach zajętych przez Niemców w 1941 roku. W sumie do III Rzeszy na roboty przymusowe wywieziono stamtąd od 3,5 do 5 mln osób.

W ten sposób Erich Koch osiągał dwa cele. Po pierwsze, działał zgodnie z głównymi założeniami niemieckich koncepcji *Drang nach Osten* (ekspansja na wschód) i *Lebensraum* (przestrzeń życiowa). Po drugie, kosztem krajów okupowanych przyczyniał się do budowania siły gospodarczej Rzeszy i powiększał majątek swojej fundacji. Dzięki temu wartość szacunkowa *Erich-Koch-Stiftung*, największego koncernu Prus Wschodnich, w 1945 roku wynosiła około 331 mln marek (dla porównania: litr benzyny kosztował wtedy 0,4 marki, a kilogram chleba – 0,5 marki). Fundacja nie była niczym innym niż prywatną firmą Kocha – z systemem kreatywnej księgowości tworzo-

nej na podstawie fałszywych rachunków – w której kierownicze stanowiska zajmowali wyłącznie jego bliscy współpracownicy, jak Bruno Dzubba, zarządca *Erich-Koch-Stiftung*. Z kolei beneficjentem i wykonawcą projektów sygnowanych przez fundację była wąska grupa zaufanych osób. To wszystko sprawiało, że Koch, jako jednoosobowa rada nadzorcza tego koncernu, był nieoficjalnie jednym z najbogatszych funkcjonariuszy NSDAP. Nie bez powodu był nazywany „wielkim księciem”, który pod swoim panowaniem miał tereny od Bałtyku po Morze Czarne. Wśród jego rezydencji, oficjalnie przejętych przez *Erich-Koch-Stiftung*, można wymienić duże polskie majątki ziemskie w Krasnem i Nacpolsku. Poświęcał się w nich swoim pasjom: jeździł konno i polował. Według własnych upodobań zarządzał wysiedlenia, które często miały charakter brutalnych akcji pacyfikacyjnych, likwidujących całe miejscowości – tylko po to, żeby poszerzać obszary łowieckie lub tworzyć nowe. Robił tak nie tylko na ziemiach polskich, lecz także na Ukrainie, po której podróżował specjalnym, luksusowo wyposażonym pociągiem.

### Niech cywile zginą

Wbrew temu, co twierdził Koch, w Prusach Wschodnich i na polskich terenach okupowanych przez Niemcy, znajdujących się bezpośrednio pod jego administracją w latach 1939–1945 istniały niemieckie obozy koncentracyjne, m.in. w Działdowie (KL Soldau) i w Gromowie (KL Hohenbruch). Bez wątpienia jest również współodpowiedzialny za eksterminację Żydów z rejencji ciechanowskiej, Białostockożyńskiej i Wołyńskiej. Znamienne, że tuż po wizycie Kocha w Ciechanowie, jesienią 1942 roku, przystąpiono do likwidacji tamtejszego getta. Ludność żydowską podzielono na grupy: zdolnych do pracy (około 1,5 tys. osób) wywieziono na Górny Śląsk, pozostałych przeniesiono do getta w Mławie, część rozstrzelano. Z istniejącego w latach 1941–1943 getta w Białymstoku, po krwawo stłumionym powstaniu, ponad 10 tys. osób trafiło do obozu zagłady w Treblince. Z kolei na Wołyniu jesienią ▶

• Erich Koch (z prawej) u szczytu kariery; obok Heinrich Himmler (z lewej) i marsz. Wilhelm Keitel



Fot. PAP

1941 roku tuż po objęciu przez Kocha Komisarjatu Rzeszy Ukraina zamordowano około 40 tys. Żydów, z czego aż 21 tys. w Równem, stolicy Komisarjatu.

W ostatnich miesiącach wojny Koch był zatwardziałym przeciwnikiem uważanej za przejaw defetyzmu ewakuacji ludności cywilnej z Prus Wschodnich. Zachowywał pod tym względem ściśle wytyczne Hitlera. Próbował wręcz wywierać wpływ na Kriegsmarine, by okręty i statki niemieckie opuściły porty i nie zabierały uchodźców. Gdy pod koniec stycznia 1945 roku dowiedział się, że z Piławy wypływają konwoje z cywilami, ze wściekłością zażądał postawienia przed sądem wojennym komandora Fritza Poskego. Sam jednak zalecił żonie wyjazd, a w marcu 1945 roku ogłosił udane przeprowadzenie ewakuacji około miliona osób. Nie wspomniano wówczas, że podjęcie tej spóźnionej decyzji było katastrofalne w skutkach. Uciekająca w trakcie srogiej zimy, w panice przed zbliżającą się Armią Czerwoną ludność cywilna trafiała często w centrum działań wojennych. Uciekinierzy ginęli podczas marszu tzw. drogą śmierci przez pokryty lodem Zalew Wiślany lub w wyniku zatopienia okrętów i statków. Z kolei na tych, którzy pozostali w domach, spadała fala odwetu.

Pod koniec stycznia 1945 roku Erich Koch przebywał już w swoim bunkrze w Neutief (Kosa – obecnie część Bałtjiska) na Mierzei Wiślanej, skąd 8 kwietnia

wydał jeszcze polecenie utrzymania stolicy Prus Wschodnich za wszelką cenę, zupełnie nie licząc się z dalszymi stratami wśród ludności cywilnej. Jednak dowódca obrony Królewca, gen. Otto Lasch, w obliczu dużej dysproporcji między siłami niemieckimi a przeciwnikiem 9 kwietnia podjął z radzieckim dowództwem rozmowy o kapitulacji. Koch tymczasem uciekał dalej na zachód i dotarł do Flensburga. Po wojnie ukrywał się m.in. w Hasenmoor koło Hamburga pod fałszywym nazwiskiem Rolf Berger, podając się za robotnika rolnego. W 1949 roku został przypadkowo rozpoznany i zatrzymany przez Brytyjczyków. W tym samym roku zakończyły się ostatnie procesy norymberskie (wyroki w głównym procesie zapadły w 1946 roku), więc udało mu się ich uniknąć.

### Ucieczka od egzekucji

O ekstradycję Kocha oprócz Polski Ludowej zabiegał również ZSRR. Ostatecznie w 1950 roku został przekazany polskiemu wymiarowi sprawiedliwości z zastrzeżeniem, że można go sądzić wyłącznie za zbrodnie popełnione na terytorium państwa, do którego został ekstradowany. Erich Koch w mokotowskim więzieniu czekał na proces aż do 1958 roku. Odwlekał jego rozpoczęcie, powołując się na problemy zdrowotne. Podczas rozpraw na sali sądowej była obecna pielęgniarka, a jego samego niejednokrotnie wno-

szono. Jednocześnie odmawiał poddania się szczegółowym badaniom lekarskim i celowo pogarszał swój stan zdrowia lub symulował objawy chorobowe.

Mimo to 9 marca 1959 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie pod przewodnictwem Edwarda Binkiewicza uznał Kocha za winnego popełnienia zarzucanych mu czynów. Bezsprzecznie stwierdzono, że poprzez organizowanie i podleganie do zbrodni był on odpowiedzialny za ludobójstwo na cywilach – tym bardziej że wykazano również ściśle powiązanie między władzą cywilną i partyjną a zbrodnictwami formacjami, takimi jak SS.

Erich Koch nie okazał nigdy poczucia winy – przeciwnie, twierdził, że nie popełnił żadnych zbrodni. Ale sąd wykazał, że na polskich obszarach pod zarządem Kocha zginęło około 72 tys. osób narodowości polskiej i została niemal całkowicie wymordowana ludność żydowska (ok. 200 tys. osób). Tym samym, na podstawie artykułu 1 Dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego, Erich Koch został skazany na karę śmierci, która jednak nie została wykonana.

Do dziś dosyć niejasne są powody, dla których odstąpiono od egzekucji, tym bardziej że Rada Państwa 12 lutego 1960 roku oficjalnie nie skorzystała z prawa łaski.

Dalszy bieg wypadków w tej sprawie jest co najmniej zastanawiający. Nieco ponad miesiąc później w radiu i prasie ukazał się komunikat o stanowisku Rady Państwa i odłożeniu egzekucji ze względu na „obłożną chorobę” skazanego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Sąd Wojewódzki w Warszawie zapoznał się oficjalnie z tym stanowiskiem 4 kwietnia 1960 roku. Zgodnie z prawem dopiero wówczas mogły zostać wszczęte przez prokuraturę czynności zmierzające do odroczenia wykonania wyroku przez sporządzenie odpowiedniego wniosku do sądu. Kiedy takie pismo wpłynęło, sąd zlecił zbadanie więźnia. Komisja lekarska orzekła, że oprócz normalnych schorzeń związanych z wiekiem, stan zdrowia Kocha nie wykazuje znamion choroby obłożnej, a pacjent wręcz symuluje niektóre dolegliwości. Opinie tej nie wzięto jednak pod uwagę.

Prokuratura Generalna i Departament Nadzoru Sądowego Ministerstwa Sprawiedliwości ustaliły, że decyzję o odroczeniu wykonania kary śmierci sąd podejmie na podstawie dotychczasowych akt sprawy. Tak też się stało i prawdopodobnie wpływ na rozstrzygnięcie mogło mieć ogłoszenie takiego komunikatu w mediach, jeszcze przed wydaniem formalnego postanowienia. Kolejne lata pokazały, że wymiar sprawiedliwości miał problem z Kochem. Na pytania prokuratury o aktualność odroczenia egzekucji, zarówno w 1963, jak i 1964 roku, sąd odpowiadał pozytywnie,

stwierdzając, że decyzję podjęły „czynniki odgórne”. Kolejne badania lekarskie również nie odbiegały od orzeczenia wydanego w 1960 roku, pomimo wykrycia u Kocha guza pęcherza moczowego. Operacja i radioterapia, które przeszedł w 1967 roku, zahamowały rozwój choroby, w wyniku czego komisja stwierdziła, że nie ma przesłanek do przerwania kary, a dalszy pobyt w więzieniu nie zagrażał życiu skazanego.

### List do ambasadora, wizyta antropologa

Jednym z najczęściej wymienianych powodów, dla których Koch uniknął wykonania kary śmierci, jest jego domniemana wiedza o miejscu ukrycia legendarnej Bursztynowej Komnaty. Z tego powodu interesowały się nim m.in. Departament II MSW (kontrwywiad) i radzieckie służby specjalne. Wobec Kocha stosowano różne techniki operacyjne, począwszy od podsłuchów, na tajnych współpracownikach kończąc. On sam doskonale wiedział, że umiejętne rozgrywanie sprawy komnaty może mu pomóc w zachowaniu życia.

W 1964 roku w liście do ambasadora ZSRR w Polsce zaproponował pomoc w odnalezieniu skarbu. Władze radzieckie w porozumieniu z polskimi przysłały nawet afrykanistę i antropologa, prof. Dmitrija Olderozge, by spotkał się z Kochem, jednak podczas rozmowy były gauleiter stwierdził, że nie wie, gdzie dokładnie znajduje się komnata. Powiedział jedynie, że jest ukryta w jednym z dwóch bunkrów w okolicach Królewca,

gdzie zgromadzono również inne kosztowności i dzieła sztuki. W świetle dalszej wypowiedzi można mieć co do tego wątpliwości, ponieważ Koch twierdził, że obowiązywał wówczas zakaz wywożenia dóbr materialnych, a ewakuowano tylko kobiety i dzieci, co było oczywiście nieprawdą.

Zakaz taki z pewnością nie dotyczył najcenniejszych łupów wojennych (a takim była zrabowana w ZSRR Bursztynowa Komnata) oraz wysoko postawionych funkcjonariuszy III Rzeszy i ich rodzin. Więzień zasugerował nawiązanie kontaktu ze swoimi byłymi współpracownikami i zorganizowanie ściśle tajnego wyjazdu do Kaliningradu, czyli dawnego Królewca. Niestety, obecnie nieznane są bliższe informacje na ten temat, podobnie jak do dziś nie jest znany, oprócz pojawiających się co jakiś czas sensacyjnych doniesień medialnych, los Bursztynowej Komnaty.

Przyczyn, dla których Koch uniknął zasądzonego wyroku, nie należy raczej doszukiwać się w umiejętnym „graniu” wiedzą czy kłopotami zdrowotnymi i w ułomności wymiaru sprawiedliwości, ale raczej w tym, że taka była wola ówczesnego ścisłego kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Żywy Koch, dający choćby cień szansy na ujawnienie jakichkolwiek interesujących informacji, wydawał się cenniejszy.

Koch starał się śledzić bieżące wydarzenia polityczne. Czytał książki i prasę, był pod ogromnym wrażeniem wynalazku, jakim była telewizja. Gdy odsiadywał wyrok, przez barczewskie więzienie przeszło wielu więźniów politycznych, m.in. Leszek Moczulski, Jerzy Kropiwnicki, Władysław Frasyniuk, Stefan Niesiołowski, Adam Michnik, Karol Modzelewski czy Romuald Szeremietiew. Były gauleiter zmarł w Zakładzie Karnym w Barczewie 12 listopada 1986 roku, dożywszy dziewięćdziesięciu lat. Został pochowany w bezimiennym grobie. 🇵🇵

Dominik Krysiak – pracownik Delegatury OBEP IPN w Olsztynie



► Podczas procesu Koch robił wszystko, żeby sprawić wrażenie ciężko chorego

# Umierając z głodu, planowała życie

Iwona Demczyszak

*Odarli nas ze wszystkiego:  
Z sukien, z ostatniej koszuli  
I wyzuli z prawa do ciała własnego,  
Zawładali wszystkim.  
Wychudłe sine od batów  
Stanęłyśmy tłumem bezbronnym  
W hali ogromnej,  
Niby zwierzęta za kratą  
Na widowisku...*

Maria Rutkowska

▶ Wanda Póltawska

**Listopad 1939 roku. W sali gimnastycznej Prywatnego Gimnazjum Sióstr Urszulanek w Lublinie grupa harceerek składa przysięgę na ręce drużyny Marii Walciszewskiej, instruktorki harcerskiej z podziemnego Związku Walki Zbrojnej. Ślubują, że są gotowe umrzeć za ojczyznę. Wśród nich jest siedemnastoletnia Wanda Póltawska, wtedy jeszcze Wojtasik.**

**O**d tej przysięgi rozpoczęła się praca konspiracyjna Wandy. Pełniła funkcję łączniczki na Lubelszczyźnie. Rozwoziła pocztę na terenie powiatów krasnostawskiego i radzyńskiego. W styczniu 1941 roku na skutek zdrady aresztowano część dziewcząt z drużyny, m.in. drużynę Walciszewską. Mimo że Wandę kilkakrotnie ostrzegano i namawiano do wyjazdu z Lublina, postanowiła zostać. Miesiąc później została zatrzymana przez gestapo i osadzona w lubelskim aresz-

cie „Pod Zegarem”. 21 września 1941 roku przewieziono ją do niemieckiego obozu kobiecego Ravensbrück. Wydawało się, że wyjazd położy kres życia w fatalnych warunkach, które panowały „Pod Zegarem”. Poza brudem, chorobami i insektami dodatkową uciążliwością było towarzystwo prostytutek i zbrodniarek. Wanda naiwnie wierzyła, że przejazd do obozu równa się uniknięciu kary śmierci. Kiedy w słoneczny wrześniowy dzień przed transportem stała na podwórku więziennym, czekając na odczytanie swojego nazwiska z listy transportowej, rzeczywiście nie przypuszczała, co ją czeka. Nie wiedziała też, że wyrusza z wyrokiem śmierci. Mimo ogromnego zmęczenia nie spała podczas podróży – młodzieńcza beztroska, poczucie humoru mieszały się z obawą o nieznaną przyszłość...

23 września 1941 roku wczesnym rankiem transport dotarł do Niemiec i zatrzymał się na stacji małego miasteczka Fürstenberg. Już pierwsze zetknięcie ze strażniczkami obozowymi na peronie było mocnym przeżyciem.

Niemki – popularnie zwane „aufsejerkami” – były szkolone w szkołach SS-Aufseherinnen (strażniczek z SS). Kobiety te nie miały żadnych zasad moralnych. „Olbrzymie blondyny o bezmyślnych twardych oczach i zaciętych wargach, w czarnych pelerynach z kapturami, ostre, drażniące ucho głośy i u boku ogromne wilczury” – tak opisała je we wspomnieniach Póltawska. W obozie otrzymała numer 7709.

## Wzorcowy obóz Ravensbrück

Ravensbrück, koncentracyjny obóz dla kobiet, powstał w pierwszej połowie 1939 roku nad jeziorem Schwedt, niespełna 100 kilometrów na północ od Berlina. Pierwsze więźniarki polityczne narodowości polskiej pojawiły się tam pod koniec września.

W 1942 roku zaczęła się trauma więźniarek z lubelskiego transportu. Wytypowano młode, zdrowe kobiety i wezwano do obozowego szpitala zwanego rewirem. Wśród nich znalazła się Wanda Wojtasik. Rozpoczęto oględziny kobiet do zaplanowanych eksperymentów medycznych. Kazano



im rozebrać się do naga. Potem wazono, oglądano ręce i nogi. Jednym z lekarzy odpowiedzialnych za przeprowadzane eksperymenty medyczne był dr Karl Gebhardt, osobisty lekarz szefa SS Heinricha Himmlera. W Ravensbrück nadzorował wykonywanie operacji. Celem eksperymentów było zminimalizowanie śmiertelności żołnierzy niemieckich na frontach. U wytypowanych kobiet wywoływano zakażenie, wprowadzając do ran drobnoustroje zbliżone do tych, które mogą występować na placu boju. Wypróbowywano bakterie ropotwórcze – najczęściej gronkowca złocistego – oraz zgorzeli gazowej i tężca. Ofiary dzielono na grupy w zależności od wielkości dawki. W zoperowanych kończynach wywiązywało się zapalenie i ropienie. Zakażone rany zszywano. Kobiety leżały z wysoką gorączką, w potwornym bólu.

Oprócz operacji, podczas których wywoływano zakażenie, przeprowadzano zabiegi dotyczące układu kostnego, mięśniowego i nerwowego. Operacje kostne polegały na łamaniu kości, jak również ich przeszczepianiu. Łamano kości podudzia dłutem lub młotkiem po wcześniejszym odsłonięciu masy mięśniowej. Następnie scalano je klamrami, rany zszywano i zakładano gips. Operacje mięśniowe polegały na wycinaniu części mięśni

uda i podudzia. Operowano kilka razy, za każdym razem usuwając większe fragmenty mięśni. Powodowało to coraz większe ubytki masy mięśniowej, a w konsekwencji – osłabienie kończyn. Operacje na układzie nerwowym polegały na wycinaniu nerwów na podudziu. Badano w ten sposób zdolność tkanek do regeneracji.

Kobiety poddawane eksperymentom bardzo cierpiały wskutek bólu pooperacyjnego. Prymitywna opieka medyczna sprowadzała się bowiem jedynie do podania podstawowych leków przeciwbólowych, które okazywały się mało skuteczne. Zdarzało się, że na tzw. bloku operacyjnym w nocy nie było żadnej pielęgniarki. Po „zabiegach” więźniarki wracały do swoich bloków, a na podstawie Bettkarte (dokumentu wydawanego w obozowym szpitalu) zwalniano chore z typowej pracy. Przydzielano im zadania lżejsze, niewymagające stania, np. robienie pończoch na drutach. Wiele kobiet nie przeżyło jednak operacji.

### Zachowały człowieczeństwo

Głód, zimno, choroby, praca fizyczna wykraczająca poza wytrzymałość kruchych kobiecych organizmów oraz ciągłe zagrożenie śmiercią przez egzekucje czy wreszcie nieludzkie traktowanie przez obozowy personel nie sprzyjały moralnemu postępowaniu ▶



Fot. Britta Pawelke, MGR

Z inicjatywy Olgi Nider wbudowano w Ravensbrück tablicę upamiętniającą polskie więźniarki. 23 czerwca 1996 roku w Berlinie poświęcił ją papież Jan Paweł II. Widnieje na niej napis: „Tu więziono 40 000 polskich kobiet, dziewcząt i dzieci. 200 rozstrzelano, 74 operowano doświadczalnie. Kilka tysięcy zmarło z wycieńczenia lub zostało zagazowanych. Wyzwolenia doczekało 8000. Jeśli echo ich głosów umilknie – zginiemy”.

▶ KZ Ravensbrück z widokiem na baraki więźniarek; tzw. nowy obóz (z prawej) jest jeszcze odgradzony murem



i empatii. Zachować człowieczeństwo było podwójnie trudniej niż kiedykolwiek.

Wandę Wojtasik uważano za dzielną przedstawicielkę „królików” (tak same się określały ofiary eksperymentów medycznych) do pertraktacji z władzami obozowymi. Była wśród kobiet, które wystosowały skargę do komendanta obozu w odpowiedzi na wezwanie polskich więźniarek politycznych do dobrowolnego zgłaszania się do domów publicznych dla żołnierzy. W wyniku interwencji zostały zwolnione z tego „przywileju”, ale kary w postaci utraty części racji żywnieniowej przez okres trzech tygodni oraz chłosty nie uniknęły. Między kobietami operowanymi wytworzyła się szczególna więź, która dawała im siłę nawet do organizowania buntów w obozie. Przykładem takiego buntu było wydarzenie z marca 1943 roku, kiedy zorganizowały w Ravensbrück pochód. Kaleki o kulach przeszły do głównej dozorczyńcy i zapytały ją, czy wie o prowadzonych doświadczeniach medycznych. W tej samej sprawie pisały do komendanta obozu. Jednak ich zabiegi były bezskuteczne i przemilczane.

Pomimo całej beznadziei życia ograniczonego drutami kolczastymi istniały wartości, dzięki którym człowiek od-

najdywał w sobie siłę do życia i chęć przetrwania. Jednym ze sposobów przeciwstawiania się reżimowi obozowemu było tworzenie wspólnot. Pozwalały identyfikować się z grupą, stwarzały poczucie bezpieczeństwa i gwarantowały pomoc w różnych okolicznościach. Przestrzegano ustalonych wspólnie zasad: nie kradnę współwięźniarce chleba, pomagam słabszym itp. Utworzono sąd koleżeński, który w razie potrzeby upominał osoby nieprzestrzegające tych reguł. We wspólnocie ogromną rolę odgrywały kobiety o silnych osobowościach. Do takich postaci należały nauczycielki. Przewyciężając słabość fizyczną i umysłową, organizowały tajne wykłady na różne tematy. Do nauki zgłosiła się m.in. Wanda Wojtasik z grupą innych kobiet z transportu lubelskiego. Pragnęła zająć umysł czymś, co choć trochę odciągnęłoby uwagę od nudnej pracy przy plecieniu słomy, szyciu butów ochronnych dla żołnierzy niemieckich na froncie wschodnim – i od całej obozowej rzeczywistości. Na naukę kobiety zbierały się rano, przed apelem, w kącie bloku. Omawiały literaturę staropolską, oświecenie, romantyzm, szczególnie dokładnie analizując utwory o charakterze patriotycznym. Później, w ciągu dnia, między obowiązkami rozma-

wiały na ten temat. Wojtasik uczyła się nawet wtedy, kiedy grupę kobiet operowanych odseparowano w najdalej położonym obozowym bloku. Była łączniczką między nauczycielką a pozostałymi „królikami”, dostarczając papieru na skrypty z literatury oraz ołówków. Halina Chorażyna, nauczycielka języka niemieckiego, nazywana „chodzącymi wiadomościami”, czytała zdobytą ukradkiem prasę niemiecką, tłumaczyła i rozpowszechniała bieżące informacje wśród więźniarek. Renée Skalska zorganizowała pierwszą obozową drużynę harcerską „Szare Szeregi”. Karolina Lanckorońska prowadziła wykłady z historii sztuki. Młoda Wanda była w gronie jej słuchaczek. Więźniarki zakładały także kółka modlitewne, m.in. żywy różaniec. Modlono się w każdych okolicznościach. Na apelu, w drodze do pracy, w czasie pracy, przed zaśnięciem. Był to sposób na wewnętrzne umocnienie się.

### Powrót do życia

Pobyty w Ravensbrück ukształtował późniejszą postawę życiową Wandy Półtawskiej. Jako świadek ponurej i wstrząsającej sceny, kiedy esesman wrzucił do pieca noworodka, przyrzekła sobie, że nie dopuści do śmierci żadnego dziecka. Przyrzeczeniu temu pozostała wierna

► Budynek administracyjny obozu kobiecego; rezydowali tu m.in. komendant obozu i obozowy lekarz; na pierwszym planie widać pracujące więźniarki





► Praca więźniarek przy pleceniu butów słomianych, z tyłu widoczne gotowe buty; zdjęcie pochodzi z albumu SS, przygotowanego w celach propagandowych, pokazywanego delegacjom lub zagranicznym gościom

do dziś, a charakter jej pracy umożliwił konkretne działania.

Wyzwolenie obozu dla Wandy Wojtasik (pod koniec wojny została przewieziona do Neustadt-Glewe) w pierwszej chwili nie miało żadnego znaczenia. Choroba głodowa wyczerpała ją fizycznie do tego stopnia, że nie miała siły podnieść ręki. Wraz z innymi więźniarkami leżała w baraku, w którym powoli umierały. Po latach wspominała: „Pewnego dnia przyszedł jakiś mężczyzna, rozciął wielkimi nożycami kolczaste druty, jakimi był otoczony ten mały obozisk, i zawołał: »Dziewczęta, jesteście wolne!«. Na co towarzyszący mu drugi człowiek powiedział: »Ty głupi, czego się drzesz? To trupiarnia!«. A ja właśnie żyłam i myślałam. I leżąc tam z zimnym trupem Cyganki, postanowiłam, że skończę medycynę. Brzmi to paradoksalnie: w chwili gdy umierałam z głodu, a śmierć była kwestią dni czy może nawet godzin, planowałam życie”.

Po wyjściu z obozu wróciła do Lublina. Większą część drogi przebyła pie-

chotą, omijając główne trasy z obawy przed gwałtami czerwonooarmistów. W Lublinie nie została długo. Czuła się nierozumiana, nie mogła znieść pytającego wzroku innych, którzy zastanawiali się, dlaczego ona przeżyła, a inne aresztowane z nią – nie. Szybko zdecydowała o wyjeździe do Krakowa, gdzie rozpoczęła studia na kilku fakultetach: medycyna, psychologia, nauki polityczne. Prowadziła hufiec oraz działała w duszpasterstwie akademickim, prowadzonym przez ks. Karola Wojtyłę. Odnalazła tam przedwojenne wartości wyniesione z domu rodzinnego i szkoły urszulańskiej oraz obronę przed komunistycznym ateizmem.

Została lekarzem, ukończyła specjalizację z psychiatrii. Duży wpływ na jej życie zawodowe wywarło nauczanie Karola Wojtyły, a zwłaszcza chrześcijańska koncepcja człowieka przedstawiona w jego książce *Osoba i czyn: człowiek realizuje siebie poprzez wolne wybory i świadome czyny, które z kolei odsłaniają go jako osobę*. Przez wiele lat kierowała założonym w Krakowie Instytutem

Rodziny, została też członkinią powołanej przez Jana Pawła II Papieskiej Rady Rodziny oraz Papieskiej Akademii Pro Vita, popularyzującej ochronę życia ludzkiego w każdej fazie – od poczęcia aż do naturalnej śmierci. Jest autorką wielu książek, m.in. *I boję się snów, Z prądem i pod prąd, By rodzina była Bogiem silna..., Beskidzkie rekolekcje*. Mieszka i pracuje w Krakowie, prowadzi wykłady w wielu miejscowościach Polski i za granicą. Jej mąż, Andrzej Półtawski, jest profesorem filozofii. Mają cztery córki i ośmioro wnucząt. 📖

Iwona Demczyszak – pracownik OBEP IPN we Wrocławiu

Konsultacja medyczna:  
dr hab. Maria Gańczak

W 2011 roku Centrum Edukacyjne IPN „Przystanek Historia” we współpracy z fundacjami „Ja Kobietą” i „Mecenat Sztuki” rozpoczęło pilotażowy projekt z wykorzystaniem historii mówionej „O tym nie można zapomnieć... – spotkania z kobietami, które przeszły piekło Ravensbrück”.

# Wolność ponad teatr. Halina Mikołajska (1925–1989)

Joanna Hytrek-Hryciuk

Fot. Filмотeka Narodowa

► Kadr z filmu *Barwy ochronne*, reż. Krzysztof Zanussi

**„Nikt już nie będzie stawał przed dylematem: teatr czy wolność” – puentuje biografię Haliny Mikołajskiej Joanna Krakowska. Mikołajska stanęła przed takim dylematem. Niezapomniana Winnie z *Radosnych dni* Samuela Becketta czy pani Raniewska z *Wiśniowego sadu* Antoniego Czechowa, mistrzyni niuansów, ostatecznie zdecydowała, że nie ma teatru bez wolności i porzuciła scenę dla działalności opozycyjnej. Już po powołaniu KSS „KOR” pisała w liście do Erwina Axera: „W dalszym ciągu nie interesuje mnie polityka, tylko jak zawsze, dawniej i teraz obchodzi mnie moralna rzeczywistość. [...] Możliwe, że mój system wartości zostanie skompromitowany i że ogłoszę upadłość, ale, jak na razie, nikt nie dostarczył mi dostatecznej motywacji na inny”.**

**H**alina Mikołajska urodziła się w 1925 roku w Krakowie. Jej rodzina nie była tam zakorzeniona: do Małopolski rzuciły ich zawodowe zobowiązania ojca, oficera Wojska Polskiego. Po wybuchu II wojny światowej Halina z matką i trzema siostrami trafiły do Lwowa. Ale nie zabawiły tam długo – w 1940 roku wszystkie przeniosły się do Krakowa, uciekając od koszmaru sowieckiej okupacji i represji. Bezpośrednim impulsem do opuszczenia Lwowa był młodzieńczy wybryk Haliny: piętnastolatka zamalowała czarną farbą portrety Lenina i Marksa, które w szkolnym składziku czekały na pochód z okazji pierwszomajowego święta.

## Pod okupacją

W Krakowie – jak niemal wszyscy – Halina handlowała, aby utrzymać bliskich. Na nią bowiem spadła odpowiedzialność za całą rodzinę – po śmierci jednej z jej sióstr matka się załamała i przestała dostrzegać świat dookoła, ojciec zaś nie wrócił z wojny. Podobno Halina sama załatwiła sobie pracę w Monopolu Tytoniowym. Miała w dość ostrych słowach przekonać dyrektora fabryki, że skoro jej ojciec trafił do niemieckiego oflagu, to on, Niemiec, jest zobowiązany jej pomocą. Wynosiła więc z fabryki płaskie paczki papierosów, które łatwo można było schować pod spódnicą. Czarny rynek kwitł.

W roku 1942 trafiła do Krakowskiego Teatru Podziemnego. Nie była jednak specjalnie sumiennym członkiem zespo-

łu. Pochłaniał ją nielegalny handel, problemy rodzinne, była zakochana. Poza tym chciała raczej śpiewać niż grać. Jeszcze w 1938 roku matka zaprowadziła ją na przesłuchanie do konserwatorium. Specjalista wpadł w zachwyt nad barwą jej głosu i kazał przyjść za rok... we wrześniu 1939 roku.

## „Moja ty Eurydyczko!”

Po wycofaniu się Niemców z Krakowa w styczniu 1945 roku miasto powoli zaczęło odżywać. Mikołajska zaczęła szukać dla siebie miejsca. Zdała egzamin do studium teatralnego, ale nie zagrała oferowanej jej roli w sztuce Jerzego Zawieyskiego. Zapisała się na Wydział Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, później na historię sztuki. W końcu jednak wróciła do aktorstwa. W 1946 roku odniosła sukces w roli Eurydyki w *Orfeuszu* wystawianym na deskach krakowskiego Starego Teatru. „Moja ty Eurydyczko!” – miał krzyczeć za nią na ulicy pijany poeta Konstanty Ildefons Gałczyński.

W roku 1947 zdała egzamin dyplomowy w Państwowej Szkole Dramatycznej. W przypadku Mikołajskiej była to zwykła formalność: absolwentka od roku grała Desdemonę w *Otelli* Shakespeare’a na scenie Starego Teatru. Kariera nabierała tempa. W 1951 roku dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie Bronisław Dąbrowski sporządził charakterystykę Mikołajskiej: „Posiada wysokie walory artystyczne. Stosunek polityczny lojalny. Nie uzewnętrznia się. Społecznie nie udziela się. Zachowanie dobre”.

W połowie lat pięćdziesiątych już zrozumiała, że polska rzeczywistość składa się z paradoksów. Jej niepokój moralny wzrósł po ślubie z pisarzem Marianem Brandysem w roku 1955. Znalazła się w otoczeniu twórców, którzy z wypiekami na twarzy dyskutowali o *Poemacie dla dorosłych* Adama Ważyka i ostrożnie sięgali po dzieła Sławomira Mrożka, Witkacego czy Witolda Gombrowicza. Pomimo „odwilży” cenzorzy nadal wyraźnie zaznaczali, że sztuka sprzeczna z ideałami socjalizmu będzie eliminowana, niezależnie od jej wartości artystycznych.

W 1965 roku urzędnicy z ul. Mysiej (tam mieścił się Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk) nie pozwolili na publiczny pokaz filmu *Przy torze kolejowym*, nakręconego na podstawie opowiadania Zofii Nałkowskiej. Mikołajska zagrała w nim *Żydówkę*, która została ranna w trakcie ucieczki z pociągu jadącego do obozu zagłady i była zdana na łaskę chłopów z pobliskiej wsi. Aktorka uznała decyzję cenzury za antysemitki wybrzyk i wyrzucała sobie po latach, że nie zauważyła pierwszego ostrzeżenia przed wydarzeniami Marca '68. Wkrótce – za krytykę polityki rządu – z partii wyrzucono filozofa Leszka Kołakowskiego. Brandys złożył legitymację sam. Także Mikołajska rozważała protest, ale ciągle jeszcze grała: jej teatr budził „dobre emocje”. Była obecna na scenie także w czasie antysemitki kampanii w Marcu '68, chociaż pod wpływem rozterek męża, rozdartej pomiędzy swoim żydowskim pochodzeniem, ateizmem i katolicyzmem traktowała ten okres „jak okupację”.

Po raz pierwszy kurtyna opadła na dłużej w 1976 roku. Za swoją działalność opozycyjną Mikołajska trafiła na listę aktorów, których nie należało wspominać ani wpuszczać na antenę. Nie dostała oficjalnego zakazu gry w teatrze, ale przestała występować po 1978 roku. Zdecydowała o tym sama. Zdaniem Axera, nigdy nie była pewna, czy brawa są uznaniem dla jej gry, czy dla jej działalności społecznej. W 1980 roku oficjalnie przeszła na aktorską emerytu-

rę. Na wszelki wypadek na konferencji dyrektorów teatrów w Stołecznej Radzie Narodowej urzędnik zatwierdzający repertuar podkreślił, że Mikołajskiej „grać nie wolno”. Jej teatrem stały się sceny niezależne – kościoły, domy parafialne i mieszkania prywatne.

### Czas KOR-u

Mikołajska nie znalazła się na liście założycieli Komitetu Obrony Robotników (1976). Jeden z jego liderów, Jan Józef Lipski, twierdził, że to niedopatrzenie wynikło z bałaganu. Oficjalnie Mikołajska wstąpiła do KOR sześć dni po jego powstaniu. Swoim dużym fiatem wozila do Radomia niezależnych obserwatorów na procesy strajkujących robotników. Zbierała też pieniądze dla ich rodzin. Po aresztowaniu Jacka Kuronia latem 1977 roku zaczęła pełnić funkcję rzecznika prasowego KOR.

Sprawie Operacyjnego Rozpracowania Mikołajskiej nadano kryptonim „Patrycja”. Rozpracowanie Brandysa prowadzono zaś pod hasłem „Maurycy”. Zaczęło się piekło trzeszczących albo głuchych telefonów, stert listów z absurdalnymi oskarżeniami, wyzwiskami i pogróżkami, nachodzenia w domu przez „robotników z Ursusa” doskonale znających rozkład mieszkania. Próbowano pobić ją w nocnym pociągu, przebijano opony jej samochodu lub oblewano go farbą. „Samochód Haliny ciągle zepsuty z przyczyn ideologicznych” – zapisał Brandys w dzienniku.

Jednocześnie jednak nadchodziły listy z wyrazami zachwyty, podczas konspiracyjnych występów zdarzały się owacje na stojąco i bukiety biało-czerwonych goździków. Złe emocje wzięły jednak górę: w 1976 roku aktorka połknęła czterdzieści tabletek valium. Z trudem odratowano ją następnego dnia.

Po powrocie do zdrowia zaczęła pisać do drugoobiegowego literackiego „Zapisu”. Na cztery miesiące wyjechała na Zachód, gdzie występowała jako „aktorka, rzeczniczka KOR-u, autorytet, tłumaczka polskich realiów”. W 1978 roku współzakładała Towarzystwo Kursów Naukowych.

### Powrót Eurydyki

Karnawał Solidarności uczciła powrotem na scenę. Zagrała w *Upiorach* Henrika Ibsena, wyreżyserowała *Iwonę, księżniczkę Burgunda* Gombrowicza. 23 września 1981 roku rozwiązano KSS „KOR” w piątą rocznicę jego powstania. Członkowie komitetu poparli NSZZ „Solidarność”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku Mikołajska została internowana. W uzasadnieniu decyzji wymieniono działalność w KSS KOR, kontakty z „zachodnimi ośrodkami dywersji ideologicznej”, szkalowanie PRL i prowadzenie antypolskiej kampanii. Trafiła m.in. do ośrodka odosobnienia w Gołdapi, później do Darłówka. Nie wiadomo, czy decyzja o przeniesieniu była karą za zorganizowanie w „internacie” kursów samokształcenia, czy zwykłym przypadkiem. Jej internowanie spowodowało burzę w środowisku aktorskim. Zwolnienia domagali się inni artyści. „Błagam” – napisał w tej sprawie do wicepremiera Mieczysława Rakowskiego reżyser Kazimierz Dejmek, który zwykle dystansował się od politycznej działalności swojego środowiska.

Ośrodek odosobnienia opuściła pod koniec kwietnia 1982 roku. Dejmek zaproponował jej pracę w Teatrze Polskim. „W gruncie rzeczy nie wróciłam do teatru, lecz panicznie uciekłam z Darłówka” – tłumaczyła swoją pozytywną decyzję. Teatr i sztuka nie stanowiły już dla niej punktu odniesienia, była nim jedynie rzeczywistość Polski lat osiemdziesiątych.

W greckiej mitologii Eurydyka była żoną Orfeusza. Umarła ukąszona przez węża. Oszalały z rozpaczy poeta wyblagał u Hadesa jej powrót na ziemię, ale wbrew zakazowi obejrzał się i utracił Eurydykę na zawsze. Halina Mikołajska umarła 22 czerwca 1989 roku – trzy tygodnie po wyborach do sejmu i senatu, które dały opozycji władzę w Polsce. ■

dr Joanna Hytrek-Hryciuk  
– historyk, pracownik OBEP IPN we Wrocławiu

Wszystkie cytaty pochodzą z książki  
Joanny Krakowskiej *Halina Mikołajska.  
Teatr i PRL*, Warszawa 2011.

# Pierwszy bunt – maj 1946 roku

Kamil Dworaczek

**Najczęściej początek masowych protestów przeciw władzy komunistycznej w Polsce datuje się na czerwiec 1956 roku, kiedy to w Poznaniu strajk niemalże przerodził się w powstanie. Wydarzenia o dziesięć lat wcześniejsze nie ustępowały jednak skalą późniejszym buntom z lat 1956–1989.**

**W** maju 1945 roku po raz pierwszy od wybuchu II wojny światowej odbyły się obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Nie miały one wielkiego rozmachu, choćby ze względu na olbrzymie trudności związane z odbudową państwa i odtwarzaniem administracji. Trzeba jednak zauważyć, że nawet najwyższe władze uczciły rocznicę uchwalenia trzecemajowej konstytucji. Uroczystą sesję Krajowej Rady Narodowej rozpo-

częto hymnem państwowym, a prezydent KRN Bolesław Bierut oświadczył, że nowa ekipa nie będzie się odcinała od tradycji i wartości związanych z pierwszą polską konstytucją. Komuniści nie mieli jednak jasnej wizji tego święta; nie mogli się zdecydować, czy chcą je pozostawić, a jeśli tak, to w jakiej formie. Wątpliwości w obozie władzy trafnie ujął związany z nim publicysta Roman Werfel: „Dla nas 1 Maja to sprawa serca, a 3 Maja – rozumu”. Komuniści, chociaż nie darzyli sympatią przedwojennego święta państwowego, byli świadomi tego, że nie mogą w 1946 roku tak po prostu zakazać obchodów. Taka decyzja mogłaby znacząco osłabić ich pozycję. Trzeba pamiętać, że w tym okresie – przed umocnieniem władzy w wyniku fałszerstwa wyborów w 1947 roku – zabiegali jeszcze o poparcie spo-

leczeństwa, czemu miały służyć liczne działania maskujące, takie jak sięganie do frazeologii narodowej czy choćby właśnie pozostawienie święta 3 Maja.

## Akademia tak, pochód nie

W korespondencji urzędowej z roku 1946 z jednej strony wskazywano na demokratyczny charakter pierwszej polskiej ustawy zasadniczej i jej historyczne znaczenie w walce klasowej oraz zalecano członkom partii, aby uczestniczyli w komitetach obchodów. Z drugiej zaś – uroczystość starano się sprowadzić tylko do Święta Oświaty. Początkowo instrukcje wysyłane z Ministerstwa Propagandy i Informacji zalecały różne akademie i przedstawienia, nie zabraniały też jednoznacznie pochodów, dlatego w wielu miastach je zaplanowano. Dopiero tuż przed świętem wprowadzono zakaz ich organizowania. Komuniści przestraszyli się, że zbyt hucznie obchodzony 3 Maja może przyćmić 1 Maja. Prawdopodobnie pojawiły się też sygnały świadczące o tym, że pochody mogą się zamienić w manifestację poparcia dla Polskiego Stronnictwa Ludowego. To zaś mogłoby być szkodliwe dla komunistów tuż przed konfrontacją w referendum (30 czerwca 1946 roku) i wyborach (19 stycznia 1947 roku) z tą opozycyjną wobec nich partią.

► Pochód z okazji 3 Maja, Kraków, 1946 rok



W wielu miastach nie odstępiono jednak od organizacji pochodów trzecioma-jowych. Były przygotowywane oddolnie, przez osoby, które nie miały zamiaru stosować się do zakazu, nawet jeśli do nich dotarł. Często wśród inicjatorów pochodów byli studenci raczej negatywnie nastawieni do Polskiej Partii Robotniczej, np. z Bratniej Pomocy (w Krakowie) czy z Akademickiego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” (w Gliwicach). Władze traktowały pochody jako nielegalne manifestacje i wysyłały siły milicyjne do ich tłumienia. Wpłynęło to na wzrost napięcia. Nawet jeśli zamiarem organizatorów nie było przekształcenia Święta 3 Maja w antyrządowe demonstracje, to na pewno działania władz się do tego przyczyniły.

### Nie(ch) żyje Mikołajczyk!

Najgwałtowniejszy przebieg miały wydarzenia w Krakowie. Obchody rozpoczęły się uroczystą mszą w kościele Mariackim. Jeszcze przed rozpoczęciem liturgii nastąpiły pierwsze interwencje funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, którzy zatrzymywali studentów udających się do świątyni. Działanie tego typu mogło spowodować tylko radykalizację nastrojów. Po mszy został uformowany pochód, który udał się pod gmach PPR przy Rynku Głównym. Tam padły pierwsze strzały, od których ranny został Mieczysław Adamczyk, jeden z uczestników marszu. Dzień później opowiadał on, że pod bramą siedziby PPR widział człowieka, który krzychał „Nie żyje Mikołajczyk”. „Gdy na przechodząc koło niego, krzyknąłem »Niech żyje Mikołajczyk«, osobnik ten wyciągnął rewolwer i strzelił mi w twarz”. Manifestanci odstepili od budynku i podzielili się na kilka grup, w tym czasie właściwie całe centrum zostało przez nich opanowane. Bardzo wyraźnie wyrażali swoje sympatie polityczne, wznosząc okrzyki na cześć przywódcy PSL Stanisława Mikołajczyka.

Do opanowania sytuacji użyto głównie funkcjonariuszy UB i żołnierzy, w tym konnego oddziału Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W końcu siłom

tym udało się przejąć kontrolę nad sytuacją w mieście. Obyło się bez ofiar śmiertelnych. Nie wiadomo, jakie byłyby dalsze losy manifestacji, gdyby akceptację uzyskał pomysł ówczesnego szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, mjr. Jana Frey-Bieleckiego, który proponował zorganizowanie robotniczej kontrmanifestacji. Podobny scenariusz zrealizowano poniekąd w marcu 1968 roku, kiedy na studentów nasłano „aktyw robotniczy”.

W maju 1946 roku demonstracje i starcia z siłami porządkowymi odbywały się w kilkudziesięciu miejscowościach na terenie całego kraju. Najtragiczniejszy przebieg miały we Włocławku i Łodzi. W pierwszej z tych miejscowości UB najpierw wypuścił aresztowanego manifestanta na żądanie tłumu zgromadzonego pod Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego. W nocy z 3 na 4 maja nastąpiły jednak dalsze zatrzymania, które były powodem kolejnych demonstracji 4 maja, z udziałem przede wszystkim młodzieży szkolnej. Wieczorem jedna z grup udała się ponownie pod siedzibę PUBP, skąd w stronę zgromadzonych padły strzały. Ranne zostały cztery osoby. Piątą ofiarą (śmiertelną) był funkcjonariusz UB, który prawdopodobnie sam się postrzelił. W Łodzi siły milicyjne wspomagane przez robotników uniemożliwiły pochodowi przejście ulicą Piotrkowską. W stronę jego uczestników padły strzały, w których wyniku

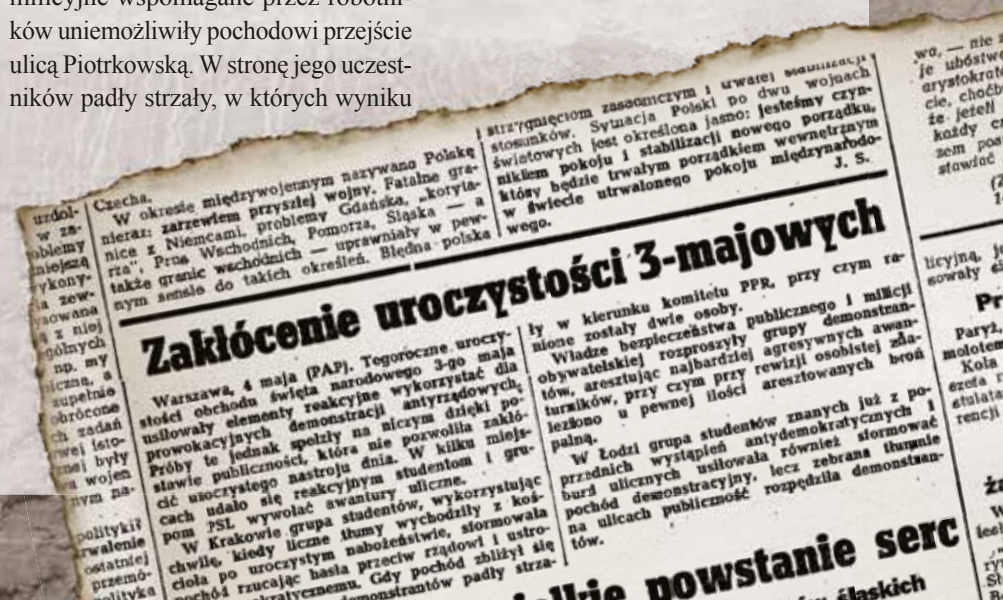


Fot. Muzeum Miejskie w Zabrze

► Manifestacja w Gliwicach, 3 maja 1946 roku

jedna osoba została zabita, a dwie ranne. W manifestacjach w różnych częściach kraju można było zauważyć znaczący udział młodzieży szkolnej i studenckiej, ta grupa była też najaktywniejsza. Okrzyki wznoszone przez manifestujących z reguły wyrażały sympatię dla PSL i jej lidera, znalazły się w nich także akcenty antyrządowe i antyradzieckie.

Być może napięcie zostałyby rozładowane, gdyby nie masowe aresztowania, przeprowadzone głównie wśród studentów Krakowa. Bez zgody rektora dokonano rewizji w II Domu Akademickim, a jego mieszkańców aresztowano. Łącznie wolności pozbawiono ok. tysiąca osób. Masowość zatrzymań miała służyć zastraszeniu, a w aresztach znalazło się mnóstwo przypadkowych osób. Kierujący akcją Frey-Bielecki wspominał: „Strażak gasi. Ja twierdzę, że zrobiłem to znakomicie: ani nikomu krzywda się nie stała, ani nie obalono porządku społecznego. Aresztowania spowodowały lawinę ►



oburzenia, ale z drugiej strony wprowadziły atmosferę pewnego moresu”.

### Akademicka solidarność

Poczucie solidarności z aresztowanymi nakazywało pozostałym studentom rozpoczęcie strajku. „To właściwie UB zrobiło strajk” – stwierdził uczestniczący w wydarzeniach Jan Deszcz z Bratniej Pomocy UJ. W przeciwieństwie do protestów studenckich z 1968 czy 1981 roku, ten nie miał charakteru strajku okupacyjnego, sprowadzał się do nieobecności na zajęciach. „Staneły” wszystkie uczelnie Krakowa. Protest zaczął wygasać po 17 maja, gdy premier Edward Osóbka-Morawski zgodził się na uwolnienie aresztowanych studentów w zamian za zakończenie strajku.

Wiadomości o wydarzeniach w Krakowie (przekształcane też w różnego rodzaju plotki) stały się powodem strajków solidarnościowych na uczelniach i w szkołach w całej Polsce. Przede wszystkim zastrajkowały szkoły średnie z okolic Krakowa, m.in. w Tarnowie, Wieliczce, Bochni i Chrzanowie. W tej ostatniej miejscowości karierę jako pracownik PUBP właśnie rozpoczynał Franciszek Szlachcic – przyszły szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – który zatrzymał studenta UJ, mówiącego, że „ruskie tankietki atakowały

Dom Akademicki, że na znak protestu muszą wszystkie szkoły stanąć”.

Strajki solidarnościowe rozprzestrzeniły się też poza Małopolskę. Przyłączyli się do nich studenci z Poznania. Oprócz nieuczestniczenia na zajęcia, 13 maja zorganizowali marsz pod Urząd Wojewódzki, w którym wzięło udział ponad tysiąc studentów. Zamiarem organizatorów było przekazanie wojewodzie petycji z żądaniem uwolnienia kolegów z Krakowa. Delegację studencką przyjął wicewojewoda. Podczas rozmów zapewnił, że studenci będą mogli spokojnie się rozejść. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Uczestnicy pochodu zostali otoczeni, aresztowano kilkaset osób. Studenci wrócili ostatecznie na zajęcia po kilku dniach na prośbę rektora i w wyniku obietnicy wojewody Feliksa Widy-Wirskiego, że zostaną uwolnieni wszyscy poza inspiratorami zająć. W ciągu następnych dwóch dni cele opuściła większość aresztowanych.

Trzy dni trwał podobny protest zorganizowany na uniwersytecie i politechnice we Wrocławiu. W kolejnych dniach strajk objął szkoły na obszarze całego kraju i uczelnie w najważniejszych ośrodkach akademickich (Warszawa, Gliwice, Gdańsk, Łódź, Toruń).

Warto wspomnieć o dwóch protestach: gliwickim i łódzkim, gdyż miały one swoją bardzo wyraźną lokalną specyfikę. W Gliwicach doszło do dużej manifesta-

cji, która objęła większą część śródmieścia. Tam też, podobnie jak w Krakowie, na masową skalę aresztowano studentów, według szacunków Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość mogło być ich nawet 180. Strajk na Politechnice Śląskiej, oprócz okazania solidarności z żakami krakowskimi, miał też na celu uwolnienie kolegów z PŚ. Był to jeden z najdłuższych strajków studenckich w 1946 roku, trwał ponad dwa tygodnie.

W Łodzi sytuacja była podobna. 3 Maja miał gwałtowny przebieg, tego dnia nastąpiły liczne aresztowania, również wśród studentów. Poza tym oburzenie było spowodowane skazaniem na trzy lata więzienia studentki oskarżonej o wywołanie w poprzednim roku zamieszek podczas pogrzebu Marii Tyrankiewicz, brutalnie zamordowanej przez żołnierzy Armii Czerwonej. Władze podjęły bezskuteczną próbę zapobieżenia strajkowi poprzez wysłanie na wykłady „łamistrajków” (czyli młodych robotników), poza tym komunistyczny Związek Walki Młodych wraz z socjalistyczną Organizacją Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego zorganizowały bojówki, które rozpędzały strajkowe pikety. Mimo to strajk się udał i trwał kilka dni. Warto dodać, że jednocześnie w Łodzi doszło do dużych strajków robotniczych, przez co sytuacja w mieście zaczęła nabierać cech strajku powszechnego.

### Relegacja, karne wojsko, więzienie

Strajki zaczęły wygasać w ostatniej dekadzie miesiąca. Oznaczało to koniec wydarzeń, których początkiem były

► Siły milicyjne rozpędzają demonstrację w Poznaniu; maj 1946 roku





obchody Święta 3 Maja. Ich uczestnicy niejednokrotnie spotkali się z represjami. W kilku miastach, m.in. w Krakowie i Poznaniu, doszło do procesów studentów. W województwie krakowskim zapadły wyroki nawet kilkuletniego więzienia, choć wszyscy oskarżeni odzyskali wolność do lutego 1947 roku.

Procesy karne były jednak tylko jedną z szykan, o wiele częstsze były przypadki relegacji czy karnych powołań do wojska. W ten sposób zniszczono dziesiątki życiorysów. Jednego z liderów gliwickiego protestu zmuszono do podjęcia współpracy z UB. Studia musiał ukończyć na innej uczelni. W wielu miastach władze zorganizowały robotnicze masówki. Jedną z nich przywołała we wspomnieniach ówczesna studentka PŚ, Barbara Męcarska-Kozłowska. Jak pisała, ona i jej znajoma widziały, że robotnicy nie manifestują z własnej woli, a hasła wznoszone były przez „zawodowych krzykaczy”. Mimo to okrzyki wymierzone w studentów sprawiły dziewczynom dużą przykrość. Należy przypuszczać, że te dwie studentki nie były odosobnione w swoich uczuciach i wyreżysrowana masówka przyniosła oczekiwane rezultaty. Miała pokazać studentom, że są odizolowani i samotni. Scenariusz polegający na rozbiciu społeczeństwa władze powtarzały wielokrotnie, m.in. w marcu 1968 roku.

### „Faszystowskie śmieci i warchoły”

W pierwszych tygodniach maja 1946 roku na łamach prasy przetoczyła się kampania propagandowa, w której wykorzystano mechanizmy funkcjonujące aż do końca istnienia Polski Ludowej. Celem akcji było m.in. przekonanie społeczeństwa o inspirującej roli „warcholów” z opozycji. „Trybuna Robotnicza” pisała: „I oto święto, które tak drogie jest klasie robotniczej, z którego dumna jest nasza »Polska Partia Robotnicza«, usiłowali wykorzystać dla siebie odszczepieńcy i wrogowie ludu polskiego, bratobójcy z NSZ i sprzymierzeni z nimi narodowcy z PSL. Wykorzystać dla walki z nową Polską,

dla zademonstrowania swego klasowego egoizmu i warcholstwa”. Ponadto starano się utrwalić przekaz, według którego zdecydowana większość studentów pragnęła nauki i spokoju, a tylko mniejszość przystąpiła do manifestacji. Obie te grupy zaczęto bardzo jednoznacznie określać. Ci pierwsi byli najczęściej dziećmi robotników i chłopów, ci drudzy zaś – przedwojennymi bojówkarzami Obozu Narodowo-Radykalnego i faszystami, w „Trybunie Robotniczej” pisano o nich: „Tego rodzaju studenci to pozostałość uczelni polskich sprzed 1939 roku, drzwi których były zamknięte dla syna robotnika i chłopca. Olbrzymia większość studentów przedwojennych to synowie obszarników, fabrykantów, kupców, spekulantów, ludzi wrogo usposobionych do demokracji i postępu. Nic tedy dziwnego, że dziś studenci ci, dawni członkowie ONR-u i Falangi, działają w szeregach PSL-u i NSZ-u”. Gazety domagały się oczyszczenia uczelni z „faszystowskiego śmiecia” i wprowadzenia w to miejsce młodzieży robotniczo-chłopskiej. Było to posunięcie bardzo korzystne dla władz, ponieważ mogły spodziewać się lojalności ze strony nowych studentów, tylko im zawdzięczających awans społeczny.

### Ostatni 3 Maja

Władze przygotowywały powołanie do życia Rady Szkół Akademickich, dającej możliwość ingerencji państwa w wewnętrzne sprawy uczelni. Był to zamach na autonomię szkół wyższych i spodziewano się, że posunięcie to wywoła duże niezadowolenie. Dlatego bardzo starannie przygotowano kampanię propagandową, której podłożem stały się wydarzenia majowe. Skoro wcześniej studentów określano jako przedwojennych faszystów, to można było łatwo zwrócić się przeciw autonomii, która służyła jakoby ich obronie. Podobny mechanizm zastosowano w wypadku



Fot. AIPN

► Pochód solidarnościowy w Poznaniu, 13 maja 1946 roku

samego Święta 3 Maja, które – jak głosiła propaganda – zostało wykorzystane przez „warcholów”. W 1946 roku władze komunistyczne po raz ostatni dopuściły do oficjalnych obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Zastanawiające, dlaczego mimo takiej skali wydarzeń nie przebiły się one do świadomości społecznej, a co dziwniejsze, nie znalazły też do tej pory adekwatnego miejsca w historiografii. Z tym pytaniem zmierzyła się m.in. prof. Krystyna Kersten, która pisała: „Dla młodych ludzi lekcja maja roku 1946 stanowiła niejednokrotnie pierwsze bezpośrednie zderzenie z przemocą, brutalnością, własną bezsilnością, pierwszy krok na drodze pogodzenia z rzeczywistością, uległości, konformizmu, oportunistycznym, czasem wręcz cynizmu – pamięć o tym była uwierająca”. Do tego dochodził paraliżujący strach i poczucie bezsensu jakiegokolwiek formy oporu. Takie doświadczenie, oprócz tego, że wielu ludzi pozbawiło szans na ułożenie sobie życia, bez wątpienia na długo osłabiło w tym pokoleniu chęć stawiania oporu władzy. Ci ludzie nie kultywowali pamięci o maju ‘46. Nie przekazywali jej dzieciom i wnukom, ponieważ bali się o ich losy. Między innymi to spowodowało, że pamięć ta została zatarta. Czy bezpowrotnie? ❄

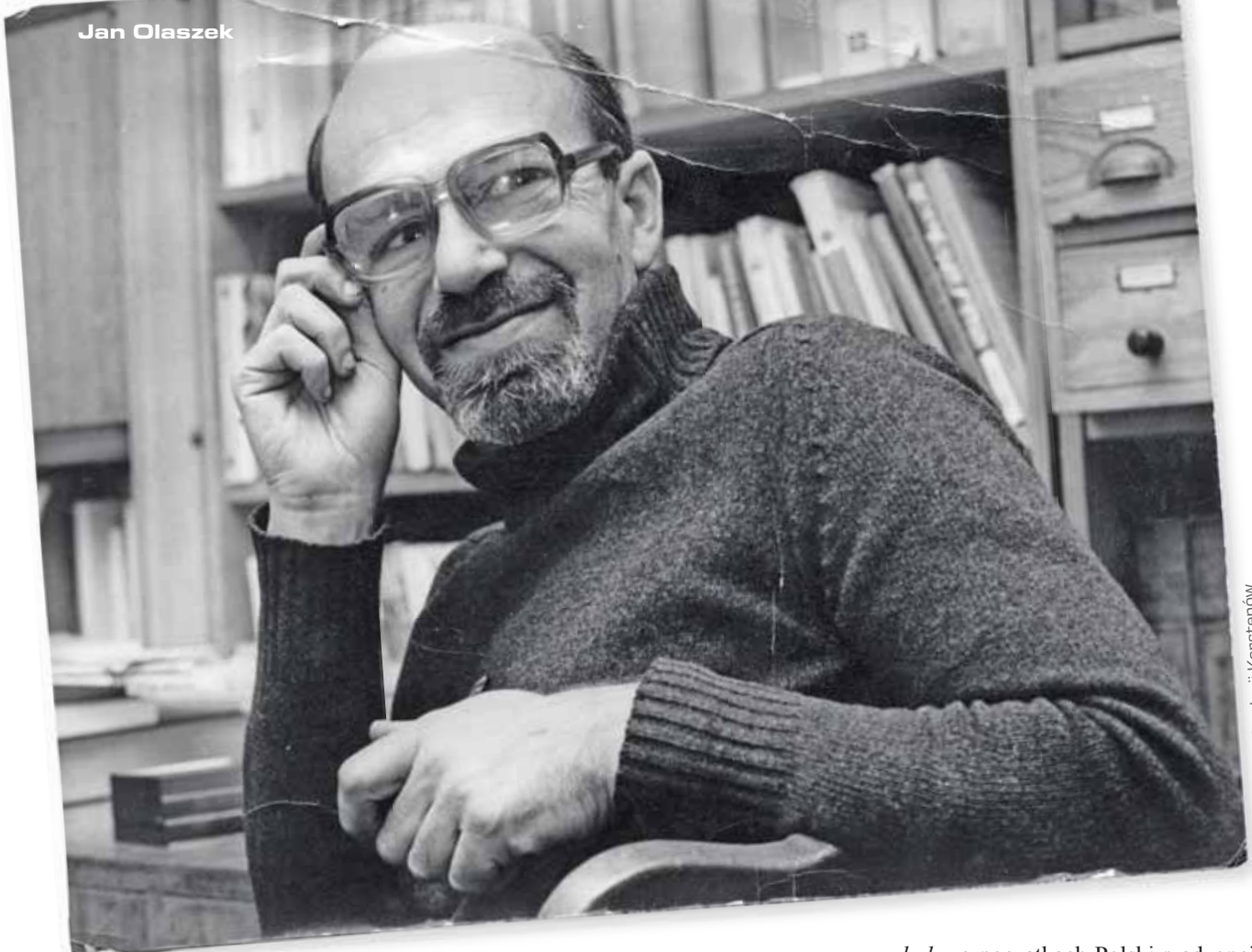
Kamil Dworaczek – historyk, pracownik BEP IPN

Oprócz własnych badań korzystałem z opracowań Łukasza Kamińskiego, Wojciecha Mazowieckiego i Marcina Podemskiego.

# Profesor drukarzem?

## Adam Kersten (1930–1983)

Jan Olszek



Fot. ze zbiorów Fundacji Kerstenów

► Adam Kersten na UMCS, początek lat osiemdziesiątych

**„Są trzy stadia rozwoju komunizmu: pierwsze – w każdej wsi spółdzielnia produkcyjna, drugie – w każdym mieście uniwersytet, a trzecie – w każdym domu drukarnia” – miał żartować Adam Kersten, profesor historii nowożytnej i szef wydawnictwa drugiego obiegu NOW-a 2.**

**D**roga, którą profesor historii doszedł do nielegalnej poligrafii, też miała kilka etapów. Prowadziła od zaangażowania w komunizm w okresie stalinowskim i aktywności w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przez odejście od marksistowskiego spojrzenia na historię do współtworzenia Towarzystwa Kursów Naukowych i kierowania drugoobiegowym wydawnictwem NOW-a 2. Warto przypomnieć postać Adama Kerstena, nieco mniej dzisiaj pamiętaną od jego żony, zmarłej w 2008 roku historyczki prof. Krystyny Kersten, autorki m.in. słynnej książki *Narodziny systemu*

władzy o początkach Polski rządzonej przez komunistów.

### Do i od komunizmu

Adam Kersten wychował się w rodzinie polskiej o żydowskich korzeniach. Po wojnie skończył szkołę średnią w Łodzi, następnie – w 1951 roku – studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Był wtedy mocno zaangażowany w budowę i umacnianie komunizmu w Polsce. Działał w organizacjach młodzieżowych, potem w PZPR. W jego charakterystyce z 1953 roku w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych napisano m.in.: „Związany z partią, oddany całkowicie budownictwu socjalizmu. W czasie rocznego

pobytu w Instytucie zrobił duży krok naprzód w dziedzinie przyswajania sobie teorii markistowsko-leninowskiej. Aktywny w organizacji partyjnej i w pracach grupy. Cechuje go wyostrowana uwaga na działalność wroga, szczególnie na froncie historycznym”. Dokumenty partyjne z lat 1953–1955 pokazują go jako osobę bardzo zaangażowaną w działalność partii, ale jednocześnie niepokorną; niechętną do podporządkowania się i trudno przyjmującą krytykę. Zarzucano mu też „nawyki drobnomieszczańskie” przeniesione ze środowiska warszawskiej uniwersyteckiej inteligencji.

Szybko pokonywał kolejne szczeble kariery naukowej. Od 1955 roku pracował na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Z tą uczelnią związał się na całą karierę naukową. Jego poparcie dla powojennego porządku znalazło wyraz w pracach historycznych, pisanych z pozycji zdeklarowanego marksisty realizującego misję oczyszczenia historiografii z mitów narodowych. Od lat sześćdziesiątych – podobnie jak Krystyna Kersten – coraz bardziej krytycznie oceniał system PRL. Rozczarowanie Kerstenów komunizmem wpisuje się w szersze doświadczenie części inteligencji, której droga prowadziła od wiary w tę ideologię i idącego za tym zaangażowania w tworzenie systemu totalitarnego do zaangażowania przeciwko temu systemowi w opozycji demokratycznej. Z pewnością istotnym wydarzeniem dla postrzegania przez Kerstena rzeczywistości był rok 1968 – Marzec i pacyfikacja Praskiej Wiosny. Wtedy to Krystyna Kersten w proteście przeciwko interwencji w Czechosłowacji odeszła z PZPR. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych zmieniło się też postrzeganie przez Kerstena misji historyka. Doszedł do wniosku, że historiografia nie może być całkowicie oderwana od tradycji utrwalonej w danej społeczności. Pozostał jednak krytyczny wobec romantycznej wizji historii Polski. Stwierdził: „Tradycja historyczna, w której jesteśmy wszyscy wychowani, jest tradycją szabli, podczas gdy ja osobiście chciałbym, aby była to tradycja myśli”.

Adam Kersten miał ugruntowaną pozycję jednego z najwybitniejszych znawców dziejów Polski nowożytnej, zwłaszcza XVII wieku. Napisał m.in. biografię Stefana Czarnieckiego, liczne książki o wojnach Polski ze Szwedami, zajmował się też historią powszechną i metodologią historii. Za najważniejsze swoje dzieło w całym dorobku uważał pracę *Hieronim Radziejowski. Studium władzy i opozycji*. Kersten był też wziętym popularyzatorem historii. Jako konsultant historyczny współtworzył ekranizację *Pana Wołodyjowskiego*, był jednym ze scenarzystów *Potopu*, spod jego pióra wyszło też kilka podręczników szkolnych i opracowań przekrojowych.

### W Towarzystwie Kursów Naukowych

Krystyna i Adam Kerstenowie w działalność opozycyjną zaangażowali się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Ona współtworzyła niezależne seminarium naukowe poświęcone najnowszej historii Polski i w 1975 roku podpisała list siedmiorga intelektualistów do Edwarda Gierka, zawierający apel o przeprowadzenie reform politycznych. On był jednym z sygnatariuszy podpisanej 22 stycznia, a ogłoszonej 12 lutego 1978 roku deklaracji założycielskiej Towarzystwa Kursów Naukowych, które organizowało w prywatnych mieszkaniach wykłady naukowców związanych z opozycją demokratyczną. Kersten w ramach TKN prowadził kilka cykli wykładów z historii. Oboje należeli do aktywnych członków towarzystwa: organizowali jego spotkania i przechowywali jego materiały.

Jednocześnie Adam Kersten – mimo jawnej kontestacji polityki władz – nie chciał odejść z PZPR. Liczył, że partia zdobędzie się na reformy. Łączenie aktywności opozycyjnej i członkostwa w PZPR nie trwało jednak długo. W maju 1978 roku Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR Wydziału Humanistycznego UMCS usunęła Kerstena z partii.

W notatce z rozmowy wysokiego funkcjonariusza Departamentu III MSW z ministrem nauki Januszem Górskim można przeczytać, że członek rządu nie był zadowolony z decyzji POP-u. Oceniał „działania UMCS w stosunku do prof. A[dama] Kerstena jako zbyt pochopne, wskazując na celowość podjęcia dialogu celem zbliżenia w[yżej] w[ymienionego] w kierunku akceptacji polityki partii oraz zmianę jego motywacji w stosunku do TKN”.

Próba przywołania profesora do porządku się nie powiodła. Adam Kersten był najsilniej zaangażowanym w działalność opozycyjną pracownikiem UMCS. Kierownictwo uniwersytetu oraz sekretarz ds. nauki Komitetu Wojewódzkiego PZPR prowadzili z Kerstenem „rozmowy dyscyplinujące”. W czasie jednej z nich – jak wynika z zachowanej notatki – profesor miał oświadczyć, że nie będzie prowadził żadnej działalności w ramach TKN w środowiskach uczelni Lublina. Czy było to ustępstwo? Deklaracja mogła być sprytnym wybiegiem – wykłady w ramach TKN Kersten wygłaszał w Warszawie i nie zamierzał z nich zrezygnować.

O tym, jak profesor traktował te działania dyscyplinujące, świadczą słowa naczelnika Wydziału III w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie, który we wrześniu 1979 roku pisał, że „wielokrotnie podejmowane próby przez innych pracowników naukowych historii UMCS odciążenia prof. Kerstena od działalności w TKN nie dały żadnych rezultatów, figurant



odmawiał jakichkolwiek rozmów i dyskusji na ten temat, stwierdzając, że to jest jego prywatna sprawa”. Funkcjonariusz zwrócił jednocześnie uwagę na to, że Kersten dotrzymywał obietnicy nieudzielania się w TKN w Lublinie.

Władze przywiązywały do tego dużą wagę, nie dostrzegając, że profesor zarówno w Warszawie, jak i w Lublinie rozwijał swą opozycyjną działalność. Kersten od początku istnienia TKN był – inaczej niż niektórzy jego członkowie – przeciwnikiem taktycznych ustępstw wobec władzy, polegających na rezygnacji z niektórych zagadnień czy wykładów. Członkowie TKN spirali się, w jakim stopniu towarzystwo ma wiązać się z opozycją i prowokować władze „trudnymi tematami”. Marian Brandys zanotował, że w czasie jednej z dyskusji w marcu 1978 roku na argumenty zwolenników umiaru Kersten odpowiedział: „Nie wyobrażam sobie taktycznego wykładu z najnowszej historii Polski”.

Władze też nie były skłonne do ugody. Jesienią 1978 roku i wiosną 1979 roku wykłady Towarzystwa Kursów Naukowych, zwłaszcza te prowadzone przez Jacka Kuronia, były przerywane brutalnymi atakami działaczy Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Bojówkarze zakłócili zajęcia, obrażali uczestników, niektórzy nawet bili. Przemoc osłabła po tym, jak Jacek Kuroń i Adam Michnik zawiesili swoje wykłady.

Ostatnie najście aktywistów SZSP miało miejsce 21 maja 1979 roku właśnie podczas wykładu Adama Kerstena.

Wydarzenie zostało opisane w drugoobiegowym „Komunikacie” Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. W trakcie wykładu na temat obrazu historii w podręcznikach polskich do sali wtargnęło kilkadziesiąt osób. Bojówkarze uniemożliwili wygłoszenie wykładu, a następnie napadli na sekretarza TKN i członka KSS „KOR”, Andrzeja Celińskiego. Próbowali – bezskutecznie – zabrać mu kasetę magnetofonową z nagraniem zajścia.

Nawet to dramatyczne wydarzenie nie wpłynęło na postawę Kerstena, który latem 1979 roku wraz z m.in. Jerzym Jedlickim sprzeciwił się decyzji o zaprzestaniu prowadzenia wykładów otwartych, gdyż uważał to za faktyczną likwidację TKN.

### „Zużyjecie całą pastę”

O znaczącej pozycji Adama Kerstena w TKN świadczy to, że w 1979 roku Komisja Programowa zleciła mu nadzór nad publikacjami towarzystwa. Profesor współpracował z Grzegorzem Bogutą, współtwórcą Niezależnej Oficyny Wydawniczej, oraz z lubelskim wydawnictwem „Spotkania”. Odpowiadał m.in. za przygotowanie broszur z tekstami wykładów TKN, stenogramów z dyskusji: *Język propagandy* Michała Głowińskiego i *Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna?* Tomasza Burka, a także wyboru pism Tomáša Masaryka. Opracował też zbiór artykułów z sowieckiej „Prawdy” z września 1939 roku, wydany przez NOW-ą. Kulisy tej

publikacji wspominał przyjaciel Kerstena, profesor historii Tomasz Szarota: „Adam zwierzył mi się z tego pomysłu i powiedział, że ma olbrzymi kłopot z uzyskaniem dostępu do rocznika tej gazety i numerów z września 1939 r. Jakaż była jego radość, gdy mu powiedziałem, że dysponuję fotokopiami. Na prośbę prof. Tadeusza Manteuffla fotokopię z egzemplarza »Prawdy« przechowywanego w... Helsinkach zrobił dla niego prof. Aleksander Gieysztor. I w ten oto sposób zawędrował on do Warszawy”.

Z czasem to właśnie działalność wydawnicza stała się główną formą aktywności Kerstena. W 1979 roku założył wydawnictwo NOW-a 2, które działało do stanu wojennego. Zajmował się zdobywaniem materiałów drukarskich oraz organizacją transportów. Wykładowca TKN Andrzej Drawicz wspominał: „Na wezwanie trzeba się było szybko zebrać, jechać we wskazane miejsce, ładować do samochodu papier, wydruki czy matryce, dokąś je zawieźć, adres od razu zapomnieć. Czasem coś się rwało albo jakieś łącza nawałaty, albo broszurka była prawie nieczytelna. Adam wpadał w pasję, zwłaszcza gdy inni TKN-owcy przyjacielsko docinali. Ale interes jednak szedł [...]. On to wszystko ogarniał”. Tomasz Szarota wspominał, że w zorganizowanej przez Adama Kerstena ekipie przyjaciół zaangażowanych w przewożenie papieru był też znany aktor Józef Duriasz. Ryzy papieru były przechowywane u prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera na Żoliborzu, również zaangażowanego w działalność TKN.

NOW-a 2 nie była dużym wydawnictwem, a Kersten jako jedyny znał wszystkich współpracowników, dlatego jego historia nie jest prosta do opisania. Pod szyldem kierowanej przez niego firmy ukazał się cykl wykładów TKN, m.in. *Forma i treść „umowy społecznej”* Jerzego Jedlickiego, *Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej* Marcina Króla, *Życie naukowe a monopol władzy (casus Lysenko)* Stefana Amsterdamskiego. Pod koniec 1981 roku NOW-a 2 przygotowywała potencjalny przebieg podziemnego rynku – offsetowe wydanie

► Adam Kersten w Otwocku, początek lat pięćdziesiątych

Fot. ze zbiorów Fundacji Kerstenów

*Kuriera z Warszawy* Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Niestety, druk przerwało wprowadzenie stanu wojennego.

Upowszechnianie ważnych wykładów i debat historyczno-społecznych to niejedyna zasługa profesora. Adam Kersten jako jeden z pierwszych zastosował i rozpowszechnił popularną później metodę dodawania do farby drukarskiej pasty do prania „Komfort”. Ten pomysł ułatwiający druk okazał się jedną z najważniejszych innowacji drugiego obiegu, a jego autor otrzymał żartobliwy pseudonim „Lord Komfort”. „Kiedyś jego żona oburzyła się: »Niedługo w ogóle Komfortu nie będzie, bo wszystko wykupujecie do druku«. A na to Adam Kersten jej odpowiedział: »Moja droga, być może zużywamy całą pastę, ale za to, że w sklepach nie ma kiełbasy, to już naprawdę nie my odpowiadamy?» – wspominał Wojciech Samoliński, jeden z ówczesnych lubelskich drukarzy „Spotkań”.

### Czasy Solidarności

Choć potajemne wydawanie książek i czasopism wymagało nieustannego zaangażowania, Kerstenowi udawało się działać na wielu polach. Można zarzykować stwierdzenie, że aktywność opozycyjna wypełniała mu cały czas. Po sierpniu 1980 roku był doradcą kilku komisji zakładowych NSZZ „Solidarność”, członkiem Rady Programowej Ośrodka Badań Społecznych Regionu Środkowo-Wschodniego Solidarności, uczestniczył w tworzeniu Komisji Porozumiewawczej Nauczycieli i koła Solidarności przy Wydziale Humanistycznym UMCS, a w ramach Wszechnicy Robotniczej NSZZ „Solidarność” wygłosił kilkanaście wykładów z historii Polski. Jednocześnie dużo pomagał młodym kontestatorom. Wspierał powstające w Lublinie Niezależne Zrzeszenie Studentów, a we wrześniu 1980 roku był współwydawcą (m.in. z Jerzym Jedlickim) oświadczenia w sprawie powoływania samorządnych organizacji studenckich, które było kolportowane we wszystkich ośrodkach akademickich.

Kersten był popularny i spełniał się jako popularyzator historii (w grudniu

▶ Adam Kersten w Tatrach, lata sześćdziesiąte

Fot. ze zbiorów Fundacji Kerstenów

1980 roku dziennikarka lubelskiej rozgłośni radiowej usłyszała odeń: „Proszę pani, ja na tę chwilę i na to audytorium czekałem 25 lat”), ale miał świadomość, że zainteresowanie jego wykładami i publikacjami wynikało z kontekstu politycznego, a nie z nagłego wzrostu zainteresowania historią akademicką. W jednym z wywiadów tłumaczył: „Odpowiedziałem po prostu na prośbę Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS. Takiemu zamówieniu społecznemu się nie odmawia. [...] Oni przybyli na wiec polityczny, ponieważ wcześniej zaprotestowałem publicznie przeciwko próbie zerwania pierwszego organizacyjnego zebrania Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS, czyniąc to zresztą ostro, w języku, do jakiego Lublin nie jest przyzwyczajony. Więc ci młodzi ludzie przybyli nie tyle na wykład popularnonaukowy, ile raczej na powtórkę wspomnianej przed chwilą sytuacji. No i spotkało ich chyba wielkie rozczarowanie. Mam nadzieję, że kolejnych wykładów wysłucha mniej osób, ale rzeczywiście zainteresowanych historią”. Mylił się – jego wykłady nadal były w Lublinie ważnym wydarzeniem, a studenci chętnie na nie uczęszczali.

W ich środowisku był zresztą prawdziwym autorytetem. Znalazł się wśród potencjalnych wykładowców Małego Uniwersytetu NZS utworzonego w listopadzie 1981 roku. Jesienią 1981 roku wspierał strajk lubelskich studentów, którzy przyłączyli się do protestów przeciwko piastowaniu przez prof. Mi-

chała Hebdę stanowiska rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. Z ich wspomnień wynika, że wsparcie profesora było dla nich ważne. Młodzi opozycjoniści brali też pod uwagę jego opinie – uchwałę kończącą protest przyjęto na wniosek Kerstena.

Wprowadzenie stanu wojennego nie przerwało aktywności profesora. Wtedy oboje Kerstenowie po tym, jak dowiedzieli się o internowaniu wielu swoich kolegów, przez pewien czas się ukrywali, obawiając się, że ich może spotkać to samo. Nie zaprzestali jednak prowadzenia działań opozycyjnych. Krystyna Kersten w kolejnych latach publikowała regularnie w drugim obiegu wydawniczym. Adamowi Kerstenowi udało się przechować kupiony nielegalnie papier dla NOW-iej 2 (ukrywał go w piwnicach znajomych na warszawskim Ursynowie) i kontynuować działalność wydawnictwa. Kerstenowi wiele zawdzięcza też jedno z najpopularniejszych pism podziemnych, „Tygodnik Wojenny”, który korzystał z przechowanych przez profesora materiałów. Podziemną działalność Adama Kerstena przerwała przedwcześnie śmierć w styczniu 1983 roku. 📖

Artykuł jest poszerzoną wersją tekstu opublikowanego w internetowym wydaniu „Gazety Wyborczej” w styczniu 2013 roku w związku z 30. rocznicą śmierci Adama Kerstena.

Jan Olaszek – pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, doktorant w Instytucie Historii PAN i członek zarządu Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”

# Relacja „króla”

## – Stanisława Śledziejowska-Osiczko o pseudomedycznych eksperymentach w Ravensbrück

**N**iemal od początku wojny Stanisława Śledziejowska przebywała w Świdniku. Zaangażowała się w działalność konspiracyjną. W lutym 1941 roku jako łączniczka pojechała z dwoma konspiratorami w teren, żeby przekazać przesyłkę. Wszystko z pozoru się udało, jednak kilka dni później...

„Poszłam do pracy [...] To był chyba 27 lutego, koniec miesiąca, i po paru godzinach ktoś krzyknął: »Słuchajcie! Niemcy jadą do nas do winiarni!«. Zatrzymali się przed winiarnią, weszli [...] »Ty jesteś Śledziejowska? Ile ty masz lat?«. Mówię: »16 skończyłam«. Coś mówi do drugiego. Sześciu ich weszło, z karabinami, jakby nie wiem czego się spodziewali. »A gdzie jest Sikorska?« – pyta. Mówię, że Sikorskiej tu nie ma. A Stefa stoi obok mnie. »Nie widziałam Sikorskiej dzisiaj«. Stefa stoi błada. »No to jedziesz z nami« – usłyszałam. Pytam się, po co. »Na parę minut«. Te parę minut to ja pięć lat siedziałam”.

Stanisławę Śledziejowską przewieziono do lubelskiego aresztu gestapo przy ul. Uniwersyteckiej. Spędziła tam cztery tygodnie przesłuchań. Następnie trafiła do więzienia na Zamku w Lublinie. Do jej celi sływały ścieki z ubikacji.

„Byłam posiniaczona, gdzieniegdzie była przecięta skóra, rany. Oni mieli takie metalowe pejcze, składające się z kilku, cieniutkie takie. [...] Bolało, piekło, oddychać było trudno”.

Warunki zmieniło przeniesienie do obszernej, ale przepelnionej celi nr 15, gdzie przebywało 56 kobiet areszto-

wanych za działalność polityczną. Tuż przed wyjazdem do obozu...

„Staszka Młodkowska, ja i jeszcze kilkoro z nas zostało wezwanych do kaplicy na Zamku i odczytano nam wyrok – karę śmierci. Staszka Młodkowska strasznie się tym przejęła. Ja powiedziałam tylko tyle: dobrze, żebyśmy wszystkie razem zginęły, niech sobie strzelają, gdzie chcą. [...] Potem jednak walczyliśmy o to życie”.

21 września 1941 roku na dworcu na więźniarki czekały rodziny.

„Przychodziły rodziny, ale tak, żeby nie były widoczne. Pamiętam, jak Kryśka Czyż mówi: »Staszka, moi rodzice«. Do mnie nikt nie przyszedł. Wtedy mimo koleżanek poczułam się bardzo, bardzo samotna. W końcu wsiadłyśmy do tych wagonów. Wagony były pulmanowskie [czyli z przedziałami – przyp. red.]. W każdym przedziale siedziało nas dziesięć i co drugi przedział siedział Niemiec”.

Przez całą drogę zastanawiały się, dokąd jadą. Pytani Niemcy albo nie odpowiadali w ogóle, albo tylko: „*Ich weiß nicht*” [„Nie wiem”]. Kierunek wskazywał na Berlin. W czasie jazdy więźniarki śpiewały, modliły się, deklamowały poezję. Doktor Cybulski, lekarz z Zamku Lubelskiego, dał im sporo kartek pocztowych ze znaczkami.

„Na każdej stacji, a nawet poza stacjami, wyrzucałyśmy przez okno w ubikacji te kartki; jak pociąg ruszał, to one odlatywały. Prawie wszystkie doszły”.

Pociąg zatrzymał się 23 września 1941 roku na stacji Ravensbrück. Początkowo



Fot. R. Pękala

**Stanisława Śledziejowska-Osiczko** urodziła się 1924 roku w Toruniu; za przynależność do organizacji podziemnej aresztowana w 1941 roku przez gestapo, więziona w Zamku Lubelskim, poddana torturom, skazana na karę śmierci, we wrześniu 1941 roku przewieziona do Ravensbrück, w latach 1942–1943 poddana eksperymentom medycznym.

więźniarki były zdezorientowane i zagubione. Tutaj właśnie...

„Spotkałyśmy się z esesmankami, aufzejkami [Aufseherin – strażniczka, przyp. red.] i esesmanami, którzy trzymali psy, ogromne psiska, wilczury. Wrzaski i szczekanie. Wśród nas powstał ruch, bo myśmy nie mogły się zorientować, o co im chodzi. A im chodziło po prostu o to, żeby wysiadać *schneller* [szybciej] i *zu fünft*, czyli piątkami się ustawiać. [...] Ustawiono nas w piątki, czekałyśmy na samochody. Wreszcie nadszedły. Wysadzili nas na placu apelowym. Wytłumaczono nam, że mamy

się piątkami ustawiać. Najbliższe przyjaciółki blisko siebie stawały, aby być razem. Więc ja byłam z Grażyną, Polą, Kryską Iwańską i Niną Iwańską. Przed nami była jeszcze »Duśka« (Wanda Półtawska) z »Czyżem«. Mój numer *siebenundsiebzig zwölf* (7712), »Duśka« – *siebenundsiebzig neun* (7709), Krystyna Wilgata-Czyż – *acht* (7708), Kryśka Iwańska *zehn* (7710), Nina jedenaście (7711), czternaście Grażyna Chrostowska (7714), trzynaście Pola (7713). Trzymałyśmy się ciągle razem”.

Następnie więźniarki skierowano do łaźni, gdzie kazano im się rozebrać i przeprowadzono upokarzające badania ginekologiczne.

„Nasze prywatne życie skończyło się po wejściu do łaźni. Zmieniłyśmy wygląd zewnętrzny, często były golone głowy. Żadna z nas nie miała wшы. Później zorientowałyśmy się, że piękne, gęste i długie włosy były ścinane do gołej skóry, do tzw. glacy. Nie chodziło tylko o to, aby kogoś upokorzyć, bardziej chodziło o te

włosy. Wiele rzeczy się z nich robiło. Te, które pracowały w warsztatach artystycznych, robiły piękne rzeczy z tych włosów”.

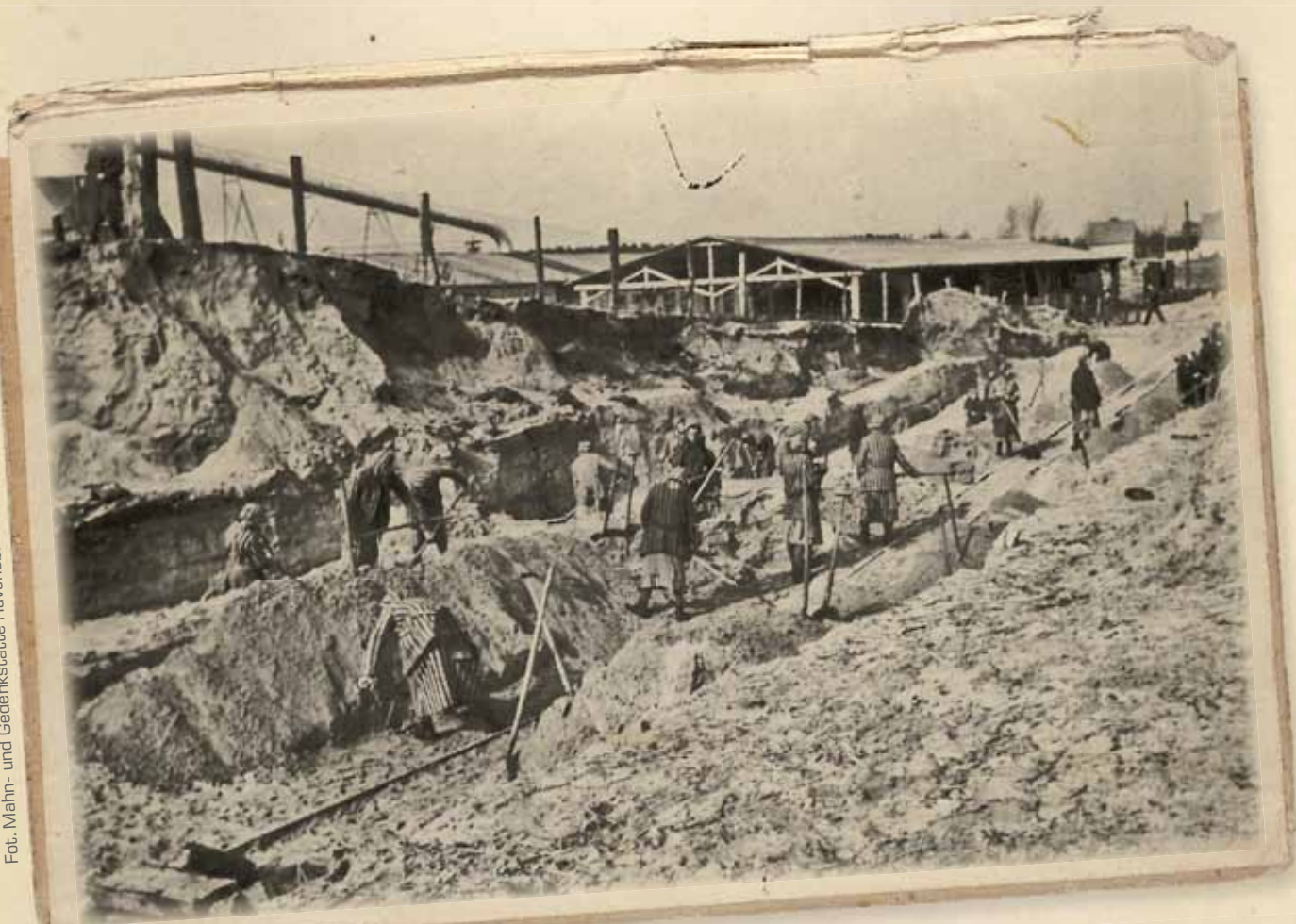
Wzajemna troska i odpowiedzialność za siebie spoiły więzi i przedłużyły je na życie po wyjściu z obozu. Szczególnie dotyczyło to „królików” czy też „króli”, jak same się nazywały ofiary pseudomedycznych eksperymentów. Doświadczenia służyły przede wszystkim skróceniu czasu leczenia ran żołnierzy, którzy jak najszybciej mieli wrócić na front. W Ravensbrück wykonywano je na zdrowych kobietach, więźniach politycznych, głównie Polkach. Przeprowadzali je dr Karl Gebhardt z asystentem dr. Fritzem Fischerem w obecności lekarzy obozowych: Gerharda Schiedlauskiego, Rolfa Rosenthala i Herty Oberheuser.

„Któregoś dnia wezwano nasz blok lubelski i warszawski na plac przed rewirem [szpitalem obozowym – przyp. red.]. Dwóch panów przechadzało się między rzędami i przyglądali się nam. Oglądali nasze nogi. Kilka

z nas wybrano i kazali przejść na bok. [...] Po kilku miesiącach pierwsza poszła Wanda Półtawska. Poszło ich chyba pięć. [...] Pierwsze operacje były krótkie, zakaźniowe. Boże, jak one cierpiały! Zakażenia powodowały bardzo wysoką gorączkę, ponad 40 stopni. Były zamknięte, nikt do nich nie dochodził. Miały wodę i w południe dostawały zupę. Same musiały sobie pomagać, zajmować się. [...] Jak mnie wyczytano, byłam już psychicznie przygotowana, wiedziałam, że idę na operację albo na rozwałkę”.

Pierwsza z sześciu przeprowadzanych operacji Śledziejowskiej trwała pięć godzin. Nogi włożono do gipsu, a na stopy założono specjalne buty przepuszczające powietrze. Rany ropiały. Ofiarom eksperymentów wprowadzano do ran ciała obce (szkło, igły, tkaniny), bakterie gnilne – miało to imitować warunki frontowe. Okaleczenia często były trwałe.

„Usypiali mnie na korytarzu. Budziłam się już w sali. Byłyśmy w tym pokoju cztery: Basia Pietrzyk, ja, Iza Rek i Zosia Bajowa. Basia miała



[operację] zakażeniowo-kostną, ja miałam zakażeniowo-mięśniową, Iza miała zakażeniowo-kostną, ale w jednej nodze i jedno cięcie, ale takie, że aż na drugą stronę nogi i do końca była kaleką. No i »Bajka«, która miała kość strzałkową usuniętą. I po jakimś czasie okazało się, że nasza »Bajka« ma w kości pół igły, którą się zszywa nogę. Gdy przyjechał jakiś lekarz, który jechał na wschód, Zofia Mączka – doktor z Krakowa – zapytała go, czy może zrobić zdjęcie tej nogi. I on się zgodził i patrzy, a tam igła jest. On tę igłę wyciągnął. To było w nocy robione. Wiedziały o tym tylko trzy osoby – między innymi ja”.

Przebieg operacji i zranień był skrzętnie dokumentowany i analizowany. Dopuszczano tylko niektóre leki i wcale nie te, które mogły ulżyć cierpieniom „pacjentów”. Po którejś z operacji, gdy Śledziejowska obudziła się z narkozy, zobaczyła siedzącą przy jej łóżku niemiecką pielęgniarkę Dorę, która przyniosła antybiotyki na zapalenie płuc. Gdy dzięki pomocy siostry Dory więźniarki doszły zbyt szybko do siebie, zarządzo no rewizję.

„Siostra Dora powiedziała mi: »Miałaś już 21 godzin operacji, ale dobrze będzie, silna jesteś«. Inna pielęgniarka dawała mi zastrzyk dożylny – była tak pijana, że poprzekłowała mi rękę tak serdecznie, że później bardziej cierpiałam z powodu tej ręki

aniżeli tej piątej czy szóstej operacji. Siostra Dora, jak zobaczyła, że one wszystkie pijane, zabrała jej strzykawkę i wylała to, co w niej było. [...] Kiedyś mówię do Oberheuser: »*Frau Doktor*, mam silne bóle nogi i nie mogę zrozumieć, co ja tam mam«. Ona na to tylko się uśmiechnęła. Po dwóch czy trzech dniach zabierają mnie i zawożą do jej gabinetu, zdejmują gips. Zobaczyłam ogromną ranę. Ropa się leje i takie robaki. A ona: »Ooo, *Kakerlaken* [karaluchy]!« I ja się rozplakałam. »Śledź *ist fein* – nie jest tak źle«. [...] Była bardzo zadowolona, że się operacja udała. To była jedna wielka rana, udo całe otwarte, dziura taka, że wejdzie cała ręka, ropa się leje, krew się leje. [...] Krew to pół biedy, ale jak zobaczyłam te robaki, to się przeraziłam. [...] Powiedziałam, że nie ma ona Boga w sercu – zaczęła się tylko śmiać. [...] Tak, tak, operacje im się udały, tylko pacjenci nie byli zadowoleni z tego”.

W lutym 1945 roku wszystkie „króle” miały być zlikwidowane – Niemcy chcieli zatrzeć ślady po eksperymentach. Dzięki pomocy koleżanek z obozu, Rosjanek, nie doszło do akcji esesmanów:

„Na naszym bloku były Rosjanki. [...] Między nami była przyjaźń, ale taka w »wypadkach«. Jeżeli coś nam groziło, one natychmiast szły z pomocą, jeżeli im – to my. [...] Jak przyszedł ten rozkaz, żebyśmy się zgłosiły na rewir, to myśły się nie zgłosiły. 2 lute-

go – to był ostatni rok obozu – piąta rano, było zupełnie ciemno. Stajemy na apelu. Nasz blok był w końcu obozu przy wysokim murze. Szept taki poszedł, że Niemcy idą z psami i karabinami. [...] I nagle słyszę, jak »Bog-na« do »Wojtka« mówi tak: »Wojtka, czas na druty«. Przy każdym murze były cztery metry drutu kolczastego pod napięciem. I one nie dadzą się złapać, tylko tam [pójdą]. Mówię: »Puknijcie się w głowę« – i zaczęłam się śmiać – »to lepiej się powiesić«. [...] Ale w końcu słyszę, to było od nas może ze cztery, pięć bloków, gaśnie światło. Najpierw syrena zawyła, no to koniec apelu, tak? Więc jakiś taki ruch i zgasło światło. I widzę w takiej poświacie, jak idą esesmani i stanęli. [...] Światła nie ma, każdy pędzi po omacku do swoich baraków. Widzę oczy psów. Myślę sobie: »Czy mam jakieś halucynacje?«. Oni byli już jakieś cztery bloki przed nami, tylko kilkadziesiąt metrów i byłiby u nas. Seria poszłaby jedna, druga i po nas. A one, te dziewczęta, Rosjanki, odczekały do takiej chwili i syrenę puściły, więc ludzie zaczęli się szybko rozchodzić. To tyle tysięcy ludzi tam [ok. 65 tys. – przyp. red.], więc ruch powstał niesamowity, światła nie ma, jedno się o drugie rozbija. Niemcy stoją, nie mogą się ruszyć, psy krótko na smyczy. Strzelać nie mogą, bo siebie postrzelą”.

Od tego momentu Polki musiały się ukrywać. Przeżyły tylko dzięki solidarnej postawie całego obozu. 30 kwietnia 1945 roku do KZ Ravensbrück wkroczyli żołnierze Armii Czerwonej. Do tego czasu Stanisława Śledziejowska razem z innymi „królami” potajemnie opuściła obóz. Jej droga do Polski to historia na kolejną opowieść. 📌

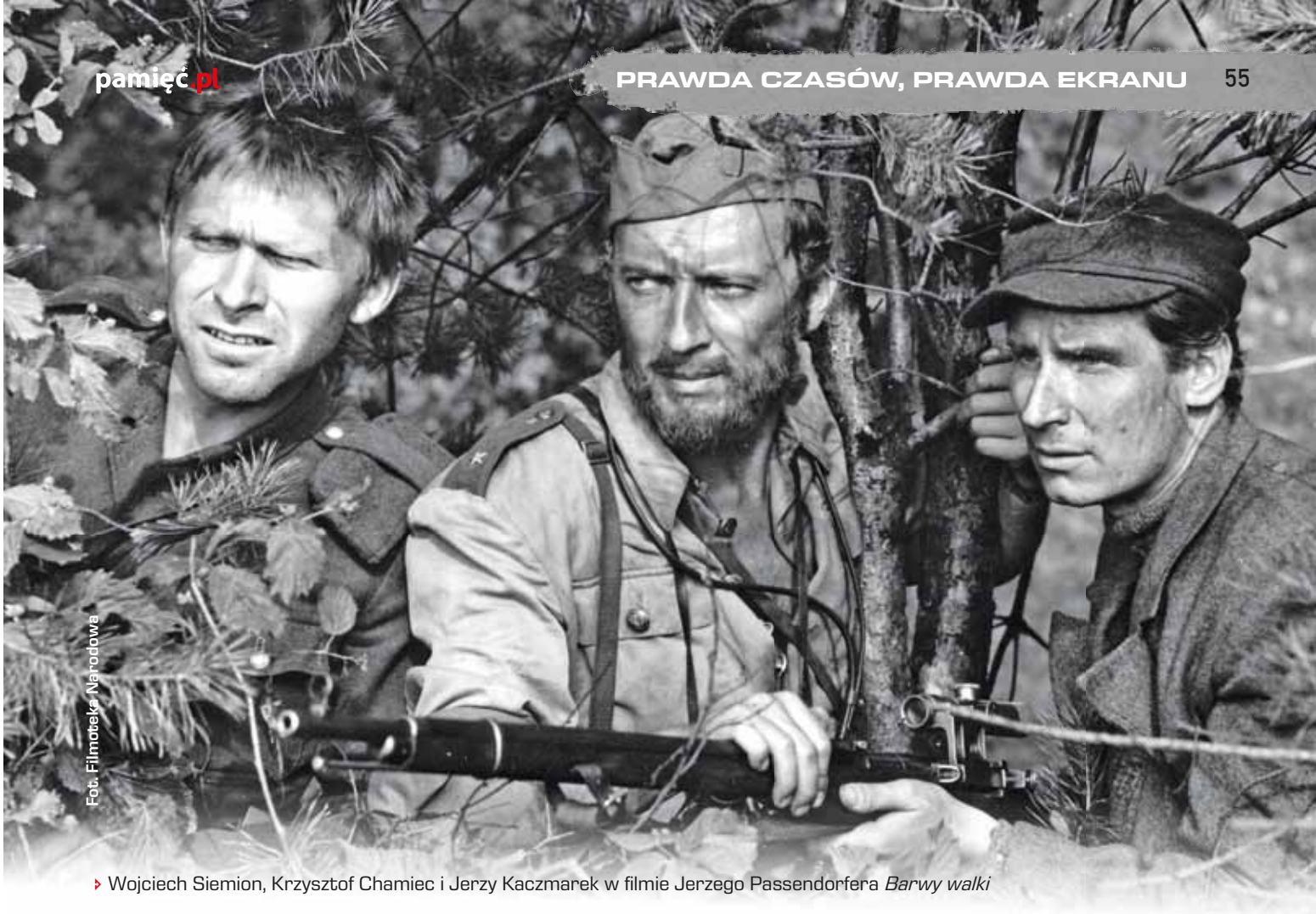
Oprac. Rafał B. Pękała

**Sygnatura:** N-0641

**Data nagrania:** 22–23 października 2012 roku  
Stanisława Śledziejowska-Osiczko

**Czas nagrania:** ok. 500 minut  
Archiwum Historii Mówionej BEP  
Anna Klimowicz, Rafał Pękała





Fot. Filmorek, Anarodowa

► Wojciech Siemion, Krzysztof Chamiec i Jerzy Kaczmarek w filmie Jerzego Passendorfera *Barwy walki*

## Barwy walki

**Jerzy Eisler**

**Banałem jest stwierdzenie, że – zarówno w systemach demokratycznych jak i dyktatorskich – im ktoś ma większą władzę i sprawuje bardziej eksponowane stanowisko w danym państwie, tym zwykle jest powszechniej znany. Tylko ktoś, kto naprawdę interesuje się polityką i życiem publicznym, zna z nazwiska np. poszczególnych ministrów i potrafi rozpoznawać ich na fotografiach czy w materiałach filmowych, podczas gdy prezydenta albo premiera swojego kraju na ogół znają wszyscy. Nie inaczej było w czasach PRL, kiedy to – oprócz pierwszych sekretarzy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – najbardziej znanymi politykami byli długowieczni premierzy: Józef Cyrankiewicz i Piotr Jaroszewicz.**

**W**szelako zdarzało się i tak, że do najszerzej rozpoznawanych osób ze świata politycznego należeli działacze niepiastujący szczególnie eksponowanych stanowisk. Tak było np. w latach sześćdziesiątych z gen. Mieczysławem Moczarem, którego nazwisko było dość powszechnie znane na długo przedtem, zanim we wrześniu 1964 roku stanął na czele monopolistycznej organizacji kombatanckiej, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, a trzy miesiące później został ministrem spraw wewnętrznych. Wynikało to przede wszystkim z jego osobistych ambicji politycznych i było następstwem faktu, że – nie tylko na falach emitującego swoje audycje w języku polskim Radia Wolna Europa – wiele mówiono o tym, że jest on liderem nieformalnej grupy działaczy partyjnych średniego szczebla, zwanych potocznie „partyzantami”.

### Z ominięciem cenzury

Mieczysław Moczar nie tracił przy tym żadnej okazji, aby stopniowo umacniać i rozszerzać swoje wpływy w kierownictwie PZPR. Temu celowi miały także służyć jego wojenne wspomnienia pt. *Barwy walki*, które po raz pierwszy ukazały się w grudniu 1961 roku. Michał Chęciński – oficer, który przez dwadzieścia lat służył w „ludowym” Wojsku Polskim, w tym połowę tego czasu w kontrwywiadzie wojskowym, a po Marcu 1968 wyemigrował do Izraela – opisał perypetie, ►

które towarzyszyły wydaniu tej książki. Otóż maszynopis na początku 1961 roku trafił do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, gdzie jego dyrektor uznał, że praca miejscami jest antyradziecka, a momentami pojawiają się w niej akcenty antysemitki. Zważywszy na znane już w kierownictwie partyjnym polityczne ambicje Mocзара, szef cenzury przekazał maszynopis do konsultacji Edwardowi Ochabowi, członkowi Biura Politycznego KC PZPR. Tekst czytali ponoć wszyscy członkowie Biura, a następnie dyskutowano nad nim na jednym z posiedzeń. Postanowiono, że książka może zostać opublikowana po usunięciu z niej fragmentów uznanych za antyradzieckie. Moczar jednak zaprotestował i doprowadził do ukazania się jej w pełnej wersji. *Barwy walki* doczekały się kilkunastu wydań o łącznym nakładzie kilkaset tysięcy egzemplarzy i stały się z czasem obowiązkową lekturą szkolną. Poza tym publikacja ukazała się także po rosyjsku, czesku, bułgarsku, serbsko-chorwacku, rumuńsku i po niemiecku w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wydanie radzieckie pojawiło się w czerwcu 1964 roku i nawet moskiewska „Prawda” odnotowała ten fakt.

Tymczasem wcale nie jest pewne, czy to rzeczywiście sam Moczar napisał swoje wojenne wspomnienia. Jakby przy okazji złośliwi dodawali, że – biorąc pod uwagę jego ogólne kwalifikacje intelektualne – było to mało prawdopodobne. Na przykład Jan Nowak-Jeziorański, długoletni dyrektor Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, utrzymywał, że faktycznym autorem *Barwy walki* był płk Eugeniusz Bednarczyk. Z kolei gdy 14 kwietnia 1990 roku na łamach tygodnika „Polityka” opublikowano fragmenty wywiadu rzeki Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem, który – mówiąc o Moczarze – stwierdził m.in.: „Piórem chyba [Wojciecha] Żukrowskiego napisał *Barwy walki*”, w Polsce wybuchł niemały skandal. Choć w równocześnie wydanej wersji książkowej *Przerwana dekada* zdanie to zostało zlagodzone i brzmiało: „Piórem – jak powszechnie sądzono – Żukrowskiego napisał *Barwy walki*”, ten ostatni poczuł się obrażony i wniósł powództwo do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, w którym domagał się odwołania pomówienia, jakoby napisał dla i za Moczara *Barwy walki*. Jednocześnie Żukrowski zażądał wysokiego odszkodowania za straty moralne. Na niejawnym posiedzeniu sąd nakazał wstrzymanie rozpowszechniania książki. Podjęto więc decyzję o zamazaniu tego fragmentu w drugim, dwustutysięcznym wydaniu. U wielu ludzi cała ta skandalizująca historia wywołała uczucie zdziwienia, niesmaku lub rozbawienia. Trudno więc dzisiaj się dziwić, że jest naprawdę niełatwo jednoznacznie stwierdzić, kto w rzeczywistości napisał *Barwy walki*.

### Nagroda ministerstwa, uznanie widzów

Niezależnie jednak od tego, wypada powtórzyć, że w Polsce książka oficjalnie spotkała się z przyjęciem co najmniej przychylnym i na pewno przyczyniła się do umocnienia pozycji Moczara. Nie ulega też wątpliwości, że podobną rolę odegrał wprowadzony na ekrany w październiku 1964 roku i noszący

taki sam tytuł film Jerzego Passendorfera, będący swobodną ekranizacją *Barwy walki*. W kontekście tego wszystkiego, co napisałem wcześniej, nie powinien dziwić fakt, że scenariusz przygotował Wojciech Żukrowski. Obraz spotkał się z dobrym przyjęciem (twórcy w 1965 roku otrzymali zespołowo nagrodę II stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki za scenariusz, reżyserię i zdjęcia) i w 1966 roku zajął trzecie miejsce w Plebiscycie Czytelników „Kuriera Polskiego” na najlepszy polski film fabularny.

Równie pochlebnie po premierze oceniali ten obraz recenzenci. Zbigniew Klaczyński na łamach „Trybuny Ludu” nazwał film „mądrą lekcją historii żywej”. Zygmunt Lichniak, związany ze Stowarzyszeniem PAX, pisał w „Słowie Powszechnym”, że film pokazuje, iż „w konkretnych momentach historycznych patriotyzm jest na lewicy. Ale wskazując na to, potrafią *Barwy walki* w mądry i szlachetny sposób ocalić piękną wspólnotę ludzi, których »na górze« różnią koncepcje polityczne”. Jedynie Stanisław Janicki na łamach „Filmu” pozwolił sobie na ostrożne uwagi krytyczne: „*Barwy walki* odpowiadają założeniom, jakie postawili sobie twórcy, i za to należy im się uznanie. Inna sprawa, że problemy, które podjęli, lub o które potracili, proszą się o rozwinięcie, o głębsze potraktowanie, o dotarcie do nich poprzez skomplikowane losy ludzkie, poprzez dramaty ludzi, a nie tylko dramaty samych wydarzeń”.

### Żli Niemcy, złe NSZ

Akcja *Barwy walki* rozgrywa się w lipcu 1944 roku i opowiada historię walk partyzanckich, prowadzonych na Kielecczyźnie przez oddział Armii Ludowej. Jest to jednak wizja historii wyidealizowana i wystylizowana na potrzeby połowy lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza środowiska „partyzantów”. Obok Niemców (a nie nazistów – jak nakazują dziś określać okupantów normy tzw. politycznej poprawności) twórcy filmu bohaterami negatywnymi uczynili żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, którzy – według nich – zajmowali się nie tyle walką z niemieckim okupantem, ile zwalczaniem komunistycznej partyzantki AL i zabijaniem jej dowódców. Wedle stereotypowego ujęcia z lat PRL, dowódca oddziału NSZ pojawia się w kompletnym mundurze, lśniących oficerkach, jest

► Nawet role drugoplanowe zagrali popularni aktorzy; z prawej: Stanisław Mikulski jako Ludwik Pocięcha „Klinga”, zastępca dowódcy oddziału AK



czysty i ogolony i nie ma na nim właściwie żadnych śladów partyzanckiego życia. Nie trzeba też dodawać, że w odróżnieniu od aelowców zatrzymujących się zwykle w chłopskich chałupach, oficer NSZ obowiązkowo stacjonuje we dworze. Ponadto nie jest zbyt zainteresowany walką z Niemcami (nie w każdym razie nie mówi na ten temat), natomiast chętnie wygłasza tyrady skrajnie antykomunistyczne.

Tylko nieco łaskawszym okiem autorzy filmu spojrzeli na Armię Krajową, której jeden z lokalnych dowódców również zajmował się głównie wydawaniem kolejnych zaocznych

wyroków śmierci na komendanta oddziału AL. W decydującym momencie akowcy zdecydowali się jednak walczyć u boku aelowców, a nawet partyzantów radzieckich – i w ten

sposób pod koniec filmu zasłużyli sobie na kilka dobrych słów pod swoim adresem, wypowiedzianych przez oficerów AL. Jest to czytelne nawiązanie do sytuacji politycznej w Polsce nie tyle latem 1944 roku, ile dwadzieścia lat później, gdy realizowano *Barwy walki*. Był to przy tym nader jasny sygnał wysyłany przez Moczara i jego stronników pod adresem środowiska akowskiego: nie liczą się dawne różnice ideowe – najważniejsze są wojenne braterstwo broni oraz wspólna kombatancka przeszłość.

### Westernowa propaganda

Autorzy filmu zadbali o jego wizualną atrakcyjność, stylizując go – nie do końca wiadomo: świadomie czy nie – na modny w owym czasie tzw. western wojenny. Całość rozgrywa się więc w malowniczych plenerach, niemal zawsze przy słonecznej pogodzie, a trudy partyzanckiego życia nie są pokazane jako zbyt wielkie. Nie ma zatem mowy ani o zmęczeniu, ani o napiętych cały czas nerwach, ani o braku snu i odpoczynku, ani o samotności i tęsknocie za bliskimi itd., itp. Właściwie tylko jeden raz grany przez Wojciecha Siemioną „Elegant” skarży się na monotonię partyzanckiego wyżywienia i narzeka na stale obecne w jadłospisie grzyby. Jest to zresztą bodaj najśmieszniejsza scena w całym filmie.

Wspomniałem już powyżej, że – rozpoczynając się efektowną sceną wysadzenia przez partyzantów torów, po której następuje katastrofa kolejowa – *Barwy walki* stylizowano nieco na „western wojenny”. Widz miał może odnieść wrażenie, że jeżdżący konno dowódca oddziału (w tej roli Tadeusz Schmidt) oraz jego zastępca podporucznik „Kruk”, grany przez Krzysztofa Chamca – to niemal John Wayne i Dean Martin w klasycznym westernie *Rio Bravo*. W tym ujęciu aelowscy dowódcy oczywiście mieli być tymi dobrymi. Jak powiedziano, obok Niemców w roli złych obsadzono żołnierzy NSZ. Twórcy szczególnie wyraźnie dali to do zrozumienia w iście westernowej scenie uwolnienia przez „Kruka” z rąk eneszetowców dwóch zatrzymanych przez nich partyzantów AL.

W zamiśle autorów filmu jego dodatkowym atutem miała być znakomita obsada aktorska. Nawet w rolach drugoplanowych i epizodach – poza już wymienionymi – wystąpili wybitni artyści, tacy jak: Mieczysław Czechowicz, Barbara Horawianka, August Kowalczyk, Marian Łącz, Zdzisław Maklakiewicz, Stanisław Mikulski, Józef Nowak czy Ryszard Pietruski, grający działacza Polskiej Partii Robotniczej, którego samolotem należało przerzucić ponad linią frontu, aby mógł nawiązać osobisty kontakt z „radzieckimi towarzyszami”, patronującymi właśnie powstaniu w Moskwie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Wszystko to razem miało sprzyjać realizacji filmu propagandowego, którym niewątpliwie *Barwy walki* były w chwili powstawania i którym pozostają po blisko pół wieku od ich nakręcenia. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli kryzys(y) w PRL (2008)

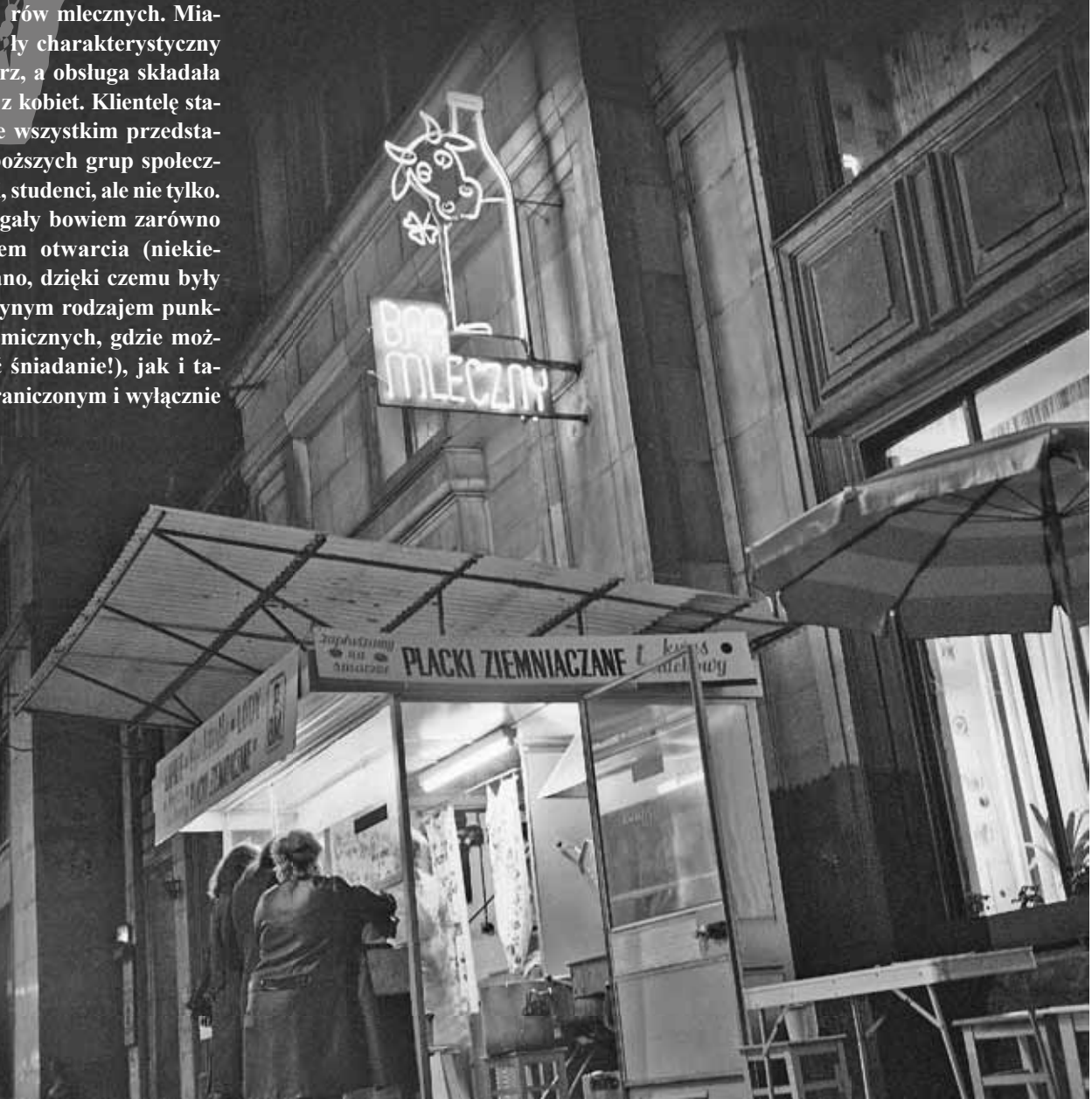


# Bar mleczny

Jerzy Kochanowski

Pierwsze restauracje oferujące dania jarskie i mleczne pojawiły się w Warszawie w końcu XIX wieku, upowszechniły zaś w okresie międzywojennym. Jednak bary mleczne, utrwalone w pamięci społecznej jako – jak pisze Błażej Brzostek w książce *PRL na widelcu* – „instytucja emblematyczna dla PRL-u, [która] dobrze oddawała zarówno jego aspiracje, jak porażki”, były konsekwencją powojennej egalitaryzacji i urbanizacji, biedy i gospodarki chronicznego niedoboru. Pomysł utworzenia barów szybkiej obsługi, serwujących proste, bezmięsne potrawy, pojawił się w roku 1948, kiedy zaczęły szybko znikać prywatne bary i restauracje, niszczone przez tzw. bitwę o handel.

**W** roku 1955 w Polsce było ponad pięćset barów mlecznych. Miały charakterystyczny wystrój wewnątrz, a obsługa składała się wyłącznie z kobiet. Klientelę stanowili przede wszystkim przedstawiciele najuboższych grup społecznych, emeryci, studenci, ale nie tylko. Bary przyciągały bowiem zarówno długim czasem otwarcia (niekiedy od 6.00 rano, dzięki czemu były właściwie jedynym rodzajem punktów gastronomicznych, gdzie można było zjeść śniadanie!), jak i tanim, choć ograniczonym i wyłącznie



POTRAWY		WAGA	CENA
BUEKA Z MASEŁEM	SZT.	125	
BUEKA Z DZEMEM		150	
BUEKA Z SEREM		170	
HERBATA		50	
KOMPOT		70	
MLEKO		70	
KAKAO		120	
KEFIR		120	
ZUPY		500ML.	
POMIDOROWA		300	
GROCHOWA		—	
BARSZCZ		—	
FASOLOWA		—	
OGORKOWA		320	
KRUPNIK		—	
JARZYNOWA		300	
SZCZAWIOWA		—	
KAPUSNIAK		—	

POTRAWY		WAGA	CENA
PIEROGI Z SEREM	320g.	470	
PIEROGI Z KAPUSTA		380	
PIEROGI RUSKIE		—	
NALEŚNIKI Z SEREM	250g.	350	
LENIWE		300	
KOPYTKA	350g.	300	
PYZY ZIEMNIACZ.		—	
PLACKI ZIEMNIACZ.		—	
MAKARON Z SEREM	350g.	380	
KROKIETY Z JAJKIEM	2 SZT.	350	
KROKIETY Z PIECZAR-		420	
-KAMI			
KOTLET JAJECZNY	2 SZT.	300	
JAJKO SADZONE	1 SZT.	150	
SUROWKI		150g.	
Z MARCHWI		150	
Z OGORKÓW		150	
BURACZKI		—	
MARCHEWKA		—	
Z GROZDKIEM		250	
KAPUSTA CZERWONA		150	

POTRAWY		WAGA	CENA
DODATKI			
ZIEMNIAKI	250g.	200	
RYŻ		170	
KASZA		—	
MAKARON		200	
KISIEL		250g.	180
KASZA MANNA	350g.	300	
BUDYN	250g.	250	
RACUCHY		—	

Rys. A. Szafrański

bezmieśnym jadłospisem. Na menu składały się głównie pierogi, naleśniki, kluski, kasze, potrawy z ziemniaków i nabiału, podawane na charakterystycznej zastawie z grubej ceramiki.

Chociaż w najbardziej chyba znanej komedii z czasów PRL, *Misiu* Stanisława Barei (1980), bar mleczny jest pokazany jako gastronomiczne *curiosum*, to przecież z jakością potraw i czystością lokali bywało bardzo różnie. Bar położony niedaleko bramy głównej Uniwersytetu Warszawskiego (odwiedzany w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych również przez piszącego te słowa) nie bez przyczyny był powszechnie nazywany „Karaluchem”. Jednak położenie, ceny i nie najgorsza jakość potraw oraz szybkość obsługi rekompensowały inne niedogodności.

Tanie potrawy i brak konwenansów typowych dla restauracji lub kawiarni sprawiały, że bary były dostępne w zasadzie dla wszystkich, wzmacniały też więzi sąsiedzkie, spełniając funkcję nieco podobną do francuskich czy hiszpańskich knajpek „na rogu”. Z punktu widzenia żon klientów barów mlecz-

nych, zwłaszcza z rodzin robotniczych, takie bary miały niezaprzeczalny plus – nie sprzedawano w nich alkoholu! To jednak z kolei był problem dla agentów, bo niskie ceny i brak wyszynku (na którym przede wszystkim zarabiała gastronomia) uzależniały bary mleczne od dotacji, zazwyczaj miejskich. Władze zaś, zwłaszcza od kiedy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczęły nieco skrupulatniej liczyć pieniądze, nie były już tak skore do dopłat. W rezultacie w roku 1970 było już o kilkadziesiąt barów mlecznych mniej aniżeli kilkanaście lat wcześniej.

Jednak prawdziwy cios takiej gastronomii zadała transformacja po roku 1989. Większość barów (głównie te położone w prestiżowych dzielnicach) upadła, nie wytrzymując konkurencji, wysokich czynszów i nie radząc sobie z trudnościami w zdobywaniu dotacji. Część jednak przetrwała (w Warszawie jest ich kilkanaście, w innych dużych miastach co najmniej po kilka), stając się jednym z najlepiej wspominanych (i często odwiedzanych) relikwów PRL. Te, które dopasowały się do wolnego rynku, dają sobie zazwyczaj nieźle

radę. Wiele z nich zostało sprywatyzowanych (przejętych przez dawnych pracowników), ale utrzymało sporo z dawnego menu, i przede wszystkim – niskie ceny.

Bary mleczne wykorzystują również modę na okres przed 1989 rokiem, powracając na przykład do dawnego wystroju. Stały się atrakcją turystyczną. Są masowo odwiedzane i chwalone przez gości z zagranicy. Nieprzypadkowo w roku 2011 brytyjski dziennik „The Guardian” za jedyną restaurację wartą polecenia w Gdańsku uznał bar mleczny „Turystyczny”, działający od połowy lat pięćdziesiątych. Lokale gastronomiczne tego typu stały się też składnikiem pejzażu kulturowego, trafiając do literatury (na przykład do powieści Ingi Iwasiów *Bambino* z 2008 roku), a happening w obronie baru „Prasowego”, który zorganizowała warszawska młodzież w końcu roku 2011, ogólnopolska gazeta uznała za najbarwniejszy protest roku... ■

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski  
– pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989* (2010)

# Z detektorem na militaria

Michał Mackiewicz

**Archeologia militarna, jako oddzielna dziedzina nauki, wyodrębniła się kilkadziesiąt lat temu i zyskała w USA i Europie Zachodniej dużą popularność. Oczywiście, dawne pola bitew badano dużo wcześniej, także w Polsce (choćby poszukiwania pod Grunwaldem), ale gwałtowny rozwój technologii i pojawienie się zaawansowanych wykrywaczy metalu oraz urządzeń GPS otworzyły nowe perspektywy, a archeolodzy dostali do ręki narzędzia, o jakich dotychczas mogli tylko pomarzyć.**

**W**wielu krajach są realizowane rozmaite, długofalowe projekty związane z profesjonalnym penetrowaniem pobojozisk. W Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie nowoczesnej archeologii militarnej (pionierskie badania nad rzeką Little Bighorn, w miejscu bitwy z Indianami z 1876 roku), od wielu lat są eksplorowane miejsca związane z wojną secesyjną, a materiał zabytkowy, zwłaszcza amunicja, jest poddawany wnikliwej analizie naukowej. W Anglii prowadzone są badania na polach średniowiecznych bitew, choćby pod Towton, gdzie w 1461 roku doszło do najkrwawszego starcia podczas Wojny Dwóch Róż. Z kolei we Francji i w Belgii archeologia coraz częściej wkracza na pobojoziska I wojny światowej, a odsłonięte i zrekonstruowane transzeje są zaliczane do atrakcji turystycznych. Wszystkie te przedsięwzięcia przynoszą znakomite efekty, wzbogacając wiedzę o dawnej sztuce wojennej oraz poszerzając ofertę muzeów historycznych. Do bezcennych pamiątek należą m.in. pozostałości po trzech rzymskich legionach zniszczonych w 9 roku n.e. w Lesie Teutoburskim przez Germanów. Zostały odnalezione, m.in. dzięki wykrywaczom metalu, nieopodal niemieckiej miejscowości Kalkriese (dziś to dzielnica miasteczka Bramsche, ale nazywa się tak również pobliski areał – prawdopodobne miejsce bitwy) w Dolnej Saksonii.

Niestety w Polsce, którą z racji niestannych konfliktów ją nawiedzających

śmiało nazwać możemy wojennym skansenem, archeologia militarna w zasadzie nie istnieje. To znaczy nie istnieje w pojęciu instytucjonalnym, bo przedsięwzięcia podejmowane przez placówki badawczo-naukowe można policzyć na palcach jednej ręki. Próżno więc szukać w państwowych muzeach wojennych pamiątek przeszłości odnalezionych w miejscach chwały naszego oręża (pewnym wyjątkiem jest Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą) – zabytków, które ze względu na swój kontekst mają szczególną wartość historyczną. Nie może wobec tego dziwić fakt, że inicjatywę przejęli prywatni poszukiwacze amatorzy, tym bardziej że nabycie dobrego wykrywacza metalu nie jest trudne. Całkiem profesjonalny sprzęt można kupić już za kilkaset złotych – w sklepie lub przez Internet, a dzięki temu ostatniemu łatwo zaopatrzyć się w skany oryginalnych map i planów, potem zaś dokonać identyfikacji odnalezionych w ziemi przedmiotów.

## Nieżydciowe przepisy

Polskie prawo (Ustawa o ochronie zabytków) w kwestii poszukiwań jest dość restrykcyjne i, podobnie jak w wielu innych dziedzinach, bardzo niedoskonałe, a wręcz nieścisle. Aby móc w zgodzie z przepisami posługiwać się wykrywaczem metalu, należy uzyskać zgodę właściciela terenu oraz odpowiedniego



Fot. ze zbiorów autora

► Autor artykułu prezentuje swoje znaleziska

konserwatora zabytków. Odnalezione przedmioty, czyli – w rozumieniu prawa – zabytki, powinny trafić do odpowiedniej placówki muzealnej. Tymczasem już samo pojęcie zabytku (w tym zabytku archeologicznego) jest bardzo nieprecyzyjne, co skutkuje tym, że każdy przedmiot zalegający w ziemi i pochodzący sprzed 1945 roku jest traktowany jako cenny z punktu widzenia dziedzictwa narodowego i automatycznie staje się własnością państwa. Innymi słowy, tę samą wartość, teoretycznie, ma mie-

dziana kopiejka z XIX wieku odnaleziona na ornym polu i średniowieczny miecz pochodzący z cmentarzyska. Nie do końca też wiadomo, jak traktować np. pozostałości z ostatniej wojny – czy są zabytkami archeologicznymi, czy też nie. Uzyskanie pozwolenia na poszukiwania jest oczywiście teoretycznie możliwe, ale w praktyce starają się o nie jedynie poszukiwacze zrzeszeni np. w stowarzyszeniach eksploracyjnych. Indywidualni „detektoryści” działają poza wszelką kontrolą, przez co nie wiemy, ile osób tak naprawdę „rozkopuje” Polskę; wiadomo tylko, że z roku na rok jest ich coraz więcej.

Przez niedoskonałe prawo tracą wszyscy – i poszukiwacze, którzy działają niezgodnie z przepisami i z tego powodu są narażeni na konsekwencje prawne, i archeolodzy, i muzealnicy, rzadko kiedy są bowiem informowani o cennych znaleziskach. Od jakiegoś czasu trwa zażarta dyskusja dotycząca zmian w przepisach. Co ciekawe, za bardziej liberalnym podejściem opowiada się także немало czynnych zawodowo archeologów. Podają oni przykład doświadczonego prywatnego poszukiwacza z prawa brytyjskiego, dzięki któremu tamtejsze muzea wzbogaciły się w ostatnich latach o bezcenne artefakty (w tym złote skarby z okresu wędrówek ludów i wczesnego średniowiecza), odnalezione przez hobbystów z wykrywaczami metali. W Polsce tymczasem dobre chęci bywają niekiedy przyczyną kłopotów, o czym dwa lata temu przekonał się znany w środowisku poszukiwaczy saper ze Śląska, który przekazał w dobrej wierze do jednego z muzeów kilkadziesiąt zabytków. Zabytki muzeum chętnie wzięło, ale jednocześnie zawiadomiło policję o popełnieniu przez poszukiwacza przestępstwa (zgłoszenie w świetle prawa było jak najbardziej uzasadnione).

Wśród poszukiwaczy zdarzają się niewątpliwie świadomi przestępcy, rabujący stanowiska archeologiczne i handlujący cennymi zabytkami (np. pradziejowymi czy średniowiecznymi). Zresztą zjawisko takie dotyczy nie tylko naszego kraju,

„czarne owce” zdarzają się bowiem wszędzie. Wydaje się jednak, że zdecydowana większość jest zainteresowana przedmiotami mającymi niewielkie znaczenie dla narodowego dziedzictwa lub wręcz zupełnie go pozbawionymi. Są to przede wszystkim pozostałości dwóch ostatnich wojen oraz drobne artefakty zalegające pola orne i nieużytki rolne, w tym tam zazwyczaj naniesione, a więc pozbawione kontekstu. Szanujący się „detektoryści” przestrzegają niepisanego kodeksu. Jego naczelną zasadą jest trzymanie się z dala od stanowisk archeologicznych, a w przypadku natrafienia na takowe, niezwłoczne informowanie właściwego konserwatora zabytków. Przed wejściem np. na pole orne należy zapytać o zgodę właściciela (nie kopie się w okresie wegetacji roślin!). Równie ważne jest pozostawienie po sobie porządku, czyli zabranie wykopanych śmieci oraz sumienne zasypanie dołków – zwłaszcza w lesie.

### Kolor i militarka, czyli co kto woli

Zasadniczo poszukiwacze dzielą się na tych, którzy preferują „kolor”, i tych, którzy wolą „militarkę”. Pierwsi pozyskują drobniejsze przedmioty wykonane z metali kolorowych, a więc przede wszystkim monety, ale także biżuterię, aplikacje, plomby etc. Cenne są też oczywiście pozostałości wojskowe, czyli guziki, oznaki, odznaczenia, emblematy, nie-

śmiertelniki. Poszukiwania wybranych przedmiotów umożliwiają szeroki, regulowany zakres wykluczenia, który zapewniają nowoczesne wykrywacze. Urządzenie można ustawić tak, aby pomijało niepożądane drobne przedmioty metalowe, czyli np. gwoździe, druty, kapsle po piwie, mniejsze odłamki. Większość nowszych typów detektorów ma także automatyczne strojenie do gruntu, dzięki czemu eliminuje zakłócenia powstałe wskutek np. wysokiej mineralizacji gleby. Umiejętna korelacja sygnału dzwinkowego ze wskazaniem na wyświetlaczu (najczęściej ciekłokrystalicznym) wykrywacza pozwala bardziej zaawansowanym poszukiwaczom jeszcze przed wydobyciem przedmiotu z ziemi ocenić głębokość jego zalegania, wielkość oraz materiał, z jakiego został wykonany.

Amatorzy militariów preferują „większe sygnały”, czyli elementy uzbrojenia i oporządzenia bądź fragmenty amunicji (łuski). *Gros* militariów odnajdowanych w trakcie poszukiwań stanowią pozostałości po wojnach światowych, kiedy to rozwój przemysłu umożliwił wyekwipowanie niespotykanych dotychczas, wielomilionowych armii. W obu przypadkach front przetoczył się przez polskie ziemie kilkakrotnie, pozostawiając po sobie setki tysięcy zabitych oraz ogromną ilość wojskowego sprzętu i wyposażenia. Zalegające w ziemi przedmioty trafiły do ▶

▶ Włoska Beretta i radziecka pepesza z partyzanckiej skrytki





Fot. ze zbiorów autora

► Drobne przedmioty znalezione na polu ornym

niej różnymi drogami. Miliardy łusek po wystrzelonych pociskach pozostały na stanowiskach bojowych, pomimo bowiem tego, że mosiądz, z których je wykonywano, był stosunkowo cenny, nikt raczej nie zwracał sobie głowy ich odzyskiwaniem (dotyczy to zwłaszcza amunicji karabinowej). Wciąż także można odnaleźć znaczne ilości pocisków (nie-wypałów i niewybuchów), granatów oraz naboju, zdarzają się nieraz całe ich składy (powojenna akcja rozminowywania Polski, wobec skali problemu, okazała się niewystarczająca), o których zapomniano lub które specjalnie zakopano. Równie masowym artefaktem na naszych ziemiach są ołowiane kulki od szrapneli oraz odłamki artyleryjskie, te ostatnie jednak należą do najmniej efektownych i przez to raczej niepożądanych znalezisk. Spora ilość wojennego wyposażenia uległa uszkodzeniom lub zużyciu w trakcie walk i została najzwyczajniej porzucona (choćby rozmaite skrzynie amunicyjne, pojemniki etc.). Kolejną kategorię stanowią te militaria, które zostały zagubione podczas walk lub w miejscach stacjonowania wojska albo też na-

leżały do poległych czy rannych żołnierzy. Tym

ostatnim zdejmowano elementy oporządzenia (np. pasy z ładownicami), po to by udzielić pomocy i przetransportować na tyły. W tym wypadku pozostałością są m.in. karabiny, bagnety, klamry od pasów (cenne są zwłaszcza piękne mosiężne klamry z okresu I wojny światowej), manierki, menażki, hełmy, emblematy z czapek i hełmów. Właściwie można odnaleźć niemal wszystko, w co żołnierz został wyposażony (nawet jeśli jakiś element wykonano z materiałów organicznych – skóry, brezentu czy sukna – metalowe okucia lub guziki mogą naprowadzić na jego ślad), oraz to, co stanowiło jego własność osobistą (monety, dewocjonalia – krzyżyki, ikonki). Nie można wreszcie zapominać, że bardzo często wojskowy sprzęt celowo zakopywano po to, aby nie dostał się w ręce wroga. Mam tutaj na myśli zwłaszcza ostatnią wojnę – uzbrojenie chowano w 1939 roku (patrz „Pamięć.pl” nr 11), potem postępowała tak konspiracja niepodległościowa. Odkrycie takich skrytek, czasami obficie wypełnionych, zdarza się rzadko, ale są to znaleziska bardzo efektowne. Kilka lat temu na taką zdeponowaną broń natrafiono pod Kockiem, a więc w miejscu ostatniej bitwy wojny obronnej z września 1939 roku.

► Sygnowany guzik 1. kompanii artylerii pozycyjnej z okresu Królestwa Polskiego



Fot. ze zbiorów autora

## Od zakrętki po czołg

Poszukiwacze penetrują przede wszystkim lasy (militaria) i pola orne (tutaj pozyskuje się zwłaszcza monety), gdzie teren jest łatwo dostępny i rzadko wzbudza się zainteresowanie postronnych ludzi. Wojenne stanowiska dosyć łatwo zlokalizować w terenie, bo wyznaczają je linie okopów, ziemianki, betonowe schrony. Zmora miłośników pamiątek historycznych są wszechobecne śmieci (niestety, polskie lasy wyglądają jak istne wysypiska odpadów). Obok łusek karabinowych najczęstszym „artefaktem” są więc zakrętki po wódce i niejeden „detektorysta” mógłby zbudować imponującą kolekcję Polmosów.

Część hobbystów, zwłaszcza członkowie oficjalnych stowarzyszeń, specjalizuje się w poszukiwaniu i pozyskiwaniu sprzętu ciężkiego. To przedsięwzięcia zazwyczaj bardzo skomplikowane logistycznie i kosztowne zarazem. Nagrodą za trudy wydobywania są niezwykle efektowne i unikatowe „pancerne monstra”. Do ostatnich sensacyjnych odkryć należy wydobyty kilka miesięcy temu brytyjski czołg typu Valentine, wykorzystywany przez Armię Czerwoną. Pojazd jest kompletny, obecnie trwa jego pieczołowita restauracja.

Należy mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości uda się zmodyfikować polskie przepisy i nieco bardziej dopasować je do otaczającej nas rzeczywistości. Wówczas być może będziemy mogli mówić o nieskrępowanej współpracy archeologów i hobbystów z wykrywaczami metalu. A że jest to możliwe, przekonują prace przeprowadzone w ubiegłym roku pod Maciejowicami (pobojowisko z powstania kościuszkowskiego). Archeologów z Muzeum Wojska Polskiego wsparli wolontariusze – pasjonaci historii. Dzięki wspólnym badaniom udało się pozyskać wiele bezcennych zabytków, które zasilili zbiory muzeum. 🇵🇱

Z poszukiwawczym pozdrowieniem  
Darz dół!

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



# Orły na hełmach załogi pociągu pancernego „Śmiały”

Tomasz Zawistowski

„Już zadudniły koła pod ciężkimi pancernymi wozami. Kapitan Hickiewicz prowadzi pociąg. Siedzę w bastjonie i całą duszą wchłaniam widoki, które się przesuwają, śwąd lokomotywy, blady mat pancerny. Wszystko to już było. Przypominają mi się boje z bolszewikami, w których tereny wrzynał się mój pociąg.

Czyż teraz nie to samo?

Ta sama partyzantka chłopska, ten sam front bez ustalonej linii, też same ryzyka i możliwości. I też same kochane gęby moich żołnierzy z bobrujskiej pancernki, związkowców, peowiaków, którzy się zlecieli, usłyszawszy, że jestem na »Śmiałym«. Nasz »Śmiały« idzie pierwszy na czele szczuplej odsieczki w nieznanne ruskie mateczniki”.

**T**ak zanotował w *Strzepakach epopei* Melchior Wańkowicz opowiadanie porucznika Stanisława Małagowskiego, prowadzącego pociąg pancerny „Śmiały” na odsiecz Lwowa. „Śmiały” był pierwszym pociągiem pancernym Wojska Polskiego, ale nie pierwszym dla porucznika Małagowskiego. Ten bowiem oficer, jeszcze jako podporucznik



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł przeznaczony pierwotnie na projektowany w 1916 roku kaszkiet piechoty Legionów Polskich; w 1919 orły tego typu były noszone na hełmach załogi pociągu pancernego „Śmiały”

nik 1. Kompanii Inżynieryjnej 1. Dywizji Strzelców I Korpusu Polskiego, otrzymał w lutym 1918 roku rozkaz stworzenia pociągu pancernego. Lokomotywa i dwa wagony towarowe, obłożone workami z piaskiem i stalowymi płytami, trzycalowe działo i ka-

rabiny maszynowe oraz trzydziesto-pięćosobowa załoga złożyły się na jednostkę, która pod nazwą „Związek Broni” walczyła przeciwko bolszewikom, działając ze stacji w Bobrujsku. Kres istnieniu pociągu położyła majowa kapitulacja I Korpusu. Tamte czasy ►

wspominał porucznik Małagowski, jadąc kilka miesięcy później do Przemyśla i Lwowa pociągiem zupełnie innej klasy. Nie była to już konstrukcja prowizoryczna, lecz w pełni profesjonalny pociąg pancerny zdobyty na zaborcy.

Jesienią 1918 roku cesarsko-królewska monarchia sypała się w gruzy. Ostatniego dnia października prawie bez strzałów odebrano Austriakom władzę w Krakowie. Wśród zdobyczy wojennej znalazł się pociąg pancerny, stojący na torze koło fortu w Prokocimiu. Po sprowadzeniu do Krakowa został podzielony na dwie części, które miały się stać zaczątkami polskich pociągów „Śmiały” i „Piłsudczyk”.

### Przeciw Ukraińcom i bolszewikom

1 listopada zaczęła się walka o Lwów, a niedługo później Ukraińcy chwycili za broń w całej Galicji Wschodniej. 5 listopada z Krakowa na odsiecz wyruszył oddział w sile blisko 500 żołnierzy, a wraz z nim niemający jeszcze nazwy pociąg pancerny, składający się z opancerzonej lokomotywy, wagonu artyleryjskiego z działem kalibru 70 mm umieszczonym w ruchomej wieży oraz wagonu opancerzonego ze stanowiskami czterech karabinów maszynowych. 11 listopada, gdy w Warszawie rozbrajano Niemców, polski pociąg pancerny i piechota wypierały

z Przemyśla Ukraińców. Po zdobyciu miasta, po walkach stoczonych pod Medyką i Gródkiem, w nocy 19 listopada pociąg pancerny wjechał na będący w polskich rękach lwowski Dworzec Główny. O świcie następnego dnia wziął udział w zwycięsko zakończonym boju o lwowską stację kolejową Podzamcze, a przez kolejne dni pełnił służbę na liniach między Lwowem a Przemyślem. Powróciwszy do Lwowa, 26 listopada otrzymał oficjalnie nazwę „Śmiały”.

11 grudnia we Lwowie do biorącego cały czas udział w walkach „Śmiałego” została przydzielona 1. Kompania Polowa Batalionu Akademickiego w sile 110 ludzi. Sformowana w pierwszych dniach listopada w Krakowie, po dotarciu przez Przemyśl i Sądową Wisznę do Lwowa oraz otrzymaniu czterech wagonów towarowych o ścianach „opancerzonych” betonem stała się kompanią szturmową „Śmiałego”.

Melchior Wańkowicz pisał: „Jest coś podobnego do walk morskich w tej taktyce bojowej naszego pancernego pociągu. Równie niepewnie wrzyna się człek w nieznanne, obsadzone przez wroga tereny i czeka, że lada chwila eksploduje pod nim mina, pod szynami ukryta.

Równie nieprzenikliwe pancerze otaczają załogę pociągu, równie pancerne wieże strzelnicze sterczą nad stalowym kadłubem, niby nad pomostem, równie przykuty jest każdy z nas do swego stanowiska, równie marny los czeka nas po zdemontowaniu pociągu, jak okrętową załogę po zniszczeniu okrętu. Piechota, kawaleria, saperzy, każdy tam orze jak może, a jak jest źle, każdy sobie radzi. My jesteśmy związani ze sobą, z pociągiem, w jedno. On bez nas, my bez niego, nie znaczymy nic. Podobieństwo potęguje się w walce, zwłaszcza w walce z nieprzyjacielskim pociągiem pancernym. Siła wtedy zależy od tego, kto pierwszy zdoła w pojedynku artyleryjskim utracić przeciwnika, czyje nerwy na dłużej starczą, kto dłużej placu dotrzyma.

► Oficerowie pociągu pancernego „Śmiały” na froncie małopolskim w marcu 1919 roku; na helmach widoczne orły takie jak na ilustracji na s. 63



Bój taki mieliśmy pod Hermanowicami. Wracaliśmy właśnie z patrołowania okolicy aż spod Niżankowic. Raptem natykamy się na tor, który chłopstwo za nami zerwało. Wyskakują nasi z pociągu z narzędziami, a tu sąsiednia wieś, Drozdowice, poczyna prażyć do nich ogniem karabinowym. Nasza armata zwraca się ku Drozdowicom, na lewo, i zabiera się do ostrzeliwania.

Wtem w zakrętu od prawej ręki po tejże linii wypada pełnym pędem na nas pociąg. Nimeśmy głowy odwró-

cić zdołali, rozlega się strzał działowy ukraiński! Ich pancernik wypadł sobie i wali. A nasze działo narychtowane hen! w pole... Tymczasem ten »złodziej« (jak mówi Józiek) wali do nas znowuż z armaty. Szczęście, że po raz drugi chybia. Cofa się teraz, dymiąc silnie (ze strachu – opowiada potem Józiek), zakrętem za wzgórek. Ale jeśli on się boi, to czego my się nie mamy bać? On się już wystrzelał przynajmniej, a nam mało co się nie dostało. Stoi tam teraz za górką (nie kombinuje widać, że zdradza go pióropusz dymu)

i niechbyśmy tylko pokazali nos, pięknie nas spotka! Mija pięć minut. Oba »pancerniki« sapią i czekają wizyty.

Wreszcie brat Rusin wyjeżdża delikatnie zza górki. Jezuu, rety! Jak huknie porucznik Hrebenda... Rusin w nogi. My za nim. On coraz większy pęd bierze. My też. Walimy z tej naszej Bożej armaty aż huczy. Przepędziliśmy go aż za Niżankowice. Rezultaty strzałów Bogu wiadome, ale Józiek klnie się, że go »dojmał«.

Po zakończeniu pięciomiesięcznych walk w kampanii ukraińskiej „Śmiały” powrócił do Krakowa na kilkanaście dni, a już dwa tygodnie później rozkazy skierowały go na front litewsko-białoruski. Zaczęła się wyprawa wileńska. W pierwszych walkach o Baranowicze „Śmiały” stał się z oddziałami bolszewickimi, złożonymi – jak zanotowano w kronice pociągu – z Chińczyków i Polaków.

### Umundurowanie załogi

Pierwszą załogę pociągu stanowili żołnierze plutonu ciężkich karabinów maszynowych cesarsko-królewskiego 57. pułku piechoty. Polacy w austriackich mundurach stali się Wojskiem Polskim. Od 1 listopada 1918 roku obowiązywał pierwszy rozkaz mundurowy podpisany przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego: „Wojska polskie noszą uniform b[yłego] Korpusu posiłkowego; gdzie się nie da to przeprowadzić, przynajmniej polskiego orła na czapkach”. W załodze „Śmiałego” noszenia mundurów Polskiego Korpusu Posiłkowego rzeczywiście „nie dało się przeprowadzić” – pozostały więc orły. Na czapkach umieszczono takie, jakie były dostępne w sprzedaży, jakich używali wszyscy żołnierze nowo powstającej armii.

Umundurowanie ochotniczej kompanii szturmowej miało początkowo charakter prowizoryczny, jak wspominał jeden z żołnierzy (pisownia oryginalna): „[...] ciekawy to był widok, gdy z pod płaszczy wojskowych wyglądały nam spodnie cywilne, lub z za bluzy żołnierskiej sterczał figlarnie ▶



▶ Żołnierz z załogi pociągu pancernego „Śmiały” z orłem tzw. beliniackim na helmie

rabek świeżutkiego kołnierzyka”. Sytuacja dość szybko się poprawiała. Kompania szturmowa została wyposażona w hełmy, które postanowiono ozdobić orłami. Użyto w tym celu trzech typów orłów dużych rozmiarów, produkowanych w czasie wielkiej wojny dla Legionów Polskich. Zostały one zapewne kupione w Krakowie, gdzie w 1918 roku były jeszcze dostępne w sprzedaży. Szkoda, że nie znamy nazwiska pomysłodawcy umieszczania dużych, metalowych orłów na hełmach, było to bowiem rozwiązanie kuriozalne.

Najpopularniejszym z trzech wzorów spotykanych na hełmach załogi „Śmiałego” był orzeł z ilustracji na s. 63, wyprodukowany w Wiedniu w 1916 roku i przeznaczony do używania z kaszkietem paradnym, który w końcu nie został wprowadzony. Zapas orłów przetrwał wojnę w magazynach i w roku 1919 został częściowo wykorzystany przez żołnierzy z załogi „Śmiałego”.

► W innych pociągach pancernych również zdarzały się przypadki ozdabiania hełmów metalowymi orłami, lecz już nie tak okazałymi jak w „Śmiałym”

Kolejnym, znacznie bardziej okazałym orłem, którego użyto w identycznym charakterze, był orzeł tzw. „beliniacki” (więcej o nim w „Pamięci.pl” z grudnia ub. roku), produkowany od 1915 roku i noszony w kawalerii I Brygady Legionów, a później w 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich. Oprócz prezentowanego tu zdjęcia (ilustracja na s. 65) znane są ujęcia przynajmniej kilku innych żołnierzy „Śmiałego”, używających orłów tego typu. Warto zauważyć, że dopasowanie tak dużego godła do krzywizny hełmu nie było zadaniem łatwym.

Trzecim typem orła legionowego noszonego na hełmach w tej samej jednostce był orzeł z wysokich czapek kawalerii II Brygady Legionów Polskich. Jak dotąd znane zdjęcia archiwalne dokumentują używanie go przez jednego tylko żołnierza.

W opisie historii polskich orłów załoga „Śmiałego” wymaga więc wspomnienia jako oddział o najoryginal-

niejszym bodaj podejściu do kwestii noszenia orłów na hełmach. O ile znane są liczne przykłady nakładania na hełmy orłów różnych typów, w tym przez załogi innych pociągów pancernych (il. poniżej), o tyle nie są znane inne przypadki noszenia hełmów ozdobionych orłami tak okazałe jak w pociągu pancernym „Śmiały”.

W roku 1920 załoga „Śmiałego” wymieniła mundury wz. 17 na nowe – wz. 19. Przy tej okazji zamiast hełmów wzoru niemieckiego zostały wydane hełmy wzoru francuskiego. Odbyło się to podczas pobytu pociągu w Krakowie w czerwcu 1920 roku lub podczas sierpniowej naprawy trzech uszkodzonych armat w Nowym Sączu. Przemundurowanie położyło kres noszeniu orłów na hełmach. 🇵🇵

**Tomasz Zawistowski** – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*



# Książki na właściwej półce

Andrzej Zawistowski

„Historia jest nauczycielką życia” – nie ma chyba bardziej wyświechtanego bon motu uzasadniającego konieczność poznawania podopiecznej Klio. Rzadko jednak rozwija się tę myśl, a przecież umiejętności wyniesione z zajęć historii stają się coraz niezbędniejsze w codziennym życiu. Niedawno obliczono, że w ciągu ubiegłej dekady do powszechnego obrotu trafiło więcej informacji niż znalazło się w nim od zarania cywilizacji do końca XX wieku. Nawet jeżeli są to szacunki na wyrost, to jednak pokazują, jak konieczna jest zdolność krytycznego myślenia, aktywnego pozyskiwania i selekcjonowania informacji. Dzięki temu jest możliwa właściwa ocena wartości otrzymanej informacji.

**S**wietną ilustracją potrzeby wypracowania takiej umiejętności są ostatnie wypowiedzi dr Elżbiety Janickiej dla Polskiej Agencji Prasowej, które wywołały poruszenie i dyskusję (choć podobnie dyskusyjne tezy wygłoszone rok wcześniej w „Polityce” nie spotkały się z taką reakcją). Przypomnę, że dr Janicka twórczo zinterpretowała książkę Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec*. Okazało się, że Kamiński pisał dla antysemitów, jednocześnie dyskretnie pokazując homoseksualną miłość głównych bohaterów książki. Reakcją na tę wypowiedź była lawina sprostowań, polemik, protestów. Nikt jednak (począwszy od dziennikarki PAP, która rozmowę przeprowadziła) nie zauważył, że tezy literaturoznawczy i fotografki nie mają charakteru historycznego. Nie zawsze bowiem, gdy mówimy o przeszłości, opisujemy historię. Elżbieta Janicka nie napisała książki historycznej, lecz tekst o jej indywidualnym odczuwaniu przeszłości. Najgorsze, że chyba większość odbiorców (i sama badaczka) nie do końca potrafią rozróżnić te dwie sfery.

## Wybuchowa mieszanka

Mało kto zauważył też, że wywiad ta była wynikiem przypomnienia i pogłębienia tez, które już wcześniej zostały postawione w *Festung Warschau*, opublikowanej przez Krytykę Polityczną w 2011 roku. To bardzo ciekawa książka, którą niestety ktoś postawił na niewłaściwej półce. Na półce z napisem „historia”.

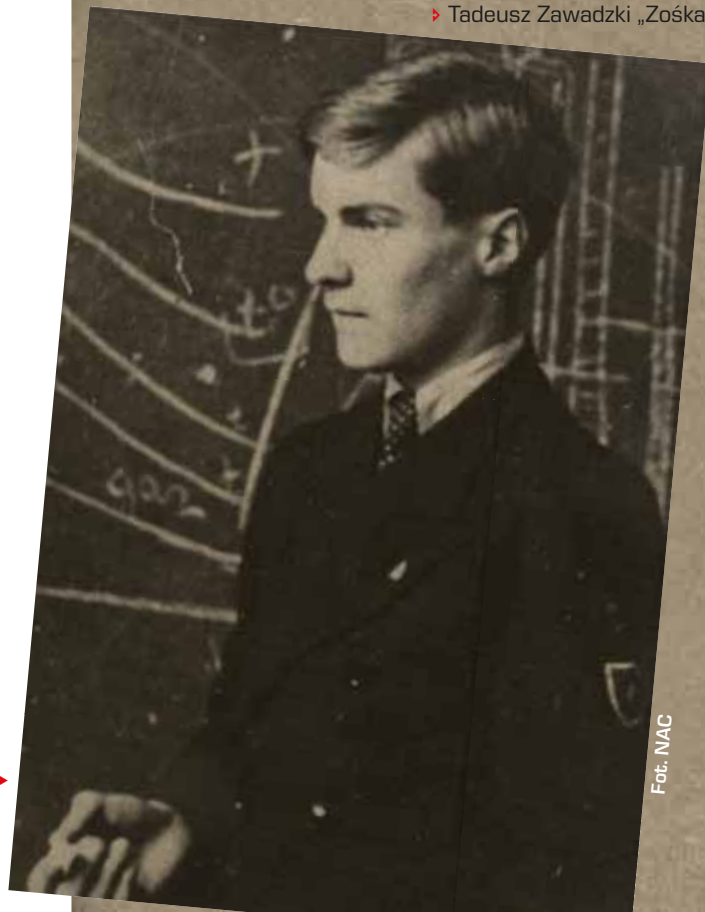
Dlaczego książka jest ciekawa? Bo pozwala spojrzeć na Warszawę oczyma osoby w niej żyjącej, swoiście odbierającej wtopioną w miasto „mapę pamięci”. Są to przenikające się siatki ulic i budynków (historycznych i współczesnych) ▶



▶ Jan Bytnar „Rudy”

Fot. NAC

▶ Tadeusz Zawadzki „Zośka”



Fot. NAC

oraz nakładające się na nie różnego typu upamiętnienia wydarzeń i postaci z historii, przede wszystkim ostatniego wieku. Z tego wszystkiego autorka stworzyła wybuchową mieszankę, koktajl z własnych przemyśleń, nawiązań do literatury i historii, interpretacji. Te ostatnie są jednak najbardziej problematyczne w książce (i późniejszych wywiadach), bo wydaje się, że Janicka celowo zastosowała pewnego rodzaju kwalifikatory: interpretacje bliskie wyznaczanym przez nią wartościom traktuje życzliwie, dalekie – złośliwie, przypisując im niegodziwe zamiary.

### Gdy wszystko się kojarzy

Autorce *Festung Warschau* specyficznie kojarzy się wszystko: orzeł specjalnie ma koronę z krzyżem (choć przecież to po prostu polski orzeł wojskowy), na pomniku Poległym i Pomordowanym na Wschodzie celowo wyróżniono konkretny krzyż katolicki (choć historycy wiedzą, że został on dostawiony spontanicznie dla uczczenia ks. Stefana Niedziela). Gdy dr Janicka pisze o kard. Stefanie Wyszyńskim, z niewiadomych powodów dorzuca, że urodził się blisko Treblińki. Mordechaj Anielewicz przyszedł na świat niewiele dalej, ale tu jakoś tego wtrętu nie ma (zresztą słusznie). Pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, według badaczki, celowo zlokalizowano blisko miejsc związanych z upamiętnieniami getta, by osłabić znaczenie tych ostatnich. Wystarczy dokonać jednak pobieżnej kwerendy w warszawskiej prasie, by poznać historię długiego poszukiwania miejsca dla tego monumentu. Jego ostateczna lokalizacja nie zadowalała inicjatorów budowy pomnika – wprost przeciw-

► Lokalizację Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie Janicka uznała za wymierzoną w pamięć o wydarzeniach w gettcie



nie. Oddzielenie pomnika od ciągów pieszych było krytykowane i przedstawiane jako celowe utrudnienie swobodnego doń dotarcia! Nawet kończący się w tym miejscu Katyński Marsz Cieni jest dla autorki prowokacją skierowaną przeciwko uroczystościom upamiętniającym bohaterów powstania w getcie. Szczytem kunsztu badaczki jest uznanie, że masowo budowane podczas wojny na warszawskich podwórkach kapliczki były wotum złożonym Bogu za pozbycie się z Warszawy Żydów.

### Nie każdy może być historykiem...

Od lat wiemy, że Polacy znakomicie znają się na dwóch tematach: medycynie i piłce nożnej. Mam wrażenie, że od kilku lat do tej grupy dołączyła historia. Przedstawiciele wielu dziedzin nauki zajmują się historią, uważając zapewne, że opowiadanie o przeszłości wymaga jedynie znajomości kilku faktów i zapoznania się z pewną liczbą lektur. Warsztat historyka, którego zdobycie wymaga wieloletnich studiów i praktyki, pozostaje niezauważony. W skrajnych przypadkach doprowadza to do tworzenia irracjonalnych teorii, głoszonych w taki sposób, by tworzyły wrażenie wniosków wynikających z gruntownych badań naukowych. Tak chyba było w przypadku też dr Janickiej, zwłaszcza zaś ich późniejszego rozwinięcia w wielu wywiadach.

W *Festung Warschau* roi się od porównań, cytatów, nawiązań, co pokazuje dużą znajomość literatury. Książka jest bogato ilustrowana fotografiami i wzbogacona cytatami – tych elementów jest chyba więcej niż autorskiego tekstu. Jednocześnie razi brak podstawowej wiedzy historycznej, który objawia się wielokrotnie. Oczywiście, każdemu autorowi mogą zdarzyć się błędy. Natomiast osobie zajmującej się historią nie powinno zdarzyć się pomylenie *Virtuti Militari* z kilkoma innymi, różnymi znakami. Powinna wiedzieć, że Sowieci nie odbierali polskiego obywatelstwa tylko wywozonym na Syberię, dokonało się to już wcześniej. Różnicy pomiędzy berlingowcami a andersowcami też nie wolno pomijać. Błędów ewidentnych w *Festung Warschau* jest zresztą więcej. Szkoda, że wydawnictwo nie zadbało o poprzedzającą druk recenzję naukową książki, na pewno wyszłoby to jej na dobre. Może jednak brak recenzji był celowy, bo ten gatunek książek recenzji wydawniczej nie wymaga?

### ... nie każdy musi być historykiem

W *Festung Warschau* odczucia są ważniejsze od szukania obiektywnej prawdy. Warto więc odstawić tę książkę na właściwą półkę z napisem „eseistyka”. I nie wymagać od niej wykładu historycznego, ale skupić się na indywidualnym przekazie autorki. Żeby to jednak zrobić, trzeba posiadać niezbędne umiejętności, których nauczyć może w szkole historia. Tylko tyle. Aż tyle. ❄

# Kto wygrał, a kto przegrał II wojnę światową?

Tomasz Ceran

**Odpowiedź na pytanie zadane w tytule tylko pozornie jest oczywista. Lektura prac licealistów, którzy wzięli udział w drugim już konkursie „Mądra pamięć”, przekonuje, jak wiele może być punktów widzenia na to, kto w wyniku ostatniej wojny najwięcej stracił, a kto na niej skorzystał.**

**A**utorzy prac starali się odpowiedzieć na konkursowe pytanie, analizując losy poszczególnych ludzi i grup społecznych, dzieje państw i narodów oraz system wartości.

## Praca w barze zamiast parady zwycięstwa

Za największych przegranych II wojny światowej wielu uczestników konkursu uznało żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, a także Żołnierzy Wyklętych. W pracach oprócz opisu losów znanych postaci – takich jak Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”, rtm. Witold Pilecki, gen. August Emil Fieldorf „Nil”, gen. Elżbieta Zawacka „Zo” czy Danuta Siedzikówna „Inka” – pojawili się także bohaterowie lokalni, tacy jak płk Maria Sobocińska, komendantka Wojskowej Służby Kobiet w Obwodzie Armii Krajowej Lipno, czy Maria Kowalska z Kcynii, która w 1949 roku przystąpiła do młodzieżowej organizacji niepodległościowej „Powrót”. Autorzy podkreślali, że chociaż – podobnie jak obrońcy Westerplatte – wszyscy oni ponieśli wymierną klęskę, to zwyciężyli moralnie. Za przegranych wojny uznano również więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych czy sowieckiego Gułagu, a także mieszkańców Pomorza i Kujaw, którzy w 1945 roku zostali wywiezieni do ZSRR (szacuje się, że było ich 30 tys., z czego ok. 3 tys. zginęło). Do przegranych zaliczono także Jana Różyckiego – pierwszego dyrektora Państwowego Liceum i Gimnazjum w Wąbrzeźnie, który przeciwstawiał się sowietyzacji placówki i został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach.

Za przegranych uznano pilotów Dywizjonu 303, mimo że odnieśli zwycięstwo w bezpośredniej walce z lotnikami niemieckimi. Nie wzięli oni udziału w paradzie zwycięzców w Londynie i Warszawie. Także wielu z nich nigdy nie wróciło do ojczyzny, pracę zaś mogli znaleźć tylko w brytyjskich

i amerykańskich barach czy restauracjach. Kilku uczniów za największego przegranego wojny uznało premiera Władysława Sikorskiego, a kilku gen. Władysława Andersa; ktoś inny – Adolfa Hitlera. Na drugim biegunie, jako największy zwycięzca II wojny światowej, znalazł się Józef Stalin – i trudno się z tą oceną nie zgodzić.

Najbardziej oryginalnym i odważnym pomysłem było uznanie za największego przegranego kochanki Hitlera – Ewy Braun. W oczach autora pracy stanowiła ona uosobienie wszystkich Niemców uwiedzionych lub zastraszonej przez ideologię nazistowską i totalitarną III Rzeszę.

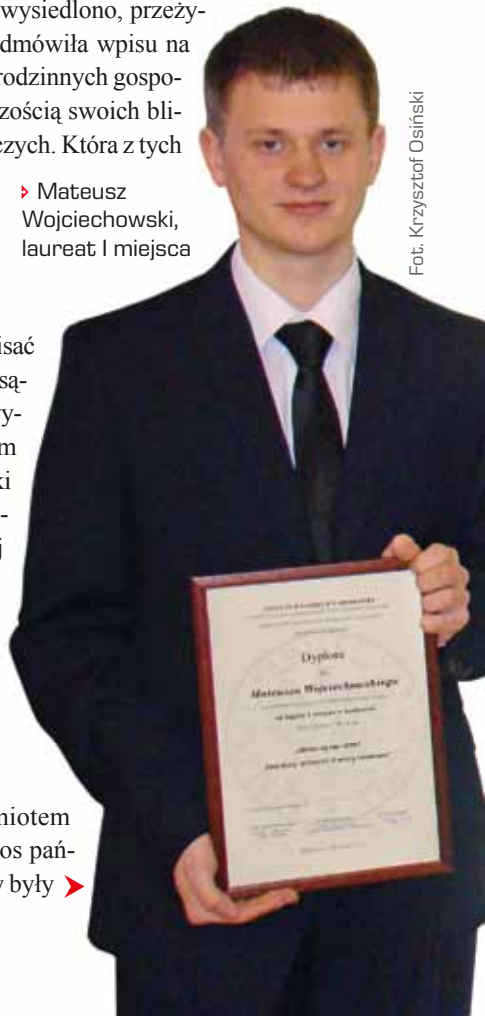
Edyta Ziorkowska, zdobywczyni trzeciego miejsca, opisała losy czterech osób z Wąbrzeźna. Dwie z nich zgodziły się na wpis na niemiecką listę narodowościową. Zostały wcielone do Wehrmachtu, ich rodzin nie wysiedlono, przeżyły wojnę. Kolejna dwójka odmówiła wpisu na volkslistę. Wysiedlono ich z rodzinnych gospodarstw, zginęli wraz z większością swoich bliskich w obozach przesiedleńczych. Która z tych postaw okazała się zwycięska? Autorka pozostawia to pytanie bez odpowiedzi.

► Mateusz Wojciechowski, laureat I miejsca

Z kolei zdobywca drugiej nagrody, Tymoteusz Gurbin z Grudziądza, żeby napisać intrygujący esej, udał się do sąsiada mieszkającego piętro wyżej w tym samym bloku. Tym sąsiadem jest Paweł Sosiński – uczestnik walk m.in. pod El-Alamein i Tobrukiem, później żołnierz 2. Korpusu Polskiego. Zdaniem autora, Sosińskiego należy zaliczyć do wygranych, ponieważ pozostał wierny swoim wartościom.

## Zwycięzcy przegrani

Najwięcej autorów przedmiotem swoich rozważań uczyniło los państwa polskiego. Ich werdykty były ►



jednoznacznie: „przegranymi zwycięzcami”. Argumenty są zbyt oczywiste, żeby je tu wymieniać. Jednakże Mateusz Wojciechowski z Lipna – laureat pierwszej nagrody – postawił pytanie, co było celem Polski w 1939 roku. Jeżeli ocalenie niepodległości i integralności terytorialnej, to z całą pewnością ponieśliśmy porażkę, chociaż w 1945 roku byliśmy w obozie zwycięzców. Jeżeli jednak przyjmie się, że celem III Rzeszy było unicestwienie narodu polskiego, tak samo jak Żydów, to jednak zwyciężyliśmy – bo przetrwaliśmy. Także dlatego że Sowietom, którzy okupowali Polskę po 1945 roku, nigdy nie planowali fizycznej eksterminacji całego narodu polskiego.

Autorzy prac za bezapelacyjnych zwycięzców wojny uznali USA i ZSRR. Porażkę poniosły Wielka Brytania (rozpad imperium), Niemcy i Japonia. Dwa ostatnie państwa przegrały jednak tylko w roku 1945. W dłuższej perspektywie czasowej uczestnicy konkursu uznali je za „feniksy odrodzone z popiołów”, przede wszystkim ze względu na „cuda gospodarcze” oraz przywrócenie potęgi ekonomicznej i politycznej. Za naród przegranych młodzież uznała także Żydów ze względu na rozmiar Holocaustu. Nie zmieniło tej oceny powstanie państwa Izrael. Według jednego z uczniów, przegrała cała Europa, ponieważ straciła dominację w świecie, natomiast z upływem czasu wygrała Afryka, po tym, jak doprowadziła do dekolonizacji.

### System wartości

Duża grupa licealistów próbowała odpowiedzieć na konkursowe pytanie, odwołując się do abstrakcyjnych wartości. Dla jednej z uczennic największym zwycięzcą była „Śmierć”, przegranym zaś „Ludzkość” – niewyobrażalne zbrodnie i okrucieństwo okazały się możliwe... Klęskę poniósł nazizm, triumfowała ideologia komunistyczna.

Inna uczennica uznała, że wygrali wszyscy ci, którzy przeżyli, i w czasach – jak to określił Gustaw Herling-Grudziński – „odwróconego dekalogu” zachowali się godnie, tzn. przynajmniej nie szkodzili niewinnym ludziom. Kwestia narodowości ofiar i sprawców miała drugorzędne znaczenie, bo nie ma dobrych albo złych narodów. Są tylko dobrzy albo źli ludzie. Dla jednej uczestniczki konkursu zwycięzca to ten, który przeżył i chce dzielić się wojennym doświadczeniem z młodym pokoleniem, starając się chronić je tym samym „tarczą pamięci” przed powrotem zła.

Autor najbardziej kontrowersyjnego eseju uznał za największego przegranego „romantyczną mentalność” Polaków jako produkt neomesjanistycznej edukacji. Uniemożliwia ona, zdaniem autora eseju, właściwą ocenę wydarzeń historycznych, w której niesłusznie liczy się nie cel i skutek działań, ale wysiłek włożony w realizację zadania. Jego zdaniem, „moralnymi zwycięstwami” usprawiedliwia się nadmierne ofiary lub faktyczne klęski, takie jak Powstanie Warszawskie. Do tego dochodzi bezrefleksyjna sakralizacja wszystkich poległych. Biada zwyciężonym!

Inny uczeń natomiast „polską mentalność” uznał za największego zwycięzcę. To ona pozwoliła przetrwać Polsce, którą dwa najpotężniejsze totalitaryzmy XX wieku próbowały unicestwić. To ona każe Polakom zawsze, gdy wróg przychodzi, aby „podpalić ich dom”, stanąć do walki.

Bez względu na to, jak ten spór rozstrzygniemy, chwała należy się także młodym Polakom spierającym się o historię. Jak zauważył przed laty prof. Jerzy Jedlicki, historia sama przez się niczego nie uczy, uczą tylko dyskusje o niej. 🍷

## Porcja wiedzy o kulturze niezależnej w PRL i warsztaty odbijania szablonów – tak wyglądało pierwsze spotkanie z cyklu „tuHistoria”.

Instruktorem warsztatów był Dariusz Paczkowski – twórca graffiti i street artu, organizator licznych spotkań artystycznych, happeningowych i parateatralnych. Solidna porcja wiedzy teoretycznej, przekazana na początku spotkania (np. to, że aby chronić malunek przed spraniem, wystarczy go potraktować gorącym żelazkiem), przydała się wszystkim, którzy z wielkim zapałem przystąpili do samodzielnego odbijania wzorów na pamiątkowych torbach. Malowali wszyscy: i młodzież, i dorośli, a największe zaangażowanie widać było po paniach pracujących w bibliotece. Wszystkie odbite motywy stanowiły dorobek artystyczny Dariusza Paczkowskiego z lat osiemdziesiątych.

Po warsztatach Ewa Chabros z wrocławskiego OBEP IPN opowiedziała o tym, jaką w latach osiemdziesiątych graffiti odgrywało rolę w buncie młodzieży wobec rzeczywistości PRL, zaprezentowała też swój – stworzony wspólnie z Grzegorzem Kmitą „Patyczakiem” – album *Graffiti w PRL*. Można było obejrzeć wystawę *Kontrkultura. Happening. Graffiti*.

„tuHistoria” to inicjatywa Wrocławskiego Oddziału IPN realizowana w porozumieniu z Miejską Biblioteką Publiczną we Wrocławiu. Chcemy dotrzeć do wszystkich, którzy interesują się najnowszymi dziejami Polski – uczniów, studentów, seniorów – i umożliwić poszerzenie wiedzy. Nie zamierzamy się jednak ograniczać do mówienia o samej historii, ale połączymy to z wiedzą o literaturze i – szerzej – kulturze. Mamy nadzieję, że cykliczne, comiesięczne spotkania to szansa na kształtowanie świadomości narodowej, zarówno w wymiarze osobistym, jak i w społecznym.

Tematyka i formy realizacji są bardzo zróżnicowane: wystawy tematyczne, projekcje multimedialne, atrakcyjne wykłady popularnonaukowe połączone z panelami dyskusyjnymi, spotkania autorskie wraz z prezentacjami wydawniczymi, zabawa z najnowszymi gramami edukacyjnymi IPN, prezentacje odzieży patriotycznej oraz spotkania ze świadkami historii, które – mamy nadzieję – staną się także punktem wyjścia do międzypokoleniowej integracji.

Na spotkania zapraszamy w każdy pierwszy czwartek miesiąca do filii nr 29 Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Mikołaja Reja 1/3 we Wrocławiu. 🍷

Więcej informacji na temat nowego projektu „tuHistoria” na stronach [www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl) oraz [www.mbp29.biblioteka.wroc.pl](http://www.mbp29.biblioteka.wroc.pl).

Monika Mikuczevska

„tuHistoria” co miesiąc we Wrocławiu



# Czego się Jaś nie nauczy...

Zbliża się Dzień Dziecka. W księgarniach królują książki o wesolutkich tytułach, wśród których znajdziemy krówki na gigantach, czujne krasnale, kociaki słodziaki (sic!) i atlasy zwierzątek (zwłaszcza dinozaurów). Na tym tle zaskakuje skąpa liczba książek, które pomogą dziecku zrozumieć historię Polski – zwłaszcza najnowszą.

Edukacja patriotyczna zaczynała się niegdyś (i nadal powinna zacząć) w domu. Naturalnym wsparciem teje powinna być lektura. Pokolenie przeżywające dzieciństwo w II Rzeczypospolitej miało *Bohaterskiego misia* Bronisławy Ostrowskiej, uroczą książeczkę wyjaśniającą najnowszą (wówczas) historię Polski. A co dzisiaj ma zrobić rodzic szukający książki historycznej dla dzieci?

Sprawdzam dział z literaturą dziecięcą na stronach internetowych znanych księgarń. W kategorii „powieści historyczne” są trzy tytuły: *Wojtek spod Monte Cassino*, a oprócz tego *Marianna i panna Mozart*, a nawet... *Cuda Jezusa. Krzyżówki, labirynty, przeskakiwanki*. Po dokładniejszym śledztwie natrafiam jeszcze na świetną książkę Pawła Beręsewicza *Czy wojna jest dla dziewczyn?*, *Asiunię* Joanny Papuzińskiej czy stareńkie *Jak to na wojence...* Edwarda Słońskiego. Miś Wojtek – niedźwiedź, który przeszedł szlak bojowy z Armią Andersa – ma więcej szczęścia w literaturze dziecięcej niż sam Władysław Anders. Jest bohaterem aż trzech książek: wspomnianego *Wojtka spod Monte Cassino* Wiesława Lasockiego, *Dziadka i niedźwiadka* Łukasza Wierzbickiego i *Wojtka z Armii Andersa* Maryny Miklaszewskiej. Oprócz tego pojawia się w *Sławnych zwierzakach* Joanny i Jarosława Szarków (seria „Kocham Polskę”).

gorzej z biografiami sławnych Polaków, zwłaszcza bohaterów historii najnowszej, przeznaczonymi dla młodego czytelnika. W Polsce literaturę biograficzną dla dzieci reprezentują książki *Po drugiej stronie okna. Opowieść o Januszu Korczaku* Anny Czerwińskiej-Rydel i kilka pozycji poświęconych bł. Janowi Pawłowi II. W serii wydawnictwa Media Rodzina „Nazywam się...” wśród bohaterów książeczek odnajdujemy tylko pięcioro Polaków: Marię Skłodowską-Curie, Mikołaja Kopernika, Jana Pawła II, Faustynę Kowalską i Fryderyka Chopina. Dla porównania, na stronie księgarni Amazon wydawnictwa dla dzieci poświęcone historii USA to 11 615 pozycji – na pierwszych pięciu stronach znajdziemy liczne biografie ojców założycieli Stanów Zjednoczonych.

Na tym tle trudno nie docenić *Rycerzy lasu* Joanny Gajewskiej i Weroniki Zaguły. Niezbyt długa, bo licząca około stu stron publikacja, została przygotowana przez Wydawnictwo Kasper „dla uczczenia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych”. Książeczka składa się z dwóch opowiadań (*Scyzoryk młodego bohatera* i *Tajemnica lasu*). W obu opowieściach głównym bohaterem jest chłopiec wspomagający oddział powojennego podziemia niepodległościowego. Oba teksty są napisane prostym, odpowiednim dla siedmio-, dziesięcioletka językiem, w obu czytelnik znajdzie wyjaśnienie, kim byli Żołnierze Wyklęci, dlaczego wojna się dla nich nie skończyła, jakie czyhały na nich niebezpieczeństwa.

Razić może schematyzm opowiadań – bliźniaczo podobna treść, słabo zarysowane postaci. Są jednak w książce momenty ujmujące: zwyczajna, bardzo ludzka w wymowie rozmowa z partyzantką

Basią, nocna wędrówka Bartka przez las... Mimo niedostatków fabuły i nadmiaru dialogów – tak jakby autorki miały problem z wyjaśnianiem rzeczywistości inaczej niż poprzez rozmowę, w której ktoś starszy tłumaczy bohaterowi, co się właściwie dzieje – książkę należałoby polecić rodzicom z dwóch powodów. Pierwszy to jej ładunek edukacyjny – po lekturze młody czytelnik będzie wiedział, kim byli tajemniczy Żołnierze Wyklęci. Stanowi to wartość samą w sobie, bo nauczanie zintegrowane (a, jak sądzę, książka ta jest napisana z myślą o dzieciach na takim etapie rozwoju) jest dość gruntownie wyczyszczone z treści historycznych. Publikacja Joanny Gajewskiej i Weroniki Zaguły wypełnia tę lukę i w dodatku mówi o sprawach uznawanych za trudne nawet przez nauczycieli historii. Zamieszczona na końcu zwięzła informacja – przeznaczona już dla dorosłych – pomoże rodzicom odpowiedzieć na pytania pociech, dotyczące tego, co w opowiadaniach pominięto: dat, nazwisk, faktów. Jednak poza stroną edukacyjną książka jest godna polecenia ze względu na walory wychowawcze. Autorki nie wstydzą się używania wielkich słów, otwarcie piszą o dumie z bycia Polakiem, chwałą tradycyjne cnoty: męstwo, obowiązek wobec ojczyzny, poświęcenie. Bardzo to „niepostępowa” książka, w której cechami mężczyzny są „odwaga i panowanie nad sobą w trudnej sytuacji”, w której starszy brat przykazuje młodszemu: „Dbaj o matkę i siostrę”... Gdzieś w tle mający (przywołany zresztą w książce) cień Stasia Tarkowskiego z powieści *W pustyni i w puszczy* Henryka Sienkiewicza.

Minusem dość ładnie wydanej (twarda oprawa, dobry papier) książki są ilustracje. Wspomnianej opowieści o Basi i wizycie Bartka w lesie towarzyszy rysunek dwóch żołnierzy w mundurach przypominających stroje „ludowego” Wojska Polskiego. Czy to dwaj „czerwoni”, wspomniani na poprzedniej stronie? Co to za pomieszczenie? Jaki związek z akcją ma ilustracja? Inny przykład: osobie wychowanej w PRL narysowana w książce postać Franka podającego dłoń partyzantowi może nasunąć nieodparte skojarzenie z propagandowymi komiksami z tej właśnie epoki.

Autorki podjęły śmiałą próbę napisania – jak głosi zapowiedź na okładce – „pierwszej w Polsce książki o Żołnierzach Wyklętych dla dzieci”. Wysłała z tego książki, która na pewno nie wytrzyma porównania z *W pustyni i w puszczy*, lecz bez wątpienia zasługuje na przeczytanie. Mam nadzieję, że uwagi krytyczne nie zniechęcą obu pań do podejmowania kolejnych wyzwań – z pewnością na polskim rynku wydawniczym książek historycznych dla dzieci brakuje.

Mam też nadzieję, że Autorki wybaczą mi to, co dalej napiszę: mnie, osobie dorosłej, najbardziej przypadł do gustu wstęp ppłk. Stanisława Oleksiaka, prezesa Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Krótki tekst oddaje obraz pokolenia urodzonego już w wolnej Rzeczypospolitej, chłopców, którzy swój egzamin dojrzałości obywatelskiej i patriotycznej zdawali, prowadząc walkę z okupantami. Od zapomnianych zabaw po więzienne mury w komunistycznej Polsce – prezesowi ZG SZŻAK udało się obrazowo i syntetycznie przedstawić losy takich jak on, których po latach zapomnienia nazwano Żołnierzami Wyklętymi. Ciekawe, czy czytali w dzieciństwie *Bohaterskiego misia*...



Joanna Gajewska, Weronika Zaguła, *Rycerze lasu*, Wydawnictwo Kasper, Warszawa-Kraków 2013, ss. 101

# Gadzinówki stanu wojennego

Wyobrażam sobie narastającą falę oburzenia rozmaitych sympatyków „minionej epoki”, których raz i określenie „gadzinówki” w podtytule opracowania charakteryzującego wybrane dzienniki stanu wojennego. Owszem, jest to pojęcie zarezerwowane dla niemieckiej i sowieckiej prasy polskojęzycznej, wydawanej w czasie II wojny światowej, ale znakomicie pasuje również do prasy stanu wojennego w PRL. We wszystkich tych przypadkach chodziło bowiem o spełnianie tej samej funkcji propagandowej – dostarczanie polskiemu społeczeństwu ściśle wyselekcjonowanych informacji, mających zapewnić spokój oraz bezwarunkowy posłuch wobec okupanta, względnie dyktatorskiej władzy.

Książka pod redakcją Sebastiana Ligarskiego *Środki masowego zakłamania. Gadzinówki w czasie stanu wojennego* składa się z czterech rozdziałów. Każdy z nich charakteryzuje gazetę wydawaną w wybranym województwie lub regionie. Jacek Wojsław opisał ukazujący się w województwie gdańskim tzw. „trójdziennik”, powstały na bazie tytułów drukowanych w Trójmieście, zachowujący w winiecie ich dotychczasowe nazwy: „Głos Wybrzeża – Dziennik Bałtycki – Wieczór Wybrzeża”. Analogiczna sytuacja miała miejsce w województwie krakowskim, gdzie wydawano również trójczłonowy dziennik: „Gazeta Krakowska – Dziennik Polski – Echo Krakowa”, bardzo szybko przezwany przez mieszkańców „GaDziEcho”. Kulisy jego funkcjonowania przybliżyła Ewa Zając-Goleń. Z kolei Paweł Szulc zaprezentował dziennik wydawany w województwie szczecińskim – „Wiadomości Szczecińskie”. Warto podkreślić, że w tym przypadku zdecydowano o zmianie tytułu gazety, niemniej wizualnie była ona podobna do dotychczas ukazującego się w tym regionie „Głosu Szczecińskiego”, będącego organem miejscowego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W ostatnim rozdziale Sebastian Ligarski przedstawił dziennik z województwa wrocławskiego – „Monitor Dolnośląski”. Tytuł ten po 13 grudnia 1981 roku również był *novum* dla mieszkańców Dolnego Śląska, dotąd bowiem czytali oni trzy lokalne dzienniki: partyjną „Gazetę Robotniczą”, publicystyczne „Słowo Polskie” i popołudniową „Wieczór Wrocławia”. Wymienione tu cztery rozdziały poprzedza wstęp, w którym dokonano charakterystyki przedsięwzięć propagandowych, przygotowywanych przez reżimowe władze przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Pomysł polegający na przybliżeniu tych akurat czterech tytułów regionalnych (gdańskiego, krakowskiego, szczecińskiego i wrocławskiego) trzeba ocenić bardzo pozytywnie, gdyż wyróżniały się one (każdy na swój sposób) pośród dzienników, które ukazywały się na przełomie 1981 i 1982 roku. Warto pokrótce przypomnieć, że w pierwszych tygodniach po ogłoszeniu stanu wojennego kolportowano w Polsce wyłącz-

nie dwa tytuły ogólnopolskie („Trybuna Ludu”, „Żołnierz Wolności”) oraz szesnaście tytułów lokalnych. Wydawanie pozostałych pism zawieszono. Spośród dzienników lokalnych dwanaście zachowało dotychczasowe nazwy – były to organy Komitetów Wojewódzkich PZPR. O pozostałych czterech gazetach traktuje właśnie niniejsza publikacja.

W każdym przypadku autorzy przytaczają podstawowe cechy charakteryzowanych pism. Były one niemal identyczne – wszędzie miała przewagę informacja nad publicystyką, doniesienia agencyjne oraz teksty „z zewnątrz” dominowały nad komentarzami redakcyjnymi. Wyraźnie zauważalne jest odgórne sterowanie redakcjami – ze względu na pojawianie się w tym samym czasie we wszystkich czterech gazetach podobnych treści, takich jak: oświadczenia „skruszonych” działaczy Solidarności (popierających wprowadzenie stanu wojennego), teksty oczerniające znanych przywódców opozycyjnych czy „romantyczne” historyjki o polskich kobietach „spontanicznie” dziękujących – kwiatami, upominkami i całusami – żołnierzom „ludowego” Wojska Polskiego za ich ciężką i trudną służbę, pełnioną na mrozie na ulicach miast i drogach wsi. Takie reportaże były często okraszone zdjęciem, zrobionym zapewne przez akurat „przypadkowo” przechodzącego fotoreportera.

Najciekawszymi elementami poszczególnych rozdziałów są przedstawione przez autorów kulisy powstania tytułów prasowych, nietypowych w stosunku do pozostałych regionów kraju. W każdym przypadku kulisy te były odmienne i stanowiły splot odgórnych nacisków, oceny stopnia lojalności dziennikarzy lokalnych oraz przypadku. Można wszakże znaleźć wspólny element: mianowicie w redakcjach „nowych” gazet pracowali wskazani dziennikarze wywodzący się z zawieszonych tytułów lokalnych. Kolegia redaktorskie były więc kompilacją dotychczasowych zespołów. Zawsze dominowali w nich dziennikarze miejscowego organu partyjnego, chociaż (w mniejszym lub większym stopniu) dołączano osoby z zewnątrz.

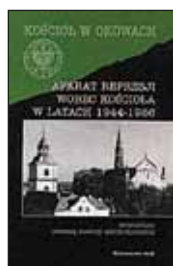
Wątkiem pobocznym, nieuwzględnionym w części tekstów, jest charakterystyka procesu weryfikacji, któremu zostało poddane środowisko dziennikarskie na początku 1982 roku. Warto również w przyszłości przyrzeć się dalszym losom redaktorów naczelnych i wybranych dziennikarzy tworzących „gadzinówki”. W tamtym ponurym okresie wielu z nich, mając świadomości własnej „marionetkowości”, nie ujawniało nazwisk, ale pisało pod pseudonimami, posługiwało się inicjałami lub kryło się za pojęciami: „redakcja”, „kolegium redaktorskie”.

Opracowanie traktujące o dziennikach wydawanych w stanie wojennym jest ze wszech miar potrzebne. Chociaż rzecz dotyczy najnowszej historii Polski, to do dziś stosunkowo niewiele historyków zajmowało się zagadnieniem propagandy stanu wojennego. Do takich białych plam niewątpliwie należą kulisy powołania regionalnych gazet w pierwszych tygodniach stanu wojennego. Mimo że tytuły te funkcjonowały niedługo (najczęściej do przełomu stycznia/lutego 1982 roku), to całokształt wydarzeń z nimi związanych (sposób i cel powstania, metody nacisku i kontroli treści, wreszcie podział wywołany toczącą się wówczas weryfikacją) wywarł decydujący wpływ na funkcjonowanie środowiska dziennikarskiego w latach osiemdziesiątych. Pozostaje mieć nadzieję, że z czasem powstaną podobne opracowania, traktujące o pozostałych pismach regionalnych tragicznego w dziejach Polski okresu stanu wojennego. ■

Przemysław Wójtowicz



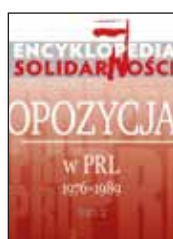
*Środki masowego zakłamania. Gadzinówki w czasie stanu wojennego*, red. Sebastian Ligarski, IPN, Szczecin 2012, ss. 165



■ *Aparat represji wobec Kościoła w latach 1944–1956. Terytorium obecnej diecezji sandomierskiej*, red. Mariusz Krzysztofński, ks. Józef Marecki, ks. Bogdan Stanaszek, IPN, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012, ss. 490.



■ *Bytom w cieniu dwóch totalitaryzmów. Szkice z dziejów miasta 1933–1989*, red. Sebastian Rosenbaum, IPN, Katowice 2012, ss. 432.



■ *Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976–1989*, t. 2, IPN, Warszawa 2012, ss. 536.



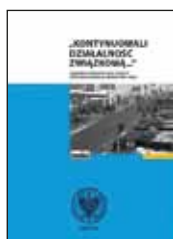
■ Dorota Gałaszewska-Chilczuk, Jacek Witold Wołoszyn, *Od przedszkolaka do studenta. Kryteria selekcji społecznej i politycznej w edukacji lat 1947–1956*, IPN, Lublin 2012, ss. 269.



■ *Komunistyczne amnestie lat 1945–1947. Drogi do „legalizacji” czy zagłady?*, red. Wojciech J. Muszyński, IPN, Warszawa 2012, ss. 496 + ss. 16 wkł. zdj.



■ *Komunistyczny aparat represji i życie społeczne Opolszczyzny w latach 1945–1989*, red. Ksawery Jasiak, IPN, Opole 2012, ss. 542.



Marcin Węgliński, IPN, Gdańsk 2012, ss. 240.

■ *„Kontynuowali działalność związkową...” Sądzeni z powodów politycznych w województwie gdańskim w latach 1981–1983*, wstęp i oprac. Arkadiusz Kazański, biogramy Arkadiusz Kazański,



t. 1: *Monografia*, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk–Warszawa 2013, ss. 392 + ss. 32 wkł. zdj.



t. 2: *Dokumenty*, wstęp Krzysztof Osiński, Piotr Rybarczyk, wybór i oprac. Robert Gajos, Krzysztof Osiński, Piotr Rybarczyk,



IPN, Bydgoszcz–Gdańsk–Warszawa 2013, ss. 1006.

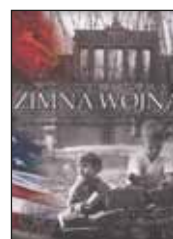
■ *Kryzys bydgoski 1981 w relacjach świadków*, t. 3, red. Agnieszka Dębska, Maciej Kowalczyk, Ośrodek KARTA, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2013, ss. 139 + ss. 16 wkł. zdj.



■ Artur Kubaj, Paweł Miedziński, *Stan wojenny w Szczecinie*, IPN, Szczecin 2012, ss. 280.



■ Tomasz Kurpierz, *Zbuntowani. Niezależne Zrzeszenie Studentów w województwie katowickim 1980–1989*, IPN, Katowice 2012, ss. 408.



■ Paweł Sasanka, Sławomir Stępień, *Zimna wojna. Krótka historia podzielonego świata* (album), IPN, Warszawa 2012, ss. 364.



■ *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*, t. 1, red. Wojciech Skóra i Paweł Skubisz, IPN, Szczecin 2012, ss. 774.



■ *Tadeusz Westfal Karas (1915–1944). Żołnierz podlaskiego Kedywu*, red. Piotr Łapiński, IPN, Białystok 2012, ss. 90 + DVD.



■ *Wokół procesu biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka. Wspomnienia nazaretanki s. Izabelli Machowskiej*, oprac. Tomasz Domański, s. Danuta Kozieł CSFN, IPN, Jedność, Kielce 2013, ss. 237 + ss. 8 wkł. zdj.



■ *Z dziejów Mikotowa w XX wieku. Wybrane zagadnienia*, red. Grzegorz Bębnik, IPN, Katowice 2012, ss. 222.



■ *Żołnierzowi Niepodległej. Księga dedykowana śp. gen. Mieczysławowi Huchli*, red. Tomasz Balbus, Mariusz Krzysztofński, Ewa Leniart, Zbigniew Nawrocki, IPN, Rzeszów 2012, ss. 599 + ss. 16 wkł. zdj.

Institut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6  
**Publikacje IPN można nabyć:**  
w siedzibie IPN  
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00  
tel. (22) 581 88 72

w Centrum Edukacyjnym IPN  
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA  
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,  
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. (22) 576 30 06  
**Prenumerata „Pamięci.pl”**  
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl/miesiecznik](http://www.pamiec.pl/miesiecznik).

Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej  
**Sprzedaż wysyłkowa publikacji**  
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88; (22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl); [danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztytaj.pl](http://www.ipn.pocztytaj.pl)

# KONKURSY!

## SPRZACZKI I GUSIKI Z ORZEŁKĄ ZE RODZY

SPÓJRZ NA ZBRODNIE KATYŃSKĄ  
Z PERSPEKTYWY JEDNEGO CZŁOWIEKA.  
POZNAJ JEGO PRACĘ, RODZINĘ,  
JEGO ŻYCIE. ŻYCIE CZŁOWIEKA,  
KTÓREGO GRÓB MIAŁ  
NA ZAWSZE  
POZOSTAĆ NIEZNANY.  
PRZYWRÓĆ GO PAMIĘCI.



# KATYŃ



[www.pamiec.pl/sprzaczki](http://www.pamiec.pl/sprzaczki)